współcześni Ojcowie Pustyni

Zygmunt Kwiatkowski SJ

Życie między pustyniami

Mar Musa al Habashi

Zygmunt Kwiatkowski SJ

Życie między pustyniami

Mar Musa al Habashi

WYDAWNICTWO
KRAKÓW

© Copyright by Wydawnictwo M, Kraków 2015

ISBN 978-83-8043-694-7

Wydawnictwo M
31-002 Kraków, ul. Kanonicza 11
tel. 12-431-25-50; fax 12-431-25-75
e-mail: biuro@wydawnictwom.pl
www.wydawnictwom.pl

Dział handlowy: tel. 12-431-25-78; fax 12-431-25-75
e-mail: handel@wydawnictwom.pl

Księgarnia wysyłkowa: tel. 12-259-00-03; 721-521-521
e-mail: bok@klubpdp.pl
www.klubpdp.pl

Konwersja
Epubeum

Spis treści

Od autora

Wprowadzenie

I. Deir Mar Musa w górach Kalamun

- Na początku
- Pierwsza wyprawa z Paolo
- Pierwszy wieczór
- Dzień dobry, Boże
- Pierwsza Msza święta
- W oczekiwaniu na następne lato
- Klasztorna brama
- Mazar

II. Wspólnota Mar Musa

- Założyciel wspólnoty
- Kontekst społeczny
- Kontekst polityczny
- Szukanie wzorców
- Pionierski dialog
- Domenico, czyli nowy styl życia

III. Rekolekcje na pustyni

- Widok na nieskończoność

Wydostać się z miasta
Na przełaj przez pustynię
Czas, aby się urządzić
Po to tutaj jestem
Byłaby to dobra rzecz
Spacer wśród gwiazd
Rozbić kokon rutyny
Bohaterki porannej modlitwy
Spektakl nocnego pociągu
IV. Ważne epizody
Przygotowanie do Eucharystii
Eucharystia
Modlitwa uwielbienia
Msza święta bez chleba
Legendarny ślub w Deir Atiya
Ramadan w Mar Musa
Cud życia na pustyni
Zasadniczy problem Mar Musa
Szaleństwo
Miał na imię Mark
Beduińska delikatność o. Paolo
Pokonać pustynny ziąb
V. Wojna
Ostatnie rekolekcje
Ukryty bohater
Dobre układy z władzami
Napięcie
Dojrzewanie konfliktu
Katastrofy

Opuścić czy pozostać?
VI. Dialog i konfrontacja
Multikulturowość
Szukanie znaków
Mar Musa jako znak
Liban misją i zadaniem
Syria znakiem
Dom Myrny Nazzur w Soufanija
Inne znaki
Bliski Wschód w Polsce
Nadzieja
Światło ze Wschodu
Ostatnia aktualizacja
Zakończenie

Wizja

taki ogród we mnie
że dokoła tylko pustynia
taka siła nowa
we mnie wstąpiła
że czuję iż nic innego
robić nie trzeba
jak tylko radować się wiosną
która już nie tylko
mój ogród ogarnęła
ale zakwitła również pustynia

Od autora

Ta książka jest dla mnie okazją do głębszego spojrzenia w głąb siebie i lepszego zrozumienia sensu mojej trzydziestoletniej pielgrzymki po Bliskim Wschodzie, która zaczęła się od niespodziewanego wyjazdu do Syrii, do Damaszku i równie niespodziewanego powrotu do kraju, tylko z plecakiem na ramionach.

Zapraszam każdego Czytelnika do tego, by również wszedł w rolę pielgrzyma, bo w istocie jest nim każdy z nas. By poczynił własne odkrycia na temat tego, co przeżył i tego, co chciałby przeżyć. Po to przecież żyjemy, aby w naszym pielgrzymim życiu coś stworzyć i dokądś dojść.

Będę patrzył na swoje życie przez pryzmat spotkań z pustynią, a konkretnie z „*deir* Mar Musa al Habashi", który wspólnie z o. Paolo Dall'Oglio odgruzowywaliśmy i w którym odprawiłem pierwszą Mszę św. Ojciec Paolo był bowiem wówczas jeszcze „scholastykiem", przygotowującym się do kapłaństwa.

Dodam jeszcze jedną istotną uwagę: mam mocne przekonanie, że wytrzymałem te trzydzieści lat na pustynnym szlaku, bo nie zawiódł mnie nigdy Ten, który mnie na ten szlak powołał, dając mi towarzyszy i towarzyszki pielgrzymiej drogi. Otrzymałem bowiem łaskę przyjaźni i sądzę, że ta książka, w jakiejś mierze, będzie podziękowaniem za ten dar.

Do wspólnej karawany zapraszam również Was. Niech nas prowadzi Duch Pański, odnawiający oblicze całej ziemi, ale również tej, którą jesteśmy my sami.

Wprowadzenie

Mar Musa to opowieść o wspólnocie Kościoła, której życie toczy się pomiędzy romantyką bezkresnych piasków i kamienistego pustkowia, a tragedią pustyni ruin i zniszczeń, spowodowanych pożogą wojenną.

Można powiedzieć, że pomiędzy tymi dwiema pustyniami, symbolicznie, toczy się cała historia ludzka. Z jednej strony człowiek walczy bowiem nieustannie z pustynią, starając się ją ze wszystkich sił opanować, przetworzyć i udomowić. Z drugiej zaś, ten sam człowiek podejmuje się roli burzyciela, gdy zamiast wybierać porozumienie i współpracę, oddaje nad sobą władzę imperatywowi wrogości. Zapomina wówczas o wszystkim, co go łączy z drugim człowiekiem, obawiając się, że z jego strony należy spodziewać się szczególnego zagrożenia. Pali wówczas mosty i buduje mury obronne, a dla większej ochrony, w miejscu, gdzie dotąd były pola uprawne, ogrody, parki i place budowy, tworzy

pola minowe. Ludzie zabijają ludzi, dopuszczają się prześladowań i aktów terroru przekonani, że w ten sposób oddają chwałę Bogu.

W takiej właśnie przestrzeni historycznej, między pustyniami, od dwóch tysiącleci znajduje się, założony przez Apostołów, Kościół na Bliskim Wschodzie. Damaszek szczególnie związany jest z osobą św. Pawła, który przybył do niego jeszcze jako Szaweł, aby aresztować mieszkających tutaj chrześcijan i – jak mówią Dzieje Apostolskie – w łańcuchach poprowadzić kobiety i mężczyzn do Jerozolimy, aby tam zapłacili życiem za wiarę w Jezusa Chrystusa.

Tam, na biblijnej ziemi patriarchów, proroków i świętych, po której stąpały stopy Zbawiciela, zostały założone pierwsze wspólnoty Kościoła. One tam ciągle istnieją, chociaż płomień wojny chce je stamtąd wyplenić. W naszych czasach, ponownie, jak wiele razy w historii, chrześcijanie cierpią krwawe prześladowania, na oczach obojętnego na ich tragedię świata.

Niniejsza książka jest świadectwem chrześcijańskiego zrywu, którego autorem jest wspólnota mnichów i mniszek klasztoru Mar Musa. Podjęli się oni życia mniszego w górach Kalamun, w Syrii. Ich styl życia, oprócz monastycznego zaangażowania w modlitwę i ciężkiej pracy fizycznej w surowych pustynnych warunkach, wyróżniał się otwarciem na wymiar szeroko rozbudowanych, pielgrzymich spotkań z ludźmi przybywającymi z całej Syrii i z innych krajów.

Specyfikę tego klasztoru określała jasno przyjęta zasada: szczególną troską będą objęte spotkania chrześcijan i muzułmanów, aby wspólny dialog, w klimacie modlitwy, jaki może stworzyć wspólnota mnisza, pogłębiał kulturę wzajemnej współpracy i współżycia.

Pryncypia

nadszedł czas, aby wreszcie wam napisać
o pryncypiach życia
zanim czas zredukuje je
do retorycznych pytań

na rześkość poranka
na słoneczność południa
na senność nocy i czujność księżyca
zaklinam was
nie lekceważcie życia

I
Deir Mar Musa w górach Kalamun

Na początku

Mar Musa. Pełna nazwa brzmi: Mar Musa al Habashi. Musa to znaczy Mojżesz, a ten jednoznacznie kojarzy się z Mojżeszem, wybrańcem Bożym, który wyprowadził Żydów z Egiptu, „domu niewoli", przeszedł przez Morze Czerwone, prowadząc „zastępy Izraela" przez pustynię, do „ziemi obiecanej". Nie o niego tu jednak chodzi, dlatego ważny jest przydomek „al Habashi", to znaczy „abisyński".

Musa al Habashi wpisuje się w tradycje – jak wszystko, co istnieje i co się dzieje na tych ziemiach – które widziały narodziny trzech głównych monoteizmów światowych: żydowskiego, chrześcijańskiego i muzułmańskiego. Nie pojawiły się one w środowisku kulturowo dziewiczym, ale w rejonie pod tym względem bardzo bogatym i to od wczesnej starożytności. Tu jedna kultura inspirowała drugą i tu dochodziło nieustannie do ich wzajemnych spotkań i konfrontacji. Tu krzyżowały się drogi handlowe i wpływy polityczne ówczesnych „światowych" potęg takich jak Egipt, Babilonia, Persja, Grecja czy Rzym.

Musa, według na poły legendarnych przekazów, był synem królewskim, który opuścił swój kraj, aby z dala od królewskiego dworu szukać formy życia, która odpowiadałaby jego wielkiemu

pragnieniu naśladowania Chrystusa. Udał się do Egiptu i Palestyny. Po pewnym czasie przyjął święcenia kapłańskie i wreszcie osiadł w górach Kalamun, oddając się życiu pustelniczemu. Zwyczajem często praktykowanym przez uciekinierów, schronił się na odległej pustyni, w syryjskiej prowincji Cesarstwa Rzymskiego. Zamieszkał niedaleko wojskowej wieży, wybudowanej przez Rzymian w II w. Tutaj po jakimś czasie zginął śmiercią męczeńską z rąk żołnierzy Cesarstwa Bizantyjskiego, które zwalczało przeciwników ustaleń Soboru Chalcedońskiego. Stało się to w VII wieku. Jest coś wspólnego w tej postaci, oprócz oczywiście imienia, z Mojżeszem znanym nam ze Starego Testamentu. Mar Musa al Habashi również salwował się ucieczką na pustynię, jak Mojżesz starotestamentowy. W jego jednak przypadku były to skaliste góry Kalamun. Tutaj dojrzewał do świętości i tutaj dopełniła się jego życiowa pustelnicza misja.

Po aramejsku *mar* znaczy pan. Stosuje się to określenie do osób darzonych szczególnym szacunkiem. W ten sposób wypowiada się również imiona świętych.

Ruch pustelniczy rozwijał się żywiołowo w IV wieku, w okresie bezpośrednio po edykcie mediolańskim, który dawał pełną wolność religii chrześcijańskiej w państwie rzymskim. Wówczas to gorliwi chrześcijanie, urzeczeni przykładami świętych wyznawców wiary z czasów prześladowań Kościoła, bardzo często pragnęli dać równie heroiczne świadectwo swojego oddania Chrystusowi. Podejmowali więc życie pustelnicze, związane nieraz z niewyobrażalnymi wprost wyrzeczeniami, ocenianymi przez zwykłych wiernych jako „białe” męczeństwo. Białe, czyli takie, które również polegało na złożeniu Bogu własnego życia w ofierze,

tyle że nie w sposób krwawy. Historia Kościoła zna zarówno pustelników żyjących samotnie, jak i takich, którzy łączyli się w bardziej lub mniej spójne i stabilne grupy; na ogół wokół jakiegoś uznanego przewodnika duchowego. Dopiero potem pojawiły się formy życia wspólnotowego bardziej zorganizowanego, opierającego się na jakiejś formule życia zakonnego.

Wielu pustelników, w miejscach ich odosobnienia, odwiedzali zwykli ludzie. Przychodzili, aby radzić się w swoich problemach, aby słuchać nauk i korzystać z wskazań mnichów, pokazujących jak żyć bliżej ideału Ewangelii.

Niektórzy ze świętych mężów byli wzywani przez wspólnotę kościelną do opuszczenia samotni i stanięcia na czele lokalnego Kościoła jako biskupi. Byli oni zwykle szanowani przez wiernych, uważano ich za mędrców i proroków. Stanowili żywy przykład naśladowania Chrystusa.

Region, o którym mówimy, dzisiaj określany mianem Bliskiego Wschodu, charakteryzował się z jednej strony wielką dynamiką i bogactwem w zakresie życia pustelniczego, mniszego, z drugiej zaś, dominowała w nim tendencja do indywidualizmu. Zawsze jednak odwoływano się do tradycji i inspirowano wzajemnie dokonaniami ascetycznymi innych pustelników. Działo się to przez osobiste kontakty, listy, dzielenie się radami wypływającymi z nauki dawnych mistrzów duchowych i własnego doświadczenia. W ten sposób pojawiały się całe plejady ascetów, posiadających tę samą wizję i podobną praktykę życia ascetycznego, jak na przykład słynna szkoła słupników z Mar Simaanem (Szymonem Słupnikiem) na czele. Pamięć o nim wciąż jest żywa i po dziś dzień duże

wrażenie robi kompleks budynków z V wieku, z wielką bazyliką, będącą niegdyś jednym z cudów architektury bizantyjskiej. Jeszcze większe wrażenie robi fakt, że cały teren, obejmujący okolice Idleb i Aleppo aż po niemal samą Antiochię, zapełniony był chrześcijańskimi budowlami sakralnymi. Ich relikty przetrwały do naszych czasów i to pomimo trzęsień ziemi oraz wojen, które przetaczały się przez ten teren. Niemal na każdym wzgórzu można znaleźć kamienne bloki z murów jakiejś świątyni albo klasztoru. Dobrze zachowanych fragmentów tych budowli, jak również wielkich grobowców, nagrobków i kamiennych zbiorników wodnych jest wciąż bardzo dużo.

Wielokrotnie odbywaliśmy tam jednodniowe pielgrzymki, aby modlić się w miejscach uświęconych modlitwą tylu pokoleń chrześcijan. Przejmującym duchowo doświadczeniem była dla nas Msza św. odprawiana po tysiącletniej, przeszło, przerwie w obrębie kamiennych ścian świątyń i klasztorów, które pamiętają modlitwy naszych dawnych mieszkańców tej ziemi. Nad naszymi głowami nie było już żadnych stropów i sufitów. Nasze spojrzenia swobodnie sięgały błękitu nieba i to pozwalało nam jeszcze bardziej odczuwać komunię z tymi, którzy przed tysiącem z górą lat żyli pod tym samym niebem. Ono się nie zmieniło, zmieniły się tylko kamienie i ci, którzy się pośród nich modlą. Niezwykłe wprost poczucie więzi z nimi wynikało również stąd, że spożywaliśmy pod postacią chleba i wina te same, niezmienne, Ciało i Krew Pańską. Zwykle towarzyszył naszej modlitwie również świst wiatru, wyraźniejszy niż kiedyś, ponieważ otwory okienne były puste, wiatr nie napotykał więc większych przeszkód, aby przedostać się do wnętrza. Wystrojem świątyni

były niezmiennie większe i mniejsze bloki kamienne, zwalone kolumny i zieleń traw oraz krzewów, które je poprzerastały. Świadkami naszych modlitw i śpiewów bywały też czasem gałęzie drzew oraz zielone pnącza roślin wspinających się po murach.

Towarzyszyło nam poczucie kruchości losu ludzkiego i nieuchronności upływu czasu. To, co dzisiaj tętni życiem i znajduje się w pełnym rozkwicie, za chwilę może należeć do przeszłości i stać się zabytkiem.

Rząd syryjski starał się chronić te obiekty przed zniszczeniem i rozkradaniem co ciekawszych elementów architektonicznych. Bronił przed wykorzystywaniem zabytkowych bloków kamiennych jako surowca do wyrobu atrakcyjnych materiałów budowlanych. Teraz, podczas trwającego chaosu wojennego, kradzież odbywa się w sposób nieskrępowany. Różne mafie mają szerokie pole do popisu. Dokonuje się świadoma dewastacja zabytków, między innymi dlatego, że są one świadkami chrześcijańskiej przeszłości tego regionu. Zabytki dzielą los „potomków" tej religii, którzy jeszcze dzisiaj żyją na tej ziemi.

Pierwsza wyprawa z Paolo

Pamiętam ją dokładnie. Pamiętam, jak bardzo byłem podekscytowany. Miałem zobaczyć pustynię. Co ja mówię, nie zobaczyć, ale przejść po niej parenaście kilometrów, dojść do rumowiska antycznych kamieni, resztek klasztoru Mar Musa al Habashi, spędzić tam kilka dni, spać na otwartym powietrzu, bez namiotu i śpiwora. Nie poszedłem sam. Towarzyszył mi, a raczej powinienem powiedzieć, to ja towarzyszyłem młodemu studentowi teologii, też jezuicie. Miał na imię Paolo i miał za sobą okres inicjacji na Bliskim Wschodzie. Znał on już wtedy dość dobrze język arabski, bywał w Libanie z misją Czerwonego Krzyża podczas wojny domowej i, co w tym momencie było najważniejsze, odbył już parę razy wyprawę do Mar Musa. Młodszy ode mnie, ale wziął na siebie przewodnictwo naszej wyprawie. Tropiciel śladów, któremu w dzikiej dżungli towarzyszy podróżnik, niemający jak dotąd innego doświadczenia jak chodzenie po miejskich chodnikach i brukach. Tak wyglądaliśmy. Paolo wiedział doskonale, co należy zabrać ze sobą, którędy iść, aby nie zagubić się na pustyni, czego unikać i na co zwracać uwagę.

Paolo był rosłym młodym mężczyzną, krótko ostrzyżonym, z gęstą niedługą brodą. Głos miał równie potężny jak posturę. Miał

też temperament rasowego Włocha, rzymianina, dla którego nic nie jest niemożliwe. Rozsadzała go energia, ale nie była to ślepa energia osiłka. Paolo był człowiekiem wybitnie inteligentnym, pełnym pomysłów, ciekawych przemyśleń i wielkich planów. Zauważyłem, że był wyraźnie zadowolony z tego, że będzie mógł mi pokazać *deir*, czyli klasztor Mar Musa. Od razu było widać, że jest to jego wielka pasja.

Później jeszcze nieraz konstatowałem z prawdziwą admiracją to, jak doskonale się dobrali: potężny, masywny Paolo o niespożytej sile i inwencji twórczej oraz klasztor Mar Musa, leżący przy *wadi*, czyli dolinie, która była tutaj raczej wąskim żlebem o wysokich, skalistych zboczach. Tak, pasowali do siebie idealnie – kamienne nagie góry z ich nagłymi uskokami i wysokimi ścianami, rzeźbionymi przez przyrodę w fantazyjne wzory, i ten młody zakonnik, który chciał odbudować antyczny klasztor, nie tylko z kamieni, ale z żywych kamieni konkretnych ludzi, tak jak on gnanych przez Ducha w kierunku wielkiej przygody.

Mówiąc o Paolo Dall'Oglio, należałoby dzisiaj w pierwszym rzędzie powiedzieć *rais* Mar Musa – szef Mar Musa, czyli w języku eklezjalnym: przeor klasztoru Mar Musa. Najczęściej jednak mówiono o nim i zwracano się do niego: *abuna*, czyli „ojciec" Paolo, względnie po arabsku: *abuna* Bulos. Paolo umiał dobrze wykorzystywać swoje koneksje włoskie, watykańskie i jezuickie. Zawsze najpierw tam szukał poparcia instytucjonalnego, finansowego i organizacyjnego, dla założonej przez siebie ekumenicznej wspólnoty mnichów i mniszek.

Formalnie *deir* Mar Musa należał do Kościoła katolickiego rytu syriackiego z siedzibą biskupią w Homs. Takie rozwiązanie było

możliwe, bo *abuna* Paolo został wyświęcony w tym właśnie rycie, i w tym rycie odprawiał codzienne Msze św.

Jeszcze jako student teologii, wiedząc o tym, że po święceniach kapłańskich będzie pracował na Bliskim Wschodzie, zaczął się uczyć języka arabskiego, doskonaląc go w czasie wakacji w Damaszku, na specjalnych kursach. Jednocześnie już wówczas bardzo zabiegał o bliższe kontakty ze światem muzułmańskim, między innymi z fakultetem prawa muzułmańskiego. Zanim przyjechał na Bliski Wschód, aby w pełnym wymiarze zająć się pracą apostolską, już znał Liban i Egipt. Warto zauważyć, że Liban, Egipt, Syria i Turcja stanowią terytorium kanoniczne jezuickiej Prowincji Bliskiego Wschodu.

Pamiętnego lata 1981 r. – pamiętnego z racji wagi tego wydarzenia dla historii *deir Mar Musa* – Paolo Dall'Oglio odbył rekolekcje na pustyni, które zadecydowały o całej jego przyszłej działalności i ją ukierunkowały. Odbywały się one właśnie w ruinach owego klasztoru i w pewnym sensie były dziełem przypadku. Zastanawiając się nad ośmiodniowymi rekolekcjami, które każdy jezuita odbywa raz w roku, Paolo szukał jakiegoś miejsca nietypowego, najlepiej położonego na pustyni, nawet gdyby tam nie było żadnej infrastruktury cywilizacyjnej, ważne było jedynie, aby miało ono jakieś duchowe odniesienie do wczesnego chrześcijaństwa. A to rozwijało się tutaj, na terenie syryjskiej prowincji Cesarstwa Rzymskiego, od pierwszej chwili, czyli od czasów apostolskich. Paolo chciał uniknąć rutyny znanych mu dobrze domów rekolekcyjnych. Nie bardzo wiedziano, co mu zaproponować, bo człowiek ulega magii stereotypów i na hasło „rekolekcje", od razu przychodzą mu na myśl określone adresy. Te

jednak były dla Paolo mało atrakcyjne. Byli tacy, którym poszukiwania Paolo wydawały się mało poważne albo wręcz zakrawały na kaprys młodego rzymianina spragnionego atrakcji. Zupełnie przypadkowo i trochę *pro forma*, wspomniano mu wówczas o Mar Musa, z przekonaniem, że i tak nie jest to miejsce, którego Paolo szuka. Zupełnie bowiem nie spełniało tradycyjnych standardów rekolekcyjnych. Znane było tylko niektórym, jako miejsce dawnego klasztoru, który popadł w całkowitą ruinę. Odwiedzali je bardzo rzadko jacyś przypadkowi myśliwi lub poszukiwacze skarbów, którzy dopełniali dzieła zniszczenia, ryjąc w ziemi, albo wybijając dziury w ścianach. Mówiąc „myśliwi", używam skrótu myślowego, chodzi mi bowiem o mężczyzn, którzy powodowani nostalgią za łowami albo raczej za ich mitem, urządzali sobie od czasu do czasu miłe wycieczki, w wesołej kompanii, przypominające trochę harcerskie gry terenowe połączone ze strzelaniem na wiwat z dubeltówek. Zwierzyna łowna na pustyni syryjskiej została bowiem dawno i bardzo skutecznie przetrzebiona, podobnie jak lasy, które kiedyś porastały nagie dziś góry Antylibanu.

Paolo przyjął jednak propozycję z zapałem i, jak sam mówi, „od tych rekolekcji wszystko się zaczęło". Wrócił z nich z przekonaniem, że materialną i duchową bazą działania będzie dla niego właśnie ten klasztor. Przywiózł z rekolekcji kilka rysunków, które sam wykonał i już wtedy, w tych ruinach, pośród których odprawił swoje rekolekcje, widział oczyma wyobraźni zrekonstruowany budynek klasztorny, wtopiony w pejzaż gór, stojący na szczycie wyniosłej skały. Wokół niego przewidywał kamienne domki, postawione jeden przy drugim, pnące się po

zboczu góry, gotowe do przyjmowania pielgrzymów i prowadzenia działalności gospodarczej. Był przekonany, że na tej pustyni znów zazieleni się i rozkwitnie życie monastyczne. Jego przygotowania do podjęcia pracy w Syrii konkretyzowały się i nabierały nowej dynamiki.

W tym samym czasie zrodził się mit, który trwa po dziś dzień, iż sam Mar Musa al Habashi, założyciel tego klasztoru, znów pojawił się w okolicy i we własnej osobie nawiedził swój klasztor, w którymś kiedyś mieszkał. Podaje się, że widzieli go na własne oczy dwaj pasterze, którzy tutaj zajrzeli pewnego dnia. Przeszli przez niski otwór bramy klasztornej, przebyli ciemny korytarz prowadzący do wejścia kościoła, doszli do małej otwartej przestrzeni, którą można nazwać wewnętrznym dziedzińcem klasztoru i, ku swojemu zdziwieniu, zobaczyli pośród kamiennego rumowiska postać modlącego się mnicha z czarną *kufiją* na głowie. Miał gęstą brodę, pogrążony był w modlitwie i ani drgnął, gdy oni przybyli i stanęli opodal. Był wyniosły i surowy. Nie czekali, aż ich zagadnie i nie było im w głowie, aby uczynić to w stosunku do niego. Wycofali się szybko i pomknęli do Nebek, żeby obwieścić swoim bliskim, że mieli widzenie Mar Musa. Wieść ta rozeszła się po całym miasteczku i w taki to sposób, zanim Paolo jeszcze przybył do Syrii na stałe, już stał się postacią legendarną.

Projekt rekonstrukcji starożytnego klasztoru i wskrzeszenia życia monastycznego na pustyni gór Kalamun był tak nieprawdopodobny, że absolutnie nikt się nim nie przejmował. Na szczęście dla Paolo nikt poważnie nie brał jego młodzieńczej, „narwanej" inicjatywy budowy gołymi rękami klasztoru na pustyni – i to przez grupkę entuzjastów bez doświadczenia. Ani władze

kościelne, ani państwowe nie traktowały letnich obozów organizowanych przez Paolo inaczej niż młodzieżowe wypady z gitarą i modlitwą, którym towarzyszyło zbieranie kamieni i układanie ich w pryzmy. Przecież Paolo nie był nikim więcej jak tylko młodym Europejczykiem, znającym języki i biegłym w teologii, ale bez żadnego doświadczenia w życiu na pustyni i odbudowywaniu klasztorów.

Śmieszne wydawały się również jego plany powołania wspólnoty mnichów i mniszek na tym odludziu. „Kto się do takiej wspólnoty zgłosi" – mówiono. „Gdzie będą mieszkali? Kto będzie ich utrzymywał?". Tym bardziej, że w zamiarach Paolo miała to być wspólnota przyjmująca również pielgrzymów i wolontariuszy, którzy chcieliby towarzyszyć mnichom w ich życiu duchowym i prowadzeniu klasztoru. Sprawa była tym bardziej nieprawdopodobna, że Paolo nie miał jeszcze święceń kapłańskich i brakowało mu jeszcze całego roku do ukończenia studiów teologicznych. Nic zatem dziwnego, że każdy, kto zetknął się z takimi wizjami, przyjmował je z uśmieszkiem niedowierzania i nawet jeśli nie szedł za tym jakiś głośny komentarz, to i tak było wiadome, że cały ten projekt jest wymysłem młodego marzyciela, który spędził osiem dni na pustyni i oszołomiony egzotyką tego miejsca wymyślił sobie powołanie nowego Mojżesza Abisyńskiego.

Wielkim sprzymierzeńcem Paolo okazała się także pustynia. Nie zawiodła go, zarówno od strony oceny realności projektu, jak i samej jego realizacji. Jako że chodziło o pustkowie, kwestie prawne sprawy przedstawiały się o wiele lepiej niż gdyby chodziło o tereny położone gdzie indziej. Tutaj było dużo więcej swobody, zarówno w zakresie planów budowlanych, jak i ich wykonywania.

Na pustyni było znacznie mniej inwigilacji ze strony administracji państwowej, tym bardziej, że w tym wypadku chodziło o miejsce sakralne. Były to przecież ruiny dawnego klasztoru, a więc miejsce posiadające szczególny status. Łatwo było więc przyjąć tezę, że nie jest to budowa, ale restauracja czy wręcz remont miejsca kultu, należącego do Kościoła katolickiego.

Paolo w pewnym sensie był Beduinem, panem pustyni, człowiekiem wolnym, nieposiadającym żadnego określonego obywatelstwa, a tylko przynależność plemienną. Beduin poruszał się swobodnie po pustyni należącej administracyjnie do różnych państw, ale nie był związany tymi ograniczeniami prawnymi, pasał swoje stada owiec i kóz, wędrował z nimi tam, gdzie dostrzegał obfitsze pastwiska. Ta rzeczywistość na Pustyni Arabskiej już się skończyła, ciągle jednak trwa pamięć o Beduinach i wciąż funkcjonuje pociągająca poetyka nomadów, w którą Paolo umiał się doskonale wpisać. Traktowany był przez sąsiadujących z nim pasterzy i przez ludność lokalną jako *szejch* i naczelnik szczególnego plemienia, znajdując przez to duży szacunek i uznanie. To również ułatwiało mu działanie, otwierało przed nim bramę dużej, niemal nieograniczonej i spontanicznej kreatywności.

Wielką zaletą Paolo była zdolność do natychmiastowego działania. Nie czekał z pracą do ukończenia studiów i przyjęcia święceń kapłańskich, ale zabrał się do niej od razu, gołymi rękami, z tymi ludźmi, którzy w tym momencie byli razem z nim... Nie uprzedzajmy jednak faktów.

Szliśmy zatem do *deir* Mar Musa pustynną, słabo widoczną drogą, która prowadziła wzdłuż wyschłego strumienia. W istocie trudno było nazwać strumieniem ten szeroki a czasem gwałtownie

przewężający się kanion, w którym jedynie czasem płynęła woda. Wyłącznie wtedy, gdy na nagie stoki gór Kalamun spadł zimą deszcz, względnie śnieg a potem gwałtownie zaczął się topić. Niezatrzymywane niczym wody spływały po kamiennych stokach jak po rynnie i w mgnieniu oka dno kanionu stawało się rwącą rzeką, toczącą głazy po swoim dnie. Kto znalazłby się w tym czasie w wąskim korycie *wadi*, nie zdołałby uciec. Niebezpieczeństwo to jednak zdarza się bardzo rzadko, bo te tereny nieczęsto nawiedza deszcz, podobnie jak ludzie. Ponadto, nadchodząca woda robi tak wielki huk, jak gdyby przez góry szła pancerna armia i waliła przez cały czas z ciężkich dział. Jest zatem szansa, że ktoś zdąży wspiąć się wyżej na ścianę kanionu i ujdzie śmierci.

Pustynia nie kryje jednak wyłącznie niebezpieczeństw. Zatrzymaliśmy się chwilę przy kępie pustynnych fig, które miały owoce twarde jak orzechy, a słodkie jak miód. Miały też wielkość orzechów, czyli były karłowate i posiadały bardzo grubą skórę. Chroniła ona wysuszony miąższ przed kompletnym zdrewnieniem. Schowałem garść tych fig do kieszeni plecaka.

Następny postój miał miejsce po paru godzinach mozolnego marszu, na rozległym, umoszczonym płaskimi łupkami szczycie. Paolo wskazał mi ręką kierunek. Odwróciłem się do tyłu i zobaczyłem, jakby z lotu ptaka, małe miasto Nebek, z którego wyszliśmy przed kilkoma godzinami, z jego zieloną strefą ogrodów, leżących wzdłuż strumienia, który jeszcze kilkadziesiąt lat temu nawadniał pobliskie ogrody, stanowiące chlubę mieszkańców tego miasta. Dzisiaj źródła te wyschły a strumień porosły rachityczne zielska. Ogrody istnieją jednak nadal, dzięki studniom głębinowym, z których czerpana jest woda. Stoją w nich

kolorowe, letnie domki, a czasem luksusowe wille tych, którzy pracują w Arabii Saudyjskiej albo w Emiratach.

Zielona strefa ogrodów jest jednak niewielka. Szybko kończy się kilkoma pojedynczymi drzewami, trzymającymi się życia resztkami sił. Za nimi zaczyna się kamienne pustkowie z kępami suchych traw i ostów. Jeszcze dalej leżało miasto Jabrud z dziwną, równo obciętą z wszystkich stron górą, o zupełnie płaskim szczycie, wyglądającą jak wielki, żółto-biały cylinder. Jeszcze dalej, na horyzoncie rysował się łańcuch gór Antylibanu. Długą chwilę patrzyliśmy na ten widok i poczułem wtedy coś dziwnego. Miałem wrażenie, że to, co czynimy, jest jakieś nierealne, jakieś zawieszone w próżni, widziane z lotu ptaka. Poczułem, że nasza wędrówka do Mar Musa jest w pewien sposób jakimś tajemniczym spektaklem, w którym uczestniczę, ale go zupełnie nie ogarniam, bo znacznie przewyższa moje rozumienie zdarzeń, kierunki mojego życia, to, co teraz się dzieje i to, co wydarzyło się kiedyś. Zupełnie jakbym ujrzał nagle pojawiające się przede mną szerokie wody dziwnej rzeki; nie wiedziałem, czy mam przejść na drugi brzeg, czy przepłynąć; popłynąć z jej prądem, czy pójść pod prąd. Zupełnie tego nie wiedziałem, ale nie było to dla mnie ani przykre, ani przerażające. Nie niepokoiłem się tym wcale, bo nie byłem sam. Miałem poczucie obecności Kogoś, kto nad wszystkim panuje i wszystko wie. Nie przyszedłem tutaj z własnej woli. Nie szukałem siebie, szedłem za głosem, który jest we mnie, ale nie był to mój i jedynie mój głos. To On mnie prowadził i zawiódł na tę górę. Ja nigdy o tym nie myślałem i nigdy nie marzyłem, żeby na nią wejść. To On mnie na nią przywiódł, a teraz spokojnie położył mi rękę na ramieniu i dał do zrozumienia, że nie mam czego się

bać. On wie, dokąd ta rzeka płynie. On wie, jak mnie poprowadzić dalej.

Krótko po tym przeżyłem potwierdzenie tego, że moje zaangażowanie na tej ziemi posiada drugie, niewidoczne dno. Z jednej strony, stoję sobie z Paolo i odpoczywam po długim marszu w słońcu. Czuję wiatr, widzę przed sobą pejzaż, jak każdy, kto wejdzie na tę górę, jednocześnie czuję coś specyficznego, coś na kształt uroczystego momentu, który można porównać do zawarcia przymierza albo raczej do uroczystego potwierdzenia przymierza, które zostało zawarte wcześniej – w kraju, z którego pochodzę, przed ołtarzem, wobec moich bliskich i wobec tych, którzy przyszli na tę uroczystość do kościoła akademickiego na KUL-u. Wtedy wypowiadałem słowa, które teraz przybrały kształt gór Antylibanu w perspektywie, gór Kalamun, po których stąpam, obcego kraju, Syrii, kościoła w Damaszku i tego Kościoła, który nie istnieje, po którym pozostały wyłącznie ślady ruin. On też należy do słów przymierza, które zostały zawarte. Tam i tutaj był ten sam Głos i ta sama Obecność, która porządkuje wszystko i wszystkiemu nadaje sens, niczym wielka rzeka historii, która spokojnie płynie, bo wie, dokąd zmierza. Ja mam iść za tym Głosem i wtedy posiądę mądrość rzeki. Będę wiedział, kiedy mam przez nią przejść na drugi brzeg, kiedy płynąć...

Odebrałem to jako moment rodzenia się we mnie pewnego piękna, które mając swoje źródła gdzieś tutaj w tej pustynnej przestrzeni, dotyka mojego wnętrza i budzi mistyczne struny moich odczuć i wrażeń. Tak, to nie była już z całą pewnością wycieczka, to była pielgrzymka, jakieś tajemnicze zaślubiny, w które wchodzimy w milczeniu, krok za krokiem, zasłuchani

i zapatrzeni w coś, co jest niewidoczne, coś, co jest przed nami. Mamy jednocześnie świadomość, że powinniśmy strzec tego piękna, i że ono nie tylko do nas należy. Jest to moment wzruszenia, który zaskakuje człowieka, doprowadzając go do łez, ale nie ma w tym nic nadzwyczajnego, łzy przecież towarzyszą wszystkim narodzinom. Były to w jakiś sposób nowe narodziny. Dokonał się nowy wybór albo ten stary wybór został odnowiony. Na nowo wypowiedziałem słowo „tak", już nie abstrakcyjnie, w sposób otwarty na różne opcje, ale „tak" konkretne, związane z tymi górami, tym słońcem, tą ziemią. Poczułem wówczas, i to jest również bardzo ważne, że tutaj, na tej obcej ziemi, na tej pustyni, JEST MI DOBRZE, bo jestem u siebie, bo JESTEM Z NIM.

Potem szliśmy dalej w jeszcze głębszym milczeniu. Choć właściwie nie powinienem tak mówić, bo nie wypada swoich uczuć przypisywać komuś innemu. Lepiej jest mówić o sobie. A więc szedłem w głębszym jeszcze milczeniu niż poprzednio i czułem się bardzo uduchowiony. Mistyczne uniesienie nie trwało jednak długo. Na ziemię sprowadziło mnie nagle zatrzymanie się Paolo. Chciał opatrzyć sobie nogi. Przeszarżował trochę ze swoją prostotą i ubóstwem. Zamiast w butach, wybrał się na naszą eskapadę w plastikowych laczkach. Nic dziwnego, że po paru godzinach marszu palce u jego stóp były całe zakrwawione. Tak jak potrafił, opatrzył sobie obie stopy kawałkami papieru higienicznego. Śmiesznie się prezentował z tymi białymi papilotami, trochę jak niedobitek armii napoleońskiej z wiechciami słomy.

Drugi raz zatrzymaliśmy się gdzieś po upływie godziny. Kiedy wyszliśmy zza wielkiej, pionowo sterczącej skały, Paolo się zatrzymał. Wskazał mi ręką gdzieś przed siebie i powiedział:

„Spójrz. Mar Musa”. Przez długi moment nic nie widziałem poza tym, że po jednej i po drugiej stronie ścieżki są zbocza i że zbiegają się one w dole, tworząc kamienną *wadi*. Nie mogłem dojrzeć żadnej budowli. Dopiero później, gdy sprecyzował, gdzie mam szukać budynku, dojrzałem wreszcie *deir*. Stał w połowie zbocza górskiego, mało dostrzegalny, bo był tego samego koloru, co okoliczne skały. Stał nie na szczycie, jak go sobie wyobrażałem i co sugerowały zdjęcia, ale gdzieś w połowie górskiego zbocza, niezbyt wysoki, sięgający – jak mi się zdawało – raptem gdzieś do wysokości drugiego piętra.

Paolo był rozanielony. Zdjął z głowy *kufiję*, jakby chciał tym gestem powitać cel naszej podróży albo przyjąć błogosławieństwo, które nań spływa z tego odległego miejsca, przyjąć od czubka głowy, ostrzyżonej na jeża, przez siwą od kurzu brodę, szarą bluzę, sfatygowane spodnie, aż po stopy upstrzone białymi papilotami i kamienistą ziemię gór Kalamun. Paolo promieniował radością i skupieniem. Przyłączyłem się i ja do tego świętowania zrodzonego na widok klasztoru. Chwaliłem w duchu Tego, który stworzył te góry, a w ich środku, w samym sercu kamiennej pustyni, zbudował sobie dom, do którego dzisiaj Paolo zaprosił i mnie.

Coś niesamowitego było w tej martwej ciszy a przecież pełnej życia. Coś jak muzyka, której normalnie nigdy nie słychać, ale nam włączyły się jakieś tajemnicze słuchawki i oto tańczyliśmy, nie ruszając się z miejsca. Góry też tańczyły z nami i kamienista *wadi* również.

Z tego miejsca trzeba było podejść jeszcze około dziesięciu minut, aby zejść z górskiej ścieżki i po minięciu kamienistego zbocza oraz

kilku załomów skalnych znaleźć się w miejscu przeznaczenia.

Po drodze przeszliśmy koło cysterny z wodą, która była dla mnie zupełnie niewidoczna i gdybym był sam, z pewnością bym ją przeoczył. Nie była to bowiem żadna budowla, ani żadne urządzenie, ale podziemna grota. Była to zatem cysterna naturalnego pochodzenia, ale z pewnością potrudził się też trochę człowiek, aby ją powiększyć i wygładzić. W rezultacie stała się ona zbiornikiem wody, ku któremu zmierzały ledwo dostrzegalne kanaliki zbierające deszczówkę lub topniejący śnieg z całej pochyłości góry. Oczywiście w terenie pozbawionym źródeł i strumyków cysterna stanowi życiową konieczność dla pasterzy i wypasanych przez nich stad owiec i kóz. Kiedyś w tej okolicy było wielu pustelników, ale i oni, pomimo ich ascetycznego rygoru, bez tych kamiennych cystern nie mogliby żyć. To samo odnosiło się również do mnichów, którzy przez kilka wieków zamieszkiwali klasztor Mar Musa.

Druga cysterna, podobna do tej pierwszej, znajdowała się w samym wnętrzu zabudowań klasztornych, koło jednego z filarów kościoła. Był to kiedyś główny rezerwuar wodny wspólnoty mniszej, która w pewnym okresie liczyła sobie nawet kilkudziesięciu członków i miała w swoich szeregach biskupa.

Nie mieliśmy potrzeby korzystać z wody, którą widać było na dnie cysterny, bo zabraliśmy ze sobą z Nebek jej duży plastikowy galon. Chcąc jednak ją oszczędzić, głównie zaś z ciekawości jak smakuje pustynna woda, zaczerpnęliśmy jej trochę, korzystając z manierki zawieszonej na sznurku. Okazała się zielonkawą, dość zawiesistą cieczą, w której z pewnością było mnóstwo drobnoustrojów. W rezultacie nie wiedzieliśmy, czy to, co pijemy,

jest jeszcze herbatą, czy już sporządzoną przez nas bez żadnej receptury i wysiłku, zupą Mar Musa.

Spotkanie z wodną cysterną pozwoliło mi zrozumieć szereg epizodów biblijnych. Na przykład ten mówiący o Józefie, wrzuconym do studni przez zawistnych braci i sprzedanym potem kupcom z Madianu, udającym się do Egiptu. Cysterna bowiem, jako podziemna grota, mogła spełniać doskonale rolę więzienia, gdyż była zbyt głęboka, aby móc samodzielnie się z niej wydostać. Wrzucony do niej człowiek znajdował się w lochu bez możliwości wyjścia i tylko z zewnątrz mógł nadejść ratunek w postaci spuszczonej liny.

Pierwszy wieczór

Po dotarciu do klasztoru nie mieliśmy zbyt wiele czasu. Słońce bowiem schowało się już za ścianę gór. Koło klasztoru wiodła kiedyś, znana od czasów starożytnych, droga handlowa i właśnie dlatego Rzymianie zbudowali na półce skalnej, zwisającej nad głęboką przepaścią i odgrodzonej od zbocza górskiego wysokim murem, strażnicę. Po kilku wiekach, mury tej strażnicy stały się częścią zabudowań klasztornych. Do dziś jest to widoczne w ich fakturze.

Kiedy słońce schowa się za koroną górskich szczytów, od razu czuje się spadek temperatury. Znika uciążliwy upał, a z upływem godzin wieczornych, stopniowo, pojawia się chłód. Słońce nie zaszło jednak jeszcze całkiem, a jedynie schowało się za szczytami, było więc jeszcze całkiem jasno, i wreszcie w miejsce duszącego upału zagościło w Mar Musa przyjemne ciepło. Mogliśmy wygodnie odpocząć po długiej i męczącej drodze.

Robiliśmy to w milczeniu. Każdy z nas zajęty był swoimi myślami i przeżyciami. Potem zrobiliśmy sobie szybką kolację. Zjedliśmy trochę sera zawiniętego w arabski chleb podobny do naszego naleśnika, wyciągnęliśmy kilka oliwek z nylonowego woreczka, parę surowych ogórków, a potem jeszcze chałwę, którą konsumuje

się tutaj na co dzień, mniej więcej tak jak my to czynimy z marmoladą czy dżemem. Najważniejsza była jednak herbata, zaparzona w imbryku i rozlewana do małych szklanek, pita krótkimi łykami, w kompletnej ciszy. Kolację spożywaliśmy obserwując zachodzące słońce.

Wokół nas był już głęboki cień, przed nami jednak, tam, gdzie zaczynało się kolejne pasmo gór, ich odległe stoki wciąż rozpalone były słońcem. Przypominały żywy ogień. Cisza była tak wielka, że aż dźwięczało nam w uszach. Nie było nawet najmniejszego powiewu wiatru i pewnie dlatego skały wydawały się mi jeszcze bardziej nieruchome aniżeli wymagałaby tego ich skalna natura. Miałem wrażenie, jak gdyby w pewnym momencie cała przyroda przestała oddychać, obserwując z nami ceremonię gasnącego na horyzoncie światła.

W tej absolutnej ciszy zauważyłem, że mój umysł pracuje o wiele intensywniej niż zwykle, i że robi to jakby na jakichś nowych nieznanych mi dotąd zasadach. Góry przestały być zwykłym zbiorowiskiem skalnych ścian i rumowiskiem głazów oraz kamieni. Emanowała z nich jakaś dziwna, zaklęta wewnętrzna prawda, której normalnie nie jesteśmy świadomi. Skały zaczęły przybierać kształt wałów obronnych i zamkowych murów z blankami, wieżami, otworami strzelniczymi i wielką masą postaci ustawionych w najróżniejszych, fantastycznych pozach. Stały na murach, przejeżdżały przez mosty zwodzone na koniach, wozach i pieszo. Postaci było dużo, jedne następowały za drugimi. Całe ich grupy, fala za falą, zaklęte w jakieś strasznie patetyczne, tryumfalne, bohaterskie, ale i całkiem trywialne pozy. I chociaż to widowisko dokonywało się w kompletnej ciszy, można było niemal

słyszeć całe spiętrzenie dźwięków, tę kakofonię rozmaitych odgłosów, dudnienie bębnów, głos surm bojowych, rżenie koni, szczęk stali uderzającej w stal, wrzaski przerażenia, wzywanie pomocy. To wszystko przesuwało się przed moimi oczami albo raczej przed oczami mojego mózgu, który jakimś sposobem to zobaczył, w niekończącym się korowodzie coraz to nowych figur, coraz nowych postaci, niczym tajemniczy negatyw filmowy, który nagle cudownie ożył i z celuloidowej rolki wywołał zaczarowany świat ruchów i kolorów.

Wiedziałem, że jest to tylko moje przywidzenie, rodzaj snu na jawie, bo skały są przecież tylko nieruchomymi skałami. A ten cudowny film, to wytwór mojego mózgu, który w trochę dziwny sposób przeżywał swoją pierwszą przygodę podczas pustynnej nocy. Miałem jednocześnie mocne przekonanie, że tego, co zobaczyłem, nie można nazwać po prostu ułudą i na tym zakończyć. Ten spektakl rzeczywiście się wydarzył. Nie w takiej wersji, w jakiej go widziałem, bo tych wersji może być wiele. Nie chodzi bowiem o jakiś konkretny sposób wyrażania się prawdy, która do mnie przemawiała, ale chodzi o samą prawdę. To właśnie ją zobaczyłem, a w jaki sposób, to już rzecz drugorzędna. Sposobów doświadczenia czy wersji konkretnego spektaklu, na konkretnej pustyni, w konkretnym momencie zachodu słońca może być miliony, prawda jest zaś jedna, mimo że posiada wiele scenariuszy. Trzeba szukać czegoś uniwersalnego, co te wszystkie scenariusze zjednoczy, czyli po prostu PRAWDY. A może raczej, i tak trzeba powiedzieć, DAĆ ZNALEŹĆ SIĘ PRAWDZIE. Taka jest natura prawdy. Ona się nie broni, nie trzeba jej zdobywać, bo ona z nikim nie walczy, nie ukrywa się. Czeka, aż się ją przyjmie, puka do drzwi,

obok nas cicho przechodzi. A cicha jest, bo nie ustawia się w rzędzie, razem z krzykaczami, którzy robią wszystko, by zwrócić na siebie uwagę, by nas uwieść, posiąść i opanować. Wymyślają oni coraz śmielsze „atrakcje", byśmy od nich nie odeszli, a jeśli się one skończą, to, jako środek nacisku i szatańskie zabezpieczenie, pojawiają się groźby, które rosną proporcjonalnie do ludzkiego rozczarowania i strachu.

Te wszystkie udawane prawdy mają wspólny cel: odizolować nas od milczenia i uchronić od ciszy, gdyż w takich warunkach krzykacze tracą swoją władzę nad nami.

Jedynie PRAWDA posiada ten jedyny w swoim rodzaju przywilej przekonywania człowieka ewidentnością siebie samej. Dla niej nie są ważne ani kostium, ani scena. Ona się sprawdza w każdej scenografii życiowej, wszędzie tam, gdzie chce się ją przyjąć, wszędzie tam, gdzie jest pustynia, gdzie choćby jej skrawek i gdzie człowiek, pijąc herbatę w milczeniu, nie zastanawia się nad spektaklem istnienia, ale pozwala temu spektaklowi rozwinąć się przed sobą.

Jeżeli nie chcemy usłyszeć prawdy, jeżeli nie umiemy słuchać ciszy – przyglądając się zachodowi słońca i pozwalając celuloidowej rolce naszej duszy dać się prześwietlić światłem Słowa, które rodzi się w naszym wnętrzu, by zrozumieć, po co żyjemy – jesteśmy milczącymi skałami. Nie zrozumiemy, jaki sens ma nasze życie, nie zrozumiemy, po co w ogóle spotykać się z sobą samym. Nie po to, aby wyrokować i wystawiać sobie oceny, ale po to, aby zdobyć się na łagodną cierpliwość spojrzenia sobie w oczy, bez durnej pretensji, że wszystko trzeba zrozumieć, wtłaczając to w system

pojęciowy, który ciągle się nam rozlatuje, a my nieustannie go łatamy.

Gubimy się, naprawiając nieustannie tę fikcję i nie wiemy, dlaczego ona ciągle rwie się nam na strzępy. Wydaje się nam, że za wszelką cenę powinniśmy jej bronić, a tymczasem są to fantomy. Tylko prawda daje człowiekowi wyzwolenie i tylko dzięki niej może on poznać swoje rzeczywiste imię. Dzięki niej może stać się sobą i otworzyć sobie drogę do najważniejszego SPOTKANIA, bez którego nigdy w jego życiu nie zdarzy się i nie spełni MIŁOŚĆ.

Siedzieliśmy nieruchomi, urzeczeni niemym spektaklem wieczoru. Zajęci swoimi wizjami i myślami, nie odzywaliśmy się do siebie. Nie jest to jednak najważniejsze, bo nie chodzi o formę, ale przede wszystkim o treść. Nie miałem ochoty tego analizować. Wszystko jedno, jaki był psychiczny mechanizm tego, co widziałem i tego, co się rodziło w mojej duszy. Jedno i drugie było prawdziwe. Prawdziwe, bo rodziło się w głębi mojej jaźni, we mnie; bo pochodziło z tej ziemi, która była pod moimi stopami, do której przybyłem z dalekiego kraju, i na której teraz leżałem wyciągnięty. Po prostu przeszła tędy historia – powiedziałem sobie. Powiedziałem również, że trzeba dużo milczenia, aby zrozumieć tajemnice tej ziemi, dużo rezerwy co do czytelności naszych doznań i racjonalności naszych konkluzji, ale też dużo odwagi, aby przed nimi nie uciec i dużo pokory, aby się przed nimi wyniośle nie bronić.

Kiedy pojawił się księżyc, mogłem podzielić się z Paolo przekonaniem, które pojawiło się po raz wtóry, że nasza wyprawa, to nie wycieczka, ale autentyczna pielgrzymka. Moja osobista, a jednocześnie uniwersalna, nasza wspólna. Pielgrzymka, która

sięga historii tych gór i tej *wadi*, w której się teraz znajdowaliśmy. Tyle przeszło tędy karawan, tylu kupców się przewinęło, tyle przewieziono towarów, tylu strażników czuwało nad bezpieczeństwem ludzi. Tyle tu było szczęku broni, nawoływań, spojrzeń groźnych i szukających pomocy. Tyle różnych języków, ubiorów, osobistych wyznań czynionych swoim albo obcym, w jasne dni i podczas księżycowych nocy, kiedy wszystko staje się widoczne niemal jak w dzień. Przecież ten sam księżyc świecił tutaj kiedyś, gdy mieszkali w *deir* Mar Musa mnisi. Przecież tak samo siadywali tutaj albo gdzieś niedaleko pustelnicy, pochowani w załomach skalnych i grotach. Nic się od tego czasu nie zmieniło, to samo słońce w dzień pali skalistą ziemię, a nocą ten sam księżyc oświeca sterczące milcząco skały. Również cysterny wodne stoją w tym samym miejscu... Wszystko jest takie samo. Ta sama jest historia, rozgrywana inaczej, przez inne osoby, w innych ubiorach, mówiących innym językiem, ale przecież człowiek jest zawsze ten sam i w gruncie rzeczy zawsze o to samo mu chodzi. O to samo chodziło i nam, i tym, którzy mieszkają w Nebek i Damaszku, i wszystkim, którzy kiedyś tutaj żyli albo pojawią w przyszłości.

Przyrzekłem sobie wtedy uroczyście, że wierzę, iż ta ziemia wiele wie i wiele ma mi do przekazania. Będę jej słuchał. Jestem misjonarzem nie po to, aby każde milczenie zapełnić swoim gadaniem, ale by samemu starać się usłyszeć Słowo i to nie tylko to oficjalne, w czasie przez siebie wybranym i pochodzące tylko od pewnych osób, ale będę się starał słuchać go wszędzie i nieustannie. Bo tylko ten, kto umie słuchać, nie pozwala mówionemu przez niego słowu się zestarzeć. Kto mówi bez słuchania, staje się jak cysterna bez wody. Nadaje się tylko do tego,

aby być więzieniem. Kto do takiej cysterny wpadnie, bez pomocy z zewnątrz, nie wyjdzie na wolność. Nie chciałbym być więzieniem. Chciałbym mieć w sobie Bożego Ducha.

Dzień dobry, Boże

Ułożenie się do snu nie było żadnym problemem. Po prostu rozłożyliśmy się na swoich miejscach. Przykryłem się tylko derką, bo chłód był już wyraźnie odczuwalny. Głowę owinąłem w *kufiję*, żeby nie dać jakiemuś owadowi okazji do spenetrowania mego ucha. Mimo zmęczenia długo nie mogłem zasnąć i nie tylko dlatego, że kamienisty materac nie zapewniał mi nawet minimum komfortu, ale głównie z powodu gwiazd. Leżałem na wznak, a nad sobą miałem taką ilość gwiazd, że wydawało mi się, iż znalazłem się na innej planecie. Na pustyni nie ma wilgoci w powietrzu, dlatego są one tak wyraźnie widoczne i tak intensywnie świecą. Droga Mleczna była białą rzeką przecinającą czerń nieba. Wyglądało to tak, jakby nie zawierała wcale pojedynczych gwiazd, a była białym piaszczystym gościńcem z niezliczoną ilością punktów świetlnych po obu bokach.

Muszę jednak wyznać, że urok gwiezdnej nocy nie zawładnął mną całkowicie, a wszystko – przyznaję – przez strach. Nie chodziło bynajmniej o węże i skorpiony, przed którymi najczęściej przestrzega się podróżujących po pustyni, ale o przepaść. Przypomniałem sobie właśnie wtedy historię, która zdarzyła się, kiedy byłem jeszcze studentem i udałem się z kolegą Andrzejem

autostopem do Węgier. Spaliśmy wówczas w Czechosłowacji, w jakiejś sali gimnastycznej. Byliśmy bardzo zmęczeni trasą i marnym jedzeniem, a tu do naszej dyspozycji stało łóżko, składające się z kilkunastu ułożonych jeden obok drugiego materacy. Nic przyjemniejszego w tym momencie nie mogło nas spotkać. Zasnęliśmy natychmiast, ale budziłem się kilka razy w nocy i za każdym razem widziałem kolegę w innej części tego rozległego „łóżka". Śmiałem się rano, gdy ze sobą rozmawialiśmy, jak on sobie daje radę w normalnych warunkach, skoro do snu potrzebuje tak rozległej przestrzeni. Teraz obawiałem się, że może mi się to samo przytrafić. Wówczas nie obudziłbym się tak szczęśliwie wyspany jak on w Czechosłowacji. Wielkim straszakiem w takich okolicznościach jest nasza wyobraźnia, szczególnie gdy znajdujemy się w warunkach dla nas nowych. Wychodzą wówczas z zakamarków naszej pamięci jakieś zasłyszane kiedyś albo osobiście przeżyte historie, które w tych niezwykłych warunkach doznają niezwykłego zwielokrotnienia mocy. Prawdą było, że spaliśmy na półce skalnej, za którą rozpościerała się przepaść. Półka była dość szeroka i później niemal za każdym razem, kiedy odwiedzałem Mar Musa, zadawałem sobie pytanie, dlaczego tej pierwszej nocy tak się bałem. Było to jednak moje pierwsze spotkanie z pustynią, a dodać należy, że wówczas wiele miejsca na półce zajmowało rumowisko kamieni z budynków, które tutaj kiedyś stały, a na nich raczej nie mogliśmy ułożyć się do snu. Nie muszę chyba tłumaczyć, że nocne pacierze były tym razem szczególne gorące, szkoda byłoby przecież skończyć karierę misjonarza z powodu zbytniego turlania się po „łóżku".

Może z tego właśnie powodu obudziłem się bardzo wczesnym rankiem. I przeżyłem prawdziwy szok. Nie z tego względu, że przepaść była bardziej widoczna, ale z powodu pożaru... gór. Nie mogłem ochłonąć z wrażenia, kiedy zobaczyłem, że góry płoną. I nie był to bynajmniej dalszy ciąg moich nocnych przywidzeń. Słońce, którego praktycznie w Mar Musa nie widziałem, bo dotarliśmy do *deir* pod wieczór, kiedy było już schowane za szczytami gór, teraz świeciło prosto na otaczające nas skały. Były one żółtawego i białawego koloru, to wywołało ten kolorystyczny „wybuch", przypominający grę gigantycznych płomieni, otaczających z trzech stron antyczny klasztor. Z pewnością na mój odbiór tego zjawiska miało wpływ to, że byłem rozespany, a pustynia stanowiła dla mnie nowość. Moje zmysły były szczególnie wyostrzone na wszystko, co mnie otaczało. W każdym razie, trudno sobie wyobrazić bardziej skuteczną pobudkę. Kiedy się zorientowałem, że nic złego się nie dzieje, nie ma żadnej katastrofy i wraz z Paolo jesteśmy bezpieczni, pojawiła się fala nieopisanej radości. Płynęła ona z wdzięczności za odkrycie jeszcze jednej prawdy o Mar Musa, tej słonecznej, pełnej światła, która nastraja optymistycznie i sprawia, że chce się wielbić Boga po prostu dlatego, że On jest. Chce się śpiewać hymn pochwalny za cały świat i za wszystko, co na nim istnieje. Bo wszędzie widać ślady Jego obecności, wszędzie można podziwiać Jego piękno i wszędzie czuć Jego siłę, nawet tutaj, gdzie przyroda jest taka uboga... Ubóstwo nie stanowi przeszkody w dostrzeganiu Bożego piękna. Wprost przeciwnie, w tych ubogich warunkach w pewnym sensie jest ono jeszcze bardziej widoczne i przekonujące. Nie kontempluje się tu jakichś przyciągających wzrok detali, ale wzrok

wiedzie duszę dalej, a dusza woła jeszcze bardziej szczerze: „Dzień dobry, Boże!”.

Pierwsza Msza święta

Następnego dnia odprawiłem Mszę św. Paolo wtedy jeszcze nie był księdzem. Chcieliśmy, aby odbyła się ona rano z powodu obecnego wokół resztek nocnego chłodu. Okazało się to jednak niemożliwe, z tego prostego powodu, że nie było podstawowych nawet warunków, aby móc to uczynić w kościele, a zależało nam na tym, aby właśnie tam ją odprawić. Przed tysiącem przeszło lat była ona tu celebrowana we wspólnocie brodatych mnichów w czarnych chałatach. Wiedzieliśmy, że na miejscu, gdzie został zbudowany *deir* Mar Musa, najpierw stała rzymska wieża strażnicza, i że została ona częściowo wykorzystana przy budowie klasztoru. Wiedzieliśmy, że w tej okolicy było kiedyś wielu pustelników, z racji sporej ilości grot nadających się do zamieszkania i studni (cystern) z wodą deszczową. Okolica ta, z jednej strony, położona była niezbyt daleko od siedzib ludzkich, bo Nebek już wtedy było liczącą się miejscowością w tym regionie, z drugiej zaś strony, była to strefa pustynnej ciszy i ascetycznych warunków życia. Stopniowo klasztor się rozrastał. Posiadał dwa piętra poniżej poziomu bramy wejściowej; wykorzystano tu pochyłość skały, na której został on zbudowany. Dało to możliwość wygospodarowania dodatkowego

miejsca, które było bardzo pożądane ze względu na liczbę mnichów, sięgającą nawet sześćdziesięciu. Przez pewien czas rezydował tu również biskup Nebek. W środku zabudowań klasztornych znajdował się kościół z apsydą, pod którą ulokowany był ołtarz z drewnianym ikonostasem. Całe jego wnętrze było pokryte freskami. Jak wykazały prace konserwatorskie, posiadały one kilka warstw, bo kościół ten był kilkukrotnie remontowany i przemalowywany. Freski, które dotrwały do naszych czasów, były z XI i XII wieku. Zachowały się doskonale, czemu sprzyjał suchy, pustynny klimat i fakt, że były osłonięte od wiatrów oraz deszczu i śniegu, które się czasem trafiają w tej okolicy.

Widziałem fotografie wnętrza tego kościoła zrobione kilka lat przed naszym przybyciem. Zadziwiła mnie ich wyrazistość i integralność. Widoczne były tylko nieliczne ubytki. Niestety obecne w historii wojny, prześladowania, trzęsienia ziemi spowodowały spadek liczebności ludności chrześcijańskiej. Podziały w łonie Kościoła i związane z tym spory, a nawet walki dopełniły smutnego obrazu. Klasztor podupadł, a ostatni mnisi ponieśli śmierć męczeńską. Okazjonalnie była odprawiana w nim Msza św., głównie w święto jego patrona, to jest Mar Musa. Przychodziła wówczas delegacja chrześcijan z Nebek, aby spełnić ten obowiązek.

Sufit świątyni zawalił się w którymś momencie i w ten sposób zmienił się mikroklimat wnętrza. Ściany zostały wystawione na szkodliwe działanie zewnętrznych warunków atmosferycznych i po kilku latach szkody w integralności fresków okazały się katastrofalne. Nie tylko zresztą warunki atmosferyczne były tego przyczyną, zły wpływ miał również tzw. czynnik ludzki. Brama

deir została wyważona. Dostęp do wnętrza świątyni został otwarty dla wszystkich. Byli tacy, którzy próbowali tam szukać skarbów. Inni chronili się tam przed wiatrem pustynnym, paląc przy okazji ogniska. Jeszcze inni jedli tam, pozostawiając śmieci, które musieliśmy pozbierać. Byli też tacy, którym wygodnie tam było załatwiać potrzeby fizjologiczne, oraz tacy, którzy korzystali z okazji, aby wyrazić swoją pogardę dla chrześcijańskiej „niesubordynacji wobec prawa Bożego", które w islamie zakazuje malowania ludzi i zwierząt. Wiele malowideł nosiło ślady profanacji. Najczęściej przedstawione postaci miały „wydłubane" oczy. Natomiast, jeśli chodzi o kobiety, to postępowano z nimi bardziej wulgarnie, czyniąc dziury w ścianie w okolicach ich podbrzusza.

Jasną rzeczą było, że nie mogliśmy odprawiać Mszy świętej w takich warunkach. Najpierw należało kościół oczyścić i chociaż trochę uporządkować. Trzeba było pozbierać śmieci, zakopać wszystkie brudy i zbudować ołtarz. Wiedzieliśmy, gdzie stał kiedyś, ale to miejsce, jak i cała nawa kościoła były zagruzowane. Nie mieliśmy żadnych narzędzi. Odgruzowywanie odbywało się zatem gołymi rękami, tudzież puszkami po konserwach, które tam znaleźliśmy. Dużą radością było dla nas dokopanie się do kamieni, które ewidentnie pochodziły z dawnego ołtarza. Oczyściliśmy to miejsce dochodząc do pierwotnego poziomu podłogi. Nałożyliśmy kamienie jeden na drugi, tworząc z nich kwadratowy sześcian ołtarza.

Byliśmy spoceni i brudni, ale marzenia o kąpieli musieliśmy odstawić na bok. Za mało mieliśmy wody. Otrzepaliśmy zatem trochę spodnie, koszule oraz *kufije* i rozmazaliśmy raczej, aniżeli

umyliśmy, nasze twarze i ręce. Trochę odpoczywaliśmy, szukając cienia i przygotowując się do Mszy świętej. Potem rozłożyliśmy na ołtarzu korporał, na nim zaś – jak zwykle – chleb i wino. Ubrałem stułę, rozpoczęliśmy modlitwę pod błękitnym sklepieniem nieba. Modliliśmy się z tymi, którzy w tym samym miejscu celebrowali przez piętnaście wieków historii Mar Musa tę samą, co my teraz, eucharystyczną ofiarę Chrystusa. Modliliśmy się z mnichami i pustelnikami, którzy czynili to w języku aramejskim a potem arabskim i którzy oddawali się surowej ascezie, widzieli podziały Kościoła, zostali dotknięci inwazją islamu, bronili klasztornej oazy wiary i zostali tutaj zabici. Modliliśmy się z księżmi, którzy potem sporadycznie pojawiali się w tym miejscu, aby utrzymać ciągłość modlitwy na tej ziemi, która kiedyś była taka urodzajna w świętych ascetów i pielgrzymów. Modliliśmy się w świątyni, w której zalegały gruzy, wiekowe drewniane belki z powały i całe zwały ziemi z kamieniami. Zewsząd spoglądały na nas pokiereszowane postacie świętych, z poutrącanymi nogami albo rękami, z wydłubanymi oczami...

Oczy – tam gdzie było je jeszcze widać – wywierały na nas największe wrażenie. Zachowały się one głównie na górnych partiach muru. Oczy i cisza.

Słonce paliło niemiłosiernie, bo przecież pada ono tutaj pionowo na ziemię. Mury nie dawały cienia, ale dla nas najważniejszą sprawą było poczucie, że Mar Musa al Habashi stał się znów kościołem a nie tylko szacownym zabytkiem. Klasztor na pustyni za naszą sprawą ożył na nowo, stając się bramą do niebios, co w tym kościele bez dachu było szczególnie wymowne.

Starochrześcijańskie *Marana tha*, czyli „Przyjdź, nasz Panie” tłukło się nam w duszy, ale jednocześnie mieliśmy poczucie, że to wołanie jakoś się dzisiaj spełniło. Może na tym właśnie polega istota życia klasztornego?

W oczekiwaniu na następne lato

Paolo był rozentuzjazmowany i zgodnie ze swoją gorącą naturą jeździł po świecie, rozwijał kontakty, spotykał się, uzgadniał. Robił wszystko, aby zorganizować ekipę, która podejmie się trudu życia zakonnego i odbudowy klasztoru, jeszcze przed nadejściem chłodów. Chciał odgruzować teren i przygotowywać się do rekonstrukcji klasztoru. Niestety, nie miałem odwagi podjąć się tego dzieła, ani też nie miałem na to zgody przełożonych. Zbyt niespodziewanie się ono pojawiło i było zbyt oddalone od tego, czym się zajmowałem do tej pory. Nie posiadając ani odrobiny potrzebnego doświadczenia, nie mogłem porwać się na to zadanie. Nie miałem też zdecydowanych na wszystko pomocników. Paolo odleciał ostatnim możliwym samolotem do Rzymu, żeby kontynuować swoje studia, ale duchem był nieustannie na pustyni w górach Kalamun. Pisał listy, kontaktował się telefonicznie ze znajomymi z Nebek i Damaszku, planował letnie spotkanie i prace, które w tym czasie chciał, aby zostały wykonane. Chrześcijanie w Nebek zostali podniesieni na duchu. Niektórzy wręcz zostali zauroczeni nie tylko planami Paolo, ale tym, czego już dokonał, a przede wszystkim jego charakterem. Czuli, że ten młody zakonnik rzeczywiście może dokonać rzeczy,

których oni nie byli w stanie wyartykułować nawet w najśmielszych marzeniach. Podobała im się bardzo jego płomienna natura – że to, co robi, robi z ogromną pasją, z pełnym przekonaniem i jednocześnie z dużą znajomością rzeczy, jakby to nie było dla niego nowe zadanie. Najważniejsze jednak, że wszystko, co robił, doskonale mu się udawało, a ludzie chętnie z nim współpracowali. Nic dziwnego, że szybko znalazł w Syrii grupę ludzi całkowicie mu oddanych, zarażonych jego młodzieńczym entuzjazmem. Podobnie zresztą działo się w Italii, gdzie Paolo nie tylko studiował teologię, ale całą swoją działalność pastoralną, zorientował całkowicie na sprawę odbudowy klasztoru na pustyni syryjskiej. Udało mu się w krótkim czasie stworzyć grupę „Przyjaciół Mar Musa". Odbywał z nimi spotkania w ramach Ligi Studenckiej, orientując coraz bardziej ich zainteresowanie misyjne i praktyczne zaangażowanie na plany odbudowy tego klasztoru. W tym też celu zaczął organizować spotkania, rekolekcje, konferencje i prowadzić działalność publicystyczną, którą później szeroko rozwinął. Szukał wsparcia materialnego dla swego projektu, a także budował duchową wspólnotę ludzi, pragnących wesprzeć, na ile tylko było ich stać, Kościół na Bliskim Wschodzie, poznać bogactwo jego tradycji, spotkać się z realiami, w jakich on funkcjonuje, a w pierwszym rzędzie, spotkać się z islamem w warunkach dialogu opartego na wspólnej wierze w Boga, choć każdy w duchowej tradycji religii, jaką wyznaje.

Wczesnym latem, po pomyślnym zakończeniu studiów akademickich, Paolo przyleciał do Syrii i prostu z Damaszku udał się do Nebek. Nie mogło być inaczej, skoro najgorliwsi jego zwolennicy, pochodzący z tego miasteczka w górach Kalamun

czekali na niego na lotnisku i nie było mowy o jakiejkolwiek zmianie ich planów. Paolo, chociaż był młodym mężczyzną, podejmowany był przez nich jak szejk, czyli osoba posiadająca szczególny mir we wspólnocie, co na ogół związane jest z doświadczeniem życiowym, a więc i wiekiem. Po kilku dniach spędzonych na powitaniach i przyjęciach, oraz po kilkakrotnych odwiedzinach Mar Musa, Paolo zdecydował, że rozpocznie swoją letnią działalność od rekolekcji. Postanowił odbyć je w klasztorze, ale nie tyle w jego ruinach, co w znajdującej się opodal pieczarze skalnej – w miejscu, które zamieszkiwali pustelnicy.

Miał stąd wspaniały widok zarówno na szeroką *wadi*, przechodzącą w rozległą nizinnę, jak i na góry z klasztorem Mar Musa na pierwszym planie. Mówił, że bardzo potrzebuje pustynnej ciszy i spokoju oraz bliskości Mar Musa, aby dokonać odpowiednich wyborów, ułożyć plan działania, ustalić priorytety. Najważniejsze było dla niego, aby znów duchowo mocno stanąć na nogi, gdyż tylko wtedy jego praca będzie mogła się dobrze układać, będzie wiadomo, co i kiedy należy zrobić i mimo trudności nie wahać się. Nie chciał, aby ktokolwiek go tam odwiedzał, zgodził się tylko na to, by go podwieźć samochodem do *wadi*, gdzie kończy się droga gruntowa. Dalej poszedł sam pieszo. Udał się do groty, w której pragnął odbyć swoje rekolekcje. Żegnając się, stanowczo wymógł na osobach mu towarzyszących, aby przez cały czas trwania rekolekcji trzymały się od tego miejsca daleko. Próbowano z nim negocjować, mówiąc, że po kilku dniach będzie potrzebował jedzenia i wody, ale Paolo był nieubłagany. Twierdził, że ma wszystko, co potrzeba. Odwrócił się i zaczął się wspinać z plecakiem i dużym bidonem wody w ręce.

Grotę Hajek Paolo upatrzył sobie wcześniej, podczas poprzedniego pobytu w tych stronach. Wspaniale można było z niej kontemplować ruiny klasztoru, patrząc na nie nieco z góry. W ten sposób podczas rekolekcji miał intensywną więź z klasztorem, mimo że fizycznie nie był w nim obecny. Z tego położenia mógł łatwiej wyobrazić sobie, jak kiedyś będzie on funkcjonował, gdy zostanie odbudowany, i gdy zamieszka w nim mnisza wspólnota. Pewnie liczyło się dla niego również to, że przez ponad tysiąc lat grota ta była zamieszkiwana przez liczny zastęp pustelników. Oprócz pomieszczenia, z którego widać było *wadi*, góry i płaską część pustyni, pustelnia posiadała grotę głęboko położoną, do której wiódł dość długi i niski korytarz. Była zatem w zimie stosunkowo ciepła, latem zaś chroniła przed nadmiernym gorącem. U podnóża skały znajdowała się też sporych rozmiarów cysterna na wodę a na zboczu góry widniała sieć kanalików, które kierowały wodę deszczową do zbiornika. Istotny był również fakt, że nie można było w łatwy sposób dostać się do pustelni. Trzeba było pokonać około 5 czy 6 m gładkiego muru, wspinając się po wystających z niego kamieniach. Jaskinia dzięki temu była niedostępna dla dzikich zwierząt. Szeroki taras skalny u samego wejścia nadawał się doskonale do tego, by móc swobodnie oddawać się kontemplacji, zarówno w dzień jak i w nocy.

Paolo, wspinając się do groty, miał wolną tylko jedną rękę, w drugiej bowiem trzymał bidon z wodą. W pewnym momencie zachwiał się. Gdyby odrzucił bidon, pewnie utrzymałby równowagę, przytrzymując się występu skalnego drugą ręką. Nie uczynił tego jednak i razem z bidonem i plecakiem pokoziołkował

w dół. Potłuczony leżał długą chwilę na nagich kamieniach zbocza, bojąc się ruszyć, aby nie spaść jeszcze niżej. Czuł ból rąk i nóg, i czuł również, że krew spływa mu po twarzy. Czy nie jest połamany? Delikatnie zaczął to sprawdzać, starając się ruszać kończynami. Mógł to uczynić, ale każde poruszenie sprawiało mu ból. Nie mógł tu jednak zostać. Za wszelką cenę musiał szukać schronienia, tym bardziej, że było już dosyć późno, a mrok pojawia się tu bardzo szybko, wraz z zachodem spada niczym kurtyna w teatrze na zakończenie spektaklu. Spektakl Paolo się jednak nie skończył. Plecak miał jeszcze na ramionach i pewnie to uchroniło go przed uderzeniem głową o skałę albo o kamień. Mówił mi, że w tym momencie nie miał innego wyjścia, jak tylko zwrócić się z modlitwą do Boga. Nie była to żadna racjonalna konkluzja analizy, której dokonał, ale spontaniczna potrzeba. Nie zwrócił nawet uwagi na to, że była to modlitwa wyrażona na głos, bynajmniej nie dlatego, że nikogo nie było dokoła, ale dlatego, że bardziej naturalne było to, żeby do Boga o pomoc wołać, aniżeli myśleć o niej. Wołał niczym dawni prorocy, aby Bóg się nad nim zlitował, by mógł dojść do groty i schować się w niej przed zapadnięciem zmroku, aby była to część błogosławieństwa związana z miejscem uświęconym wiekami życia pustelniczego, aby to były prymicje tego błogosławieństwa, które miało spłynąć na Mar Musę. Krzyk i pojękiwanie łączyły się w jedno z mozolnym trudem, ponownej próby pokonania ostatniego odcinka drogi. Paolo odpoczywał prawie po każdym ruchu. Każdy krok okupiony był bólem, każde przystanięcie – chwilą zbierania sił do następnego kroku. Każdemu ruchowi towarzyszyło modlitewne wezwanie jakiegoś świętego, było jakąś skargą albo prośbą. Dobrze, że stopy miał osadzone

mocno w grubych górskich butach. Dobrze, że bidon umocował do plecaka, w ten sposób miał obie ręce wolne i mógł chwytać się kamieni. Bidon był dużo lżejszy, bo po uderzeniu o kamień zrobiła się w nim dziura i wypłynęła prawie cała woda. Zachowała się jedna piąta jego objętości. Pomimo bólu nogi, który się nieustannie wzmagał, nie słabła w nim nadzieja, że zadanie, którego się podjął, uda mu się wykonać.

W końcu, ostatkiem sił i z głośnym krzykiem bólu i radości, zwalił się Paolo na kamienny taras. Doczołgał się do niszy, wygodnej jak łóżko, by płakać ze szczęścia, bólu, nadziei i kompletnego opuszczenia. Wiedział, że dopiero za tydzień pojawią się tutaj ludzie, ale najważniejsze było to, że leżał w bezpiecznym miejscu i tak jak planował – mógł teraz w niezakłócony sposób odprawiać swoje rekolekcje, a właściwie już zaczął je odprawiać. Chyba nigdy dotąd tak szczerze i tak prawdziwie się nie modlił, dokładnie, jak pouczają mistrzowie życia duchowego: nie tylko słowem ale i ciałem, czynem, zaangażowanym sercem. Nigdy chyba dotąd jego ciało nie uczestniczyło w modlitwie tak intensywnie jak dzisiaj, w drodze do groty Hajek.

Dwa dni i dwie noce przeleżał w tej niszy, omdlewając, budząc się, modląc, płacząc, nic nie jedząc i pijąc wodę małymi łykami. Ból stopy nie ustawał, ale nie miał nawet siły rozzuć ciężkich alpejskich butów. Dopiero po dwóch dniach sięgnął do plecaka i trochę się pożywił. Minęły kolejne dwa dni i w pewnym momencie, patrząc w kierunku *wadi*, Paolo zauważył kilka postaci, które ukradkiem, wyzierały zza załomu skalnego, szukając go wzrokiem. Byli to ludzie z Nebek. Wiedzieli, że nie mogą go

niepokoić w trakcie rekolekcji, dlatego zachowywali się bardzo cicho i dyskretnie, trzymając się z daleka od jego groty. Paolo zaczął ich przywoływać głosem i machaniem ręki. Przybliżyli się. Nie byli to ci sami ludzie, którzy go przed czterema dniami odprowadzili. Oni nie śmieliby złamać danego słowa. Ci, usłyszawszy o rekolekcjach Paolo, zapragnęli go odwiedzić, aby zobaczyć, jak je przeprowadza.

Pomogli mu zejść z groty i zabrali do Nebek, gdzie przeleżał kilka dni w łóżku, w ten sposób dokańczając swoje rekolekcje. Opiekowano się nim nad wyraz dobrze, noga stopniowo przestawała go boleć, dbano jednocześnie, aby przez kilka dni, ze względu na rekolekcje, ludzie powstrzymywali się od odwiedzin. Ten zakaz było jednak trudno respektować, dopiero stwierdzenie, że taki jest uczyniony przez Paolo *neder*, czyli ślub, pozwoliło opanować sytuację i powstrzymać fale odwiedzających.

Okazało się, że Paolo złamał podczas upadku nogę. On sam nie był tego świadomy. Dopiero po prześwietleniu wyszło, że kość jego prawej stopy została złamana, ale zrosła się bez żadnej interewencji lekarskiej. Uznano, że to zasługa Mar Musa. Tym bardziej trzeba było odbudować klasztor pod jego wezwaniem.

Klasztorna brama

Opisując moją pierwszą wizytę w klasztorze, nie wspomniałem o tym, że istniała tam wtedy żelazna brama, którą trzeba było pokonać, aby dostać się do wnętrza. Brama niegdyś skutecznie strzegła kamiennego rumowiska i bez olbrzymiego klucza nie można było wejść do klasztoru od strony drogi, bo stał tam kamienny, gruby mur, podobny do tych w twierdzach obronnych. Prowadził on do krawędzi głębokiej przepaści, która w sposób naturalny broniła dostępu do klasztoru od przeciwnej strony. Potem, kiedy runął dach kościoła, klasztoru nikt już nie odwiedzał w celach religijnych, zamek się popsuł, a brama pozostała na stałe otwarta.

Po pierwszej Mszy św. i po rozpoczęciu tego, co szumnie nazwaliśmy renowacją klasztoru, symbolicznym aktem było odnowienie bramy, która była wykonana z grubych drewnianych bali, obitych żelaznymi pasami, ściągnięta żelaznymi gwintami i chroniona okuciami. Została osadzona na potężnych zawiasach, ukrytych za kamienną framugą. Nadal nie funkcjonował jednak zamek i dlatego nie można było jej zamknąć na klucz. Został on zastąpiony żelaznym skoblem. Nie było wprawdzie czego chronić w klasztorze, poza freskami, które w dużej mierze już i tak uległy

zniszczeniu, ale czyniąc ten gest, dawaliśmy jasny znak naszego zatroskania o klasztor i naszej determinacji, aby po setkach lat znów powróciło do niego życie klasztorne. Nic też dziwnego, że wszyscy chrześcijanie w Nebek byli szczęśliwi z powodu tego dokonania i niecierpliwie czekali lata, aby Paolo przyjechał z Rzymu i poprowadził obiecaną renowację.

Dotarła do nas jednak wiadomość, że bramy w klasztorze już nie ma. Ktoś skruszył skobel, wyrwał bramę z zawiasów i zrzucił w przepaść. Oczywiście, nie mógł tego zrobić jeden człowiek. Musiała to być jakaś grupa.

Wiadomość była nie tylko przykra, ale i zniechęcająca, pojawił się bowiem wyraźny dowód na to, że są ludzie, którym nie podoba się nasza inicjatywa. Nie wystąpili jawnie, bo bali się władzy państwowej, ale dali wyraźny znak, że nas widzą, i że potrafią skutecznie działać pomimo tego, że miejsce jest odludne, a droga bardzo trudna. Jeżeli sobie poradzili z tak ciężką bramą, to są w stanie uczynić jeszcze gorsze rzeczy, bo w widoczny sposób pokazali, że są zdeterminowani.

Paolo nie poddał się jednak ogólnej psychozie. Zorganizował wyprawę do Mar Musa. Skrzyknął kilkunastu młodych mężczyzn z Nebek i Damaszku, z którymi powędrowaliśmy przez pustynię do klasztoru. Spiekota była ogromna.

Klasztor powitał nas jak zawsze, najpierw wielką jak mieszkanie skalną cysterną, w której były jeszcze resztki wody deszczowej, następnie występem skalnym i zakrętem. Stanęliśmy przed jego murem. Niestety, tam gdzie była brama, ziała teraz pustka. Przez tę wielką dziurę przedostaliśmy się na dziedziniec klasztorny. Stojąc przy krawędzi przepaści, zobaczyliśmy na jej dnie bramę. Paolo

zrzucił plecak i nie czekając ani minuty powiedział, że skoro jakimś ludziom udało się zrzucić bramę klasztorną w przepaść, to są inni, którzy ją stamtąd wyciągną i zamontują w miejscu do tego przeznaczonym. Nie pytał, kto pójdzie za nim. Nie było żadnych debat na ten temat. Po prostu przewiązał sobie mocniej *kufiję* wokół głowy i skierował się ku wyjściu, a wszyscy podążyliśmy za nim. Okrążyliśmy mury klasztoru i zaczęliśmy schodzić w dół ku przepaści. Całą drogę milczeliśmy, schodząc coraz niżej, czasem skacząc, czasem ślizgając się po skałach, aż doszliśmy do miejsca, gdzie leżała brama. Bez żadnych niepotrzebnych słów od razu zabraliśmy się do rzeczy. Otoczyliśmy bramę kręgiem i podnieśliśmy z ziemi. Wszyscy chcieli chociażby symbolicznie w tej akcji uczestniczyć, nie było bowiem na tyle miejsca, aby każdy mógł ją dobrze uchwycić. Tak rozpoczęła się jedyna w swoim rodzaju procesja. Po skałach, po zboczu urwiska, po usuwających się spod nóg kamieniach, brama pięła się do góry. Gdy jedni opadali z sił, nadchodzili inni, którzy gdzieś znaleźli miejsce, żeby oprzeć nogi. Przesuwaliśmy bramę o jeden krok, potem o drugi. Nigdy nie zabrakło pomocy, gdy komuś mdlały ręce albo stawał przed przeszkodą, której nie był w stanie pokonać. Padały krótkie komendy i wezwania, towarzyszyły im głośne stęknięcia i okrzyki. Pot lał się z wszystkich, ale nikt nie narzekał. Wszystkie twarze były skupione i we wszystkich oczach widniała ta sama, niesamowita determinacja. Wszyscy byliśmy mniej albo bardziej pokaleczeni, ale nie czuliśmy tego wcale i nie zwracaliśmy na to żadnej uwagi. Posuwaliśmy się naprzód niczym wielka stonoga, która miała zawsze odpowiednią ilość nóg w zapasie, aby przedostać się przez szczelinę w skale, nagły uskok, głaz czy

dziurę. Nic nie było w stanie nas zatrzymać, żadna przeszkoda. Szliśmy pomagając sobie nawzajem, każdy nie według tego, ile powinien, ale, ile tylko miał siły, mobilizując jeden drugiego przykładem osobistej determinacji. Sami siebie nie poznawaliśmy. Czuliśmy, że coś niemożliwego staje się ciałem nie tylko na naszych oczach, ale dzięki naszemu wysiłkowi. Zbliżaliśmy się do miejsca, gdzie teren stawał się coraz mniej stromy i droga była łatwiejsza, ale nawet wtedy nie przystanęliśmy, aby odpocząć, ale pięliśmy się nieustannie w górę, tyle że w naszych oczach pojawiać się zaczęły iskierki radości, a niektórzy nawet znaleźli chwilę, aby otrzeć pot z twarzy. Jeszcze tylko trochę wysiłku i wreszcie doszliśmy do krzywizny skalnej, poza którą można już było swobodnie dojść do klasztornego muru.

Wszyscy chcieli nieść bramę, a kto miał trudny do niej dostęp, przynajmniej dotykał jej dłonią. Bo w gruncie rzeczy chodziło o coś więcej niż dotyk. Było to wyznanie wiary i jednocześnie świadectwo, że stało się coś wielkiego, czego się nie spodziewaliśmy, a oto nasze dłonie składają świadectwo zmaterializowania się hasła rzuconego przez *abunę* Paolo. Oto idziemy razem, jak wojsko po zwycięskiej bitwie, tańcząc z bramą i śpiewając, jak kiedyś robił to król Dawid, tańcząc przed Arką Przymierza.

Po nadzwyczajnym wysiłku, po olbrzymiej radości, śpiewach i tańcach przyszło zmęczenie. Szczęśliwi siedliśmy kołem na dziedzińcu, koło ściany kościoła, aby się posilić. Nie było wody, aby móc się umyć, ale nie miało to dla nas w tej chwili żadnego znaczenia. Mieliśmy ze sobą trochę chleba z zatarem i ser. Popijaliśmy to wszystko herbatą. Było też jakieś ciasto. Niektórzy

nie zdążyli jednak nawet dopić herbaty, gdyż zmorzył ich nagły sen. Zasnęli tak, jak siedzieli, tak jak przed chwilą jeszcze rozmawiali, nie szukając wygodniejszego miejsca, aby się położyć. Pozostali w tym samym kręgu siedzących, każdy tam, gdzie był i tak, jak był usadowiony. Jeden po drugim spuszczał głowę, opierał ją na łokciu, albo o ścianę i zasypiał. Wyglądaliśmy jak ofiary nagłego zatrucia, albo jak gdybyśmy byli zaczarowani, tylko że nasze pozy nie były dramatyczne. Każdy z *kufiją* na głowie, każdy z siwym pyłem na twarzy pomieszanym z potem, zapadał w stan jakiejś dziwnej nirwany. Pamiętam, że w którymś momencie ja też poczułem wielką senność, oparłem głowę o ścianę kościoła i zasnąłem. Wydawało mi się wówczas, iż była to tylko chwila. Po dziś dzień nie jestem w stanie podać przyczyny tego dziwnego zdarzenia. Pozostało jednak ono w naszej pamięci i powracając do niego w rozmowach, zawsze bardzo się śmialiśmy. Może to też była jedna z tajemnic pustyni?

Mazar

Po kilku latach w odległości kilkuset metrów od klasztoru powstał rodzaj *mazaru*, które mnie osobiście zawsze się kojarzy z odzyskaniem bramy. Pisząc *mazar* mam na myśli wielką cysternę, która od wieków służyła jako rezerwuar deszczowej wody zbieranej przez system kanałów. Została ona przez Paolo i grupę wolontariuszy dokładnie oczyszczona, wysuszona i przeznaczona na schronisko dla gości, którzy z powodu braku miejsca nie mogli znaleźć noclegu w klasztorze. Korzystały z niej również grupy, które chciały wieść trochę autonomiczne życie, na uboczu, tam gdzie nie było pielgrzymów, turystów i gości. Pewnego lata zakwaterowało się w niej na przykład kilkudziesięciu skautów z Aleppo, którzy przybyli tu, aby pomóc w odbudowie klasztoru. Potem, może dlatego, że miejsce to było oddalone od klasztoru i trudno było zadbać w nim o porządek, może też ze względów bezpieczeństwa, zostało przeznaczone dla milczących medytacji. Pomagał w tym cykl malowideł, wykonanych przez włoskiego artystę malarza, pielgrzyma do Mar Musa, który spędził tutaj kilka tygodni. Przedstawiały historię siedmiu młodych chrześcijan, którzy podczas prześladowań za panowania cesarza Decjusza, około 250 roku, schowali się w jednej

z pieczar koło Efezu, aby uniknąć śmierci. Odkryto jednak, gdzie się znajdują, a ponieważ nie chcieli wyrzec się religii chrześcijańskiej, zamurowano ich żywcem w pieczarze. Po upływie kilku wieków, pasterze, poszukując schronienia dla owiec, rozbili ten mur i znaleźli w pieczarze siedmiu śpiących młodzieńców. Przespali cały ten czas, nie wiedząc, że religia chrześcijańska stała się oficjalną religią Cesarstwa Rzymskiego. Cud ten opisuje również Koran, w surze numer 18, zatytułowanej „Ahl al-Kahf". Właśnie dlatego, że o zdarzeniu tym mówi się zarówno w tradycji chrześcijańskiej, jak i muzułmańskiej, ojciec Paolo uznał, że posiada ona wartość ważnego dla Mar Musa symbolu i sądził, że będzie inspirować do wzajemnego zbliżenia wyznawców Chrystusa i Allaha. Oczywiście nie był tak naiwny, aby sądzić, iż będzie to miało istotne znaczenie, ale chodziło o element, który mógł pozytywnie wpłynąć na atmosferę zbliżenia.

Nazwę *mazar* stosuje się na ogół w odniesieniu do miejsca modlitwy, związanego z postacią jakiegoś świętego, który dokonał tu cudu. Obrasta ono zwykle w opowiadania poszerzone o nowe wątki. Tak powstaje legenda, która posiada nieraz kilka różniących się od siebie wersji. Nieraz miejsce dedykuje się świętemu, tylko dlatego że według tradycji tędy przechodził, albo tutaj przebywał. Czasem jest po prostu świadectwem gorliwości jego czcicieli, którzy wyrażają w ten sposób swoją wiarę w święte orędownictwo.

Mazar może być też materialną pamiątką świątobliwego życia lokalnego niekanonicznego „świętego", którego życie cechowała szlachetność i pobożność. Zapisał się w pamięci ludzkiej jako mąż modlitwy, ascezy i bezinteresownego dobra czynionego bliźnim.

Wówczas najczęściej jego grób bywa odwiedzany przez tych, którzy za życia doświadczyli dobrodziejstwa z jego strony, albo budowało ich jego świątobliwe życie. Udają się do jego grobu nie tylko po to, by dać wyraz pamięci o tym, czego dokonał i kim był. Prowadzi ich również przekonanie, że teraz, będąc blisko Boga, może wstawiać się za nimi i wspierać swoją modlitwą. Jeżeli to zainteresowanie jest trwałe, jego grób staje się miejscem kultu. Sadzi się drzewa i kwiaty, pielęgnuje, aby wyrosły, buduje się znaczniejszy grobowiec, dekoruje, wznosi mur dokoła. Powstaje *mazar* jako spontaniczny odruch wdzięcznej pamięci o świętym, z nadzieją, że w ten sposób cała okolica pozyska bliskiego orędownika przed Bogiem.

Mazar bardzo często stoi na szczycie wzgórza. Jest z daleka widoczny i po pewnych cechach architektury oraz symbolice można określić, do jakiej wspólnoty religijnej należy. Stanowi to na ogół niezawodny znak informujący o tym, kto mieszka w danej okolicy.

Każdy może jednak odwiedzić taki *mazar* i każdy może się tutaj modlić, respektując podstawowe formy szacunku dla tego miejsca, a więc godny ubiór i zdjęcie butów przed przekroczeniem jego progu. Ten sam zwyczaj obowiązuje w kaplicach chrześcijańskich, mających charakter *mazaru*, dlatego całkiem naturalnym odruchem było przyjęcie zasady, że do kościoła w Mar Musa nie wchodzi się w butach. Wielka lub mała liczba butów przed wejściem informowała z absolutną dokładnością, ile osób jest we wnętrzu kościoła. Zwyczaj ten jest tym bardziej zrozumiały, że całą powierzchnię miejsca poświęconego modlitwie zajmują na ogół chodniki i dywany. Również w bliskowschodnich domach

praktykuje się ten zwyczaj, zdejmując buty przed progiem mieszkania. Wielkim nietaktem byłoby wejście do pokoju i stąpanie obutymi stopami po dywanie. Pewnie można to jakoś porównać z naszym zwyczajem zdejmowania nakrycia głowy w mieszkaniu albo w miejscu sakralnym.

W Mar Musa, oprócz dywanów, daru przybywających tutaj pielgrzymów, były również tu i ówdzie rozciągnięte skóry baranie oraz poduszki, aby można się było jeszcze wygodniej usadowić i lepiej izolować od kamiennej podłogi.

Typowa modlitwa odwiedzających *mazar* polega na recytowaniu jakiegoś fragmentu świętej księgi (niektórzy znają go na pamięć), oraz oczywiście modlitwa spontaniczna, czyli to, co człowiekowi serce dyktuje.

Modlitwą jest również sama obecność w miejscu świętym, nieraz trwająca nawet kilka dni. Z tego powodu *mazar* z mniejszą renomą zwykle posiada w swoim bliskim sąsiedztwie schronisko dla pielgrzymów. Najczęściej jest to prosty w swej konstrukcji dom bez żadnych ozdób, wyposażony we wszystko, co konieczne, aby móc w nim spędzić nawet kilka dni. Są więc prycze, kuchnia i sanitariaty. Każdy, kto korzysta z takiego schroniska, powinien pozostawić go w idealnym porządku, gdyż troska o nie jest wyrazem czystości intencji pielgrzyma i autentyczności jego modlitwy. Oprócz tego niektórzy porządkowanie *mazaru* traktują jako pokutne zobowiązanie, czy spełnienie ślubu złożonego przed Bogiem. To samo, jeśli chodzi o wzbogacenie tego miejsca o nowe urządzenia przydatne do lepszego jego funkcjonowania.

Do stałych elementów modlitwy w takim miejscu należy również palenie świateł – świec albo kaganków – oraz kadzidła.

Chrześcijanie mają zwyczaj zdobienia miejsca modlitwy kwiatami, oraz wieszania na ścianach licznych obrazów religijnych. Znajdują się wśród nich, oprócz prawdziwych ikon, obrazy niskiej wartości artystycznej, nieraz zawieszone jeden na drugim, bez dbania o estetykę. Chodzi o to, aby mój obraz pozostał jako wyraz modlitwy skierowanej do Boga, która trwa nawet wtedy, gdy mnie tam fizycznie nie ma.

Miejsce święte pozostaje takim na zawsze i nie można powiedzieć, że przestało być ono święte, bo zostało opuszczone i zaniedbane. Można jedynie uznać, że ci, którzy powinni się nim opiekować, nie spełniają swojej powinności, narażając się przez to na społeczną pogardę.

Zdarzają się jednak wewnętrzne migracje, powodowane głównie przez wojny, gdy zmienia się etniczna mapa mieszkańców danego regionu. Zwykle święte miejsca pozostają takimi również po zasiedleniu okolicy przez wyznawców innej religii, zmieniając tylko swoją religijną przynależność, co wiąże się również ze zmianą patrona. Bywa, że nie dzieje się to gwałtownie, z dnia na dzień, ale niezauważalnie, powoli, krok po kroku, zależnie od tego, kto częściej tu bywa, kto częściej się modli i kto bardziej opiekuje się tym miejscem. Zdarza się zatem, że dwie różne wspólnoty religijne traktują to miejsce jako święte i nawiedzają je, nazywając świętego każdy po swojemu, często modyfikując odpowiednio również jego „legendę", aby była bliższa tradycji wiary, którą wyznają.

Pamiętam *mazar* świętego Jerzego w okolicy Safita, odwiedzany zarówno przez ludność chrześcijańską, jak i przez muzułmańskich alawitów. Ci ostatni zaczęli coraz liczniej pojawiać się w tym

miejscu, bo nie tylko demograficznie byli prężniejsi, ale również nie posiadali w okolicy żadnego innego miejsca modlitwy, w przeciwieństwie do chrześcijan, którzy mieli tutaj swój kościół. Dlatego chrześcijanie stopniowo zaczęli się wycofywać, w miarę jak rosła liczba alawitów i w końcu, ci ostatni, w sposób naturalny przejęli kontrolę nad *mazar*, dbając o jego rozbudowę, zaopatrując go w wodę, budując schronisko dla pielgrzymów. Dziś w efekcie zamiast *mazaru* świętego Jerzego funkcjonuje *mazar al Chuder*, czyli alawicka wersja świętego Jerzego.

II
Wspólnota Mar Musa

Inni

Boże Mocny
Boże Łaskawy
Boże Wielki i Wspaniały
Boże moich codziennych petycji
Boże smutku, którego nie jestem w stanie opanować
Boże radości, które się nagle skończyły
Boże myśli zmęczonych i warg niemych

Boże opuszczony przez wszystkich
Boże gwałtownie atakowany
Boże bezlitośnie oskarżany twardymi słowami niechęci
Boże zepchnięty na boczny tor naszych zainteresowań
Boże adorowany na pokaz – dla naszej własnej chwały

Boże INNY od Tego, który jest przez nas wyznawany
Boże OCZEKIWANY NAPRAWDĘ
zmiłuj się nad nami
My też jesteśmy inni
chociaż naszej inności nie znamy

Założyciel wspólnoty

Życie wspólnoty Mar Musa posiadało i posiada szereg różnorodnych aspektów, stanowiących o jej bogactwie, złożoności i tożsamości.

Punktem wyjścia dla historii tej wspólnoty jest bez wątpienia powołanie Paolo do tego, aby służył Chrystusowi w Kościele jako zakonnik Towarzystwa Jezusowego, czyli jezuita. Istotne było również to, że ten młody rzymianin to człowiek wielkiego ducha, wybitnie inteligentny i... wielki gwałtownik, a właściwie raptus. Nie wróżyło to łatwego życia we wspólnocie zarówno jemu, jak i jego towarzyszom. Na szczęście Paolo to również człowiek bardzo głęboki, wrażliwy i ewangelicznie życzliwy dla drugiego, choć nieraz ta życzliwość wystawiona była na wielkie próby, gdy dochodziło do spotkania z poglądami, które nie były zbieżne z jego. Dialog z Paolo był trudny i szybko dochodziło do gwałtownych konfrontacji, chociaż jego wielką zaletą było to, iż różnica poglądów, którą nieraz drastycznie manifestował, na ogół nie przekładała się na osobistą niechęć do człowieka, który z nim polemizował. Paolo zawsze cenił sobie ludzką życzliwość i dbał o to, aby podtrzymywać i umacniać wiele przyjaźni. Jak każda silna osobowość, posiadał sprzymierzeńców, szczerych, oddanych mu

przyjaciół, ale miał również sporą grupę krytyków, oponentów i ludzi mu nieprzychylnych.

Zawsze imponowało mi jego mocne i szczere przywiązanie do Chrystusa. Było ono solidne, męskie, a w swym wyrazie emocjonalnym – czasem niemal dziecięce. Przywiązanie to opierało się na wierze, która osobiście doświadczyła Chrystusowej przyjaźni, i jednocześnie zrozumiała, że jest to przyjaźń absolutna i powszechna zarazem, odnosząc się do całego świata i każdego człowieka. Paolo wierzył naprawdę, bo przeżył osobiście i namacalnie powołanie przez Chrystusa do tego, aby Mu towarzyszyć w dziele zbawienia w Kościele powszechnym.

Jeszcze w nowicjacie zaczęła się precyzować wizja działalności Paolo na Bliskim Wschodzie, gdzie dokonało się Wcielenie i gdzie rozwinęła się i przeszła wszystkie etapy ludzka i Boska zarazem historia Jezusa Chrystusa. Tak jak założyciel Towarzystwa Jezusowego, święty Ignacy Loyola, Paolo też miał upodobanie do tej ziemi, bo była to rodzinna ziemia Jezusa Chrystusa. Podobnie jak święty Ignacy, udał się do Ziemi Świętej, gdzie spotkał się już nie tylko ze swoimi pobożnymi wyobrażeniami związanymi z naśladowaniem Jezusa, ale mocno zderzył się z materialnymi realiami krwawego konfliktu pomiędzy państwem żydowskim a arabską ludnością tej ziemi. Zobaczył, w jak bardzo trudnej sytuacji znajduje się Kościół-matka w Jerozolimie i Palestynie. Kościół wielkiej różnorodności rytów i bogatej – sięgającej czasów antycznych – tradycji, a jednocześnie Kościół, który jest coraz bardziej marginalizowaną mniejszością, i to zarówno ze strony żydowskiej, jak i palestyńskiej. Paolo już wtedy zaczął się uczyć języka arabskiego, widząc w tym zasadnicze narzędzie, niezbędne

do pracy w Kościele Wschodnim. Każdego roku podczas studiów przygotowujących go do kapłaństwa w okresie letnim wyjeżdżał na Bliski Wschód, aby doskonalić swój język arabski i pogłębiać znajomość krajów, w których przyjdzie mu pracować. Jezuicka Prowincja Bliskiego Wschodu obejmuje bowiem Egipt, Liban i Syrię (dzisiaj doszła również Turcja i cała arabska Afryka Północna, czyli Maghreb).

Jeszcze jako student brał udział w animowaniu studenckich grup misyjnych wysyłających wolontariuszy do różnych krajów. Ważnym doświadczeniem była wakacyjna praca, niesienie pomocy ofiarom trzęsienia ziemi, które miało miejsce we Włoszech. Scementowała ona jeszcze bardziej jego grupę i pozwoliła przenieść to doświadczenie i rozwinąć je z dużym powodzeniem w obozach letnich organizowanych właśnie w Mar Musa.

Z utęsknieniem czekał Paolo na moment, kiedy się uwolni od obowiązków akademickich i cały swój czas będzie mógł poświęcić na pracę w Syrii, Libanie albo Egipcie. Miejsce jego przyszłej działalności zostało określone w jasny sposób, gdy odbył swoje rekolekcje na pustyni. Wtedy też intensywniej Paolo zaczął poznawać islam, działając jak zwykle z wielką pasją i przedsiębiorczością. Zawarł liczne znajomości z bardziej i mniej znanymi osobistościami świata muzułmańskiego. Niektóre z nich przekształciły się nawet w trwałe przyjaźnie. Poznawał islam nie tylko od strony teoretycznej, ale również przez bezpośrednie towarzyszenie w życiu religijnym znanych mu muzułmanów, nawet w meczetach. Przez jakiś czas studiował na wydziale Prawa Muzułmańskiego Uniwersytetu Damasceńskiego, co traktowano powszechnie jako wielkie osiągnięcie.

Był to dla niego okres wielkich inspiracji duchowych. Był – jak każdy młody człowiek znajdujący się na progu misji, której chciał się poświęcić – pełen wielkich planów. Było to również związane z posoborowym ożywieniem w Kościele powszechnym i kongregacjami generalnymi, które miały miejsce w zakonie jezuitów. Podnoszono na nich na przykład wagę problemu dialogu z innymi religiami i wartość tak zwanej inkulturacji, czyli wyrażenia przesłania ewangelicznego w kulturze ludu, któremu się ją głosi. To samo pryncypium odnosiło się również do organizowania chrześcijańskiego życia wiary, zarówno w wymiarze osobistym jak i wspólnotowym. Były to nowe wyzwania i dla Paolo. Była to dodatkowa zachęta, aby pójść jeszcze dalej w kierunku zbliżenia się do świata arabskiego od strony zrozumienia jego mentalności i kultury, przez jak najbardziej dogłębne uczestnictwo we wszystkich aspektach i przejawach tego życia. Nic dziwnego zatem, że w Mar Musa i Nebek *abuna* Paolo zawsze nosił na głowie *kufiję* oraz przyjął arabskie brzmienie swego imienia „Paolo", czyli „Bulos". Nic też dziwnego, że prawie nigdy w Damaszku nie ubierał *kufiji*, ponieważ tak właśnie zachowywali się wszyscy Syryjczycy. *Kufija* w stolicy albo każdym innym wielkim mieście byłaby oznaką tradycjonalizmu, jeśli nie zacofania, a w przypadku Bulosa maskaradą.

Wielka zaletą *abuny* Paolo (albo po prostu Bulosa) był dobra znajomość języka literackiego. Budziły zachwyt i przyjmowane były z dużą admiracją jego wystąpienia w języku *fusha* (literackim). Mówiono wówczas z uznaniem, że przemawia jak *szejch* (duchowny, kaznodzieja muzułmański). Z kolei na prowincji damasceńskiej zachwycano się wprost tym, w jaki sposób

posługuje się dialektem regionu gór Kalamun. Bardzo imponował *abuna* Paolo muzułmanom niespotykaną dotąd wśród duchowieństwa chrześcijańskiego znajomością islamu. Jeszcze bardziej ujmował jego szczery szacunek dla tej religii i dla Mahometa. Dawał on temu wyraz na prywatnych i publicznych spotkaniach oraz różnego rodzaju kurtuazyjnych wizytach, które na Wschodzie są niezwykle cenione i zapamiętywane. Na przykład wszyscy goście, którzy przychodzili do nas, aby złożyć nam życzenia z okazji świąt Bożego Narodzenia czy na Wielkanoc, zapisywali swoje imiona i nazwiska w specjalnym zeszycie, co nas zobowiązywało, by zrewanżować się za te życzenia albo wizytą, albo w inny sposób przekazanymi życzeniami. Nie był to bynajmniej nasz zwyczaj, ale powszechna tradycja, do dziś istniejąca w tamtejszym społeczeństwie i pilnie przestrzegana. Podczas oficjalnych nawet wizyt zachwycała spontaniczność Paolo, na którą mógł sobie pozwolić, bo był cudzoziemcem i do tego zakonnikiem, wymykał się w ten sposób ścisłym rygorom tradycyjnego zachowania. Dała o sobie znać jego wielka kultura osobista, erudycja i zwykła życiowa mądrość. Jak przystało na prawdziwego Włocha-rzymianina, pozwalał sobie na szczyptę humoru, która w takich – koturnowej nieco powagi – chwilach, robiła fenomenalny efekt, wprowadzając nieco luzu, stwarzając klimat do swobodniejszej rozmowy, zmiany tematów, od tych podniosłych do zwyczajnych, bardziej bezpośrednich i przyjaznych.

Powszechną sympatię ze strony muzułmanów budziło również serdeczne przyjmowanie ich w klasztorze Mar Musa, którego Paolo był fundatorem i przeorem. Podobną gościnność wyrażała cała wspólnota mniszek i mnichów. Bywało, że sam *abuna* Paolo

proponował im, aby w czasie *adanu*, czyli czasu na modlitwę muzułmańską, korzystali z kościoła, i tam, zwróceni twarzą do Mekki, odprawiali swoje modlitwy.

Przejawy nadzwyczajnej gościnności pod adresem muzułmanów nie zawsze znajdowały jednak aplauz u miejscowych chrześcijan. Inaczej okazywali oni szacunek „braciom muzułmanom" aniżeli czynił to *abuna* Bulos. Ich spotkania z muzułmanami charakteryzował większy formalizm, swego rodzaju oficjalność, niewychodząca poza protokół. Z jednej strony, witano ich zawsze manifestacyjnie grzecznie w gronie chrześcijańskim, jako „naszych braci muzułmanów", a z drugiej, zwracano uwagę w ten sposób obecnym, aby się strzegli przed jakimkolwiek niezręcznym słowem albo uwagą, która mogłaby ich urazić. Niewątpliwie bolesna historia prześladowań mogłaby wyjaśnić genezę takiego postępowania. Wielka atencja i głośno manifestowany szacunek podszyte były obawą przed spięciem, które mogłoby stanowić zarzewie konfliktu. Kontrolowano się, aby niewidoczny, przytłumiony płomień niechęci w sercach ludzi nie wybuchł nagle i nie stał się pożarem. Była to wprawdzie kurtuazyjna, ale skuteczna prewencja przed przypadkowym zaproszeniem ognia. Czasem próbowano nawet pewnej dozy rubaszności, aby lepiej zamanifestować bliską zażyłość z pewnymi osobami, były to jednak w dużym stopniu tylko dobre intencje. Zazwyczaj im więcej było obaw, tym więcej kurtuazji.

Kontekst społeczny

Zasadniczym kryterium tożsamości społecznej jest na Bliskim Wschodzie religia. Każdy kontakt w Syrii pomiędzy ludźmi zaczyna się tam najpierw od rozpoznania, do jakiej wspólnoty należy interlokutor, czy jest on chrześcijaninem, czy muzułmaninem, a jeśli jest muzułmaninem – to czy sunnitą, czy alawitą (grupa religijna bliska szyitom). Od tego zależy forma spotkania, to znaczy unikanie pewnych tematów i nieczynienia określonych aluzji, na które można byłoby sobie pozwolić, gdyby chodziło o rozmówcę należącego do innej wspólnoty. Oczywiście istnieją różne stopnie tego skrępowania wolności, zależnie od lokalnych warunków i intensywności więzi między ludźmi.

Dużą różnicę w porównaniu ze zlaicyzowanym Zachodem stanowi wyraźnie manifestowane uznanie dla złożonej przez kogoś deklaracji wiary w Boga, a jest ono mocniejsze, gdy nie jest to tylko deklaracja słowna, ale towarzyszy jej praktyczny wyraz religijnego zaangażowania.

Stąd bierze się pewnie fenomen muzułmańskiego lubowania się w manifestowaniu własnej pobożności. Wezwania na modlitwę docierają z meczetów do uszu wszystkich mieszkańców miasta pięć razy na dobę. Dużą pomocą w spełnieniu duchowego

obowiązku są sale modlitwy instalowane wszędzie – na stacjach kolejowych i autobusowych, w punktach postojowych przy drogach, w zakładach pracy, na wyższych uczelniach i w wielkich marketach. W piątek, który jest dniem wolnym od pracy, wierni udają się do meczetu. Są to prawie wyłącznie mężczyźni. Ubrani są zwykle w białe *galabije* i białe czepki na głowach. Bardzo dobrze widziane jest udanie się na modlitwę z synkiem lub wnukiem. Kiedy przychodzi moment *adanu*, czyli czasu na modlitwę, nic nie stoi na przeszkodzie, aby – znajdując się na przykład w parku – zejść na trawnik i zacząć modlić się na dywaniku albo czasem na kurtce lub marynarce. Zwykle taka inicjatywa pobudza również innych do przyłączenia się do modlitwy. Powstaje wówczas rząd albo kilka rzędów osób wykonujących w tym samym czasie identyczne gesty.

Również post muzułmański jest celebrowany przez wszystkich jawnie. W ten sposób kontroluje się także to, czy ktoś nie łamie jego zasad. W wielu krajach policja ściga tych, którzy nie przestrzegają postu, nakładając na nich kary pieniężne albo nawet biorąc do aresztu. O wiele skuteczniejszym środkiem jest jednak wstyd i społeczny ostracyzm.

W Syrii widać było dużą różnicę między sunnitami i alawitami w zakresie pełnienia praktyk religijnych. Ci ostatni hołdowali dużo bardziej liberalnej formule modlitwy i postu, i z tej przyczyny byli ostro krytykowani przez sunnitów, którzy uważali ich czasem za „gorszych od chrześcijan”.

Kontekst polityczny

Syria rządzona przez partię Baas, bazowała na ideach socjalizmu i dość mocno akcentowała w swojej polityce wewnętrznej laickość. Władza państwowa kontrolowana była w zasadzie przez mniejszość alawicką, korzystającą z tego, że system rządów był monopartyjny, choć formalnie istniało również kilka innych partii. Były one jednak całkowicie uzależnione od partii Baas, posiadającej pełnię realnej władzy. Przypominało to dobrze nam znany system „demokracji ludowej", gdzie we Froncie Jedności Narodowej było reprezentowanych kilka partii, całkowicie jednak zależnych od PZPR-u, jako „przewodniej siły narodu".

Mówiąc o laickości tych rządów, trzeba mieć świadomość tego, że co innego znaczy ona na muzułmańskim Wschodzie, a co innego oznacza w krajach zachodnich. Mieszkańcy Syrii, jak o tym już wspomniałem, są ludźmi wierzącymi w Boga i co do tego żaden polityk nie miał wątpliwości. Nikt tego stanu rzeczy nie próbował zatem zmieniać, a raczej starano się zawsze o dobre relacje z przywódcami religijnymi, aby politycy byli w ten sposób aprobowani przez szerokie masy wierzących.

Ateizm w tych warunkach nie miał żadnych szans. Tym bardziej, że przynależność religijna stanowiła i stanowi nadal podstawowe kryterium tożsamości indywidualnej i zbiorowej obywatela, mimo że dość intensywnie prowadzono politykę edukacji obywatelskiej i wychowania patriotycznego, promującego dumę narodową z osiągnięć państwa syryjskiego.

W sytuacji kryzysowej związanej z niepokojami społecznymi i wojną domową z nową siłą odezwała się mentalność trybalna, przynależność do określonego wyznania religijnego. Przez długi czas Baas była skrywana i dawała o sobie znać tylko w bardzo ograniczonym zakresie, jako swego rodzaju „drugi obieg" życia politycznego. Popierały ją obce ośrodki ideowe i od nich czerpała poparcie finansowe. Terenem najbardziej podatnym na tego rodzaju działalność były meczety i islamistyczne grupy religijne, które – chociaż kontrolowane i poddawane represjom ze strony władzy państwowej – były zakorzenione w realiach codziennego życia religijnego sunnickiej społeczności muzułmańskiej, jako trudne do wykrycia i wyrugowania, bo niewidoczne i powszechnie tolerowane.

Realna opozycja w tym kraju nie mogła się manifestować w sposób jawny, z uwagi na warunki polityczne i system policyjny. Nie można było organizować otwartych działań politycznych i protestów, można było jedynie zdobyć się na formy pośrednie, aluzyjne. Posługiwano się symbolem religijnym, ale po to, by osiągnąć efekt polityczny, licząc w ten sposób na osłabienie wpływów partii Baas. Mimo różnorakich kampanii administracyjnych i propagandowych ze strony rządu syryjskiego, ludność tego kraju w sposób coraz bardziej widoczny zaczęła się

opowiadać za nowym modelem społecznym, w którym element religijny posiadał więcej miejsca – zarówno w życiu indywidualnym jak i życiu rodzinnym, domagając się też większej przestrzeni dla religii w życiu politycznym. Mówiąc zaś o religii, oczywiste było, że jest to siła, która może nie wprost i nie w sposób otwarty, ale promuje sunnitów, a więc jest ukrytym sposobem na przeprowadzenie politycznej rewolucji w kraju. Aktualna władza nie miała innego wyjścia, jak zwiększyć inwigilację społeczeństwa przez służby specjalne – szczególnie dotyczyło to środowisk aktywistów religijnych. Władza uciekła się do policyjnej przemocy oraz wzmocniła front wojny propagandowej, czyli w jeszcze większym stopniu promowała laickość, co z kolei dostarczało opozycji „religijnej" doskonałych argumentów.

Innym sposobem kontroli i wywierania politycznej presji, którym posługiwała się władza państwowa, było umieszczanie na najbardziej odpowiedzialnych stanowiskach władzy religijnej zaufanych ludzi. Wielu urzędników religijnych, nominowanych przez władze, zbyt manifestacyjnie wyrażało jednak swoją lojalność względem reżimu, przez co tracili oni szerokie zaufanie społeczne a ich władza ulegała alienacji. Miast wspierać reżim, *de facto* czynili mu szkodę, byli bowiem traktowani jak obcy agenci lub jako grono aparatczyków zainteresowanych wyłącznie własną karierą.

Opór społeczny ujawniał się też w inny sposób, a mianowicie przez... masowe korzystanie ze środków komunikacji społecznej, które nie były pod kontrolą rządu i przez ubiór, wyrażający większą obserwancję religijną. Im mocniejszy miał być protest

wobec władzy państwowej, tym surowsze przyjmowano wzorce dotyczące odzienia i zwyczajów towarzyskich. W ciągu kilkunastu lat, a szczególnie ostatnich lat przed wojną domową w Syrii, ulice zaroiły się od kobiet ubranych od stóp do głów w czerń. Tego kiedyś w ogóle nie było. Kobiety zaczęły nosić czarne rękawice nawet letnią porą, aby przypadkiem nie dotknąć gołej ręki mężczyzny oraz zasłaniać całkowicie twarz, aby nikt obcy nie mógł jej zobaczyć. Domagano się również tego, aby dokumenty osobiste w wypadku kobiet były wolne od umieszczania w nich fotografii i, aby w wypadkach wymagających potwierdzenia ich autentyczności, czynił to mężczyzna, który jest ich legalnym opiekunem. Stopniowo ubiór muzułmański opanował szkoły i uniwersytety. Muzułmanki coraz bardziej odczuwały presję, aby się tej tendencji podporządkować. Te, które były zamężne, nakłaniane były do tego przez swoich mężów, na których presję wywierało coraz bardziej radykalizujące się środowisko religijne. Kobiety niezamężne czyniły to samo w imię dbałości o swoje dobre imię oraz związanej z tym szansy dobrego zamążpójścia. Kobiety ubrane według surowej reguły muzułmańskiej były uprzywilejowywane. Ustępowano im miejsce w środkach komunikacji miejskiej i ułatwiano im załatwianie spraw w urzędach, natomiast kobiety, których ubiór był *gharbi*, czyli zachodni, spotykały się z lekceważeniem i niechęcią. Oczywiście nie należy myśleć o tych wszystkich zjawiskach szablonowo. Rzeczywistość jest złożona. Inaczej miały się sprawy w wielkich miastach, a inaczej w małych i na prowincji. Inaczej było w regionach, gdzie przeważała ludność alawicka, której sposób

życia był bliższy zachodniemu, a inaczej – w skupiskach ludności sunnickiej.

Jeszcze inna była sytuacja chrześcijan. Tak jak powszechnie akceptowana była ich religia, tak samo powszechnie aprobowano ich inność w zakresie ubioru i modelu codziennego życia – zarówno w aspekcie życia prywatnego, rodzinnego, towarzyskiego, jak i w przestrzeni życia publicznego. Bardzo często byli oni darzeni szczególnym szacunkiem właśnie dlatego, że byli inni, stanowiąc dla wielu punkt odniesienia w zakresie tego, co modne i nowoczesne. Reprezentowali styl ludzi wykształconych, posiadających ogładę kulturalną i otwartych na szeroki świat oraz wolnych od przytłaczającego ciężaru prawa koranicznego w wydaniu fundamentalistycznym.

Dla tych samych powodów, dla których byli oni chwaleni i często nawet podziwiani, w kręgach islamistycznych byli postrzegani jako piąta kolumna i jako – świadomi bądź nie – emisariusze zepsutego Zachodu. W ten sposób zaczęły narastać nastroje niechętne wobec ich obecności, a przynajmniej ich „inności". W różnym stopniu i na różne sposoby dawano im to do zrozumienia. W końcu nastroje te przyjęły tragiczną i zupełnie nieoczekiwaną formę krwawych prześladowań i fanatycznej nienawiści, z którą mamy do czynienia teraz.

Szukanie wzorców

Paolo oraz wspólnota mniszek i mnichów Mar Musa dobrze zdawali sobie sprawę, że ich misja jest pionierska. Sięgali wprawdzie do korzeni życia mniszego, podejmując się restauracji starożytnego klasztoru, który przez długie lata leżał w ruinie i opuszczeniu, ale ten powrót musiał być symboliczny. Żywa tradycja tego klasztoru została przecież dawno zniszczona i nie było prób jej kontynuowania w jakimś innym miejscu. Wspólnota w Mar Musa starała się zaczerpnąć z tego, co miała do swojej dyspozycji, a więc głównie z tradycji liturgicznej Kościoła obrządku syriackiego, z literatury hagiograficznej, dającej opisy żywotów świętych – ich życia duchowego i zmagań w dochowaniu wierności Ewangelii.

Z tej również przyczyny, aby być jak najbliżej starożytnej tradycji Kościoła, *abuna* Paolo przyjął w tym właśnie obrządku, uważanym za najstarszy z istniejących w Kościele, święcenia kapłańskie. On, jezuita z Rzymu, stał się prezbiterem Kościoła obrządku syriackiego, mającego stolicę biskupią w Homs.

Po otrzymaniu święceń kapłańskich jego pobyt w Mar Musa przestał być sezonowy. Przyjeżdżając na stale do Syrii, otrzymał od przełożonych pozwolenie, aby zamieszkać w klasztorze Mar Musa,

który był w owym czasie czymś mikroskopijnym w porównaniu z tym, co istnieje tam dzisiaj. Tym samym skończyła się „epoka" letnich młodzieżowych obozów pracy, na które przybywali znajomi ojca Paolo z Italii, dzieląc trudy życia pustynnego z młodzieżą syryjską, a zaczął się etap budowy nie tylko klasztoru, ale przede wszystkim wspólnoty. Dzień po dniu, nie bez trudności, przez miesiące i lata rozwijało się to dzieło.

Ponieważ chodziło o życie mnisze, ale w nowym wydaniu, musiał się ojciec Paolo skoncentrować na jego organizacji, a szczególnie na formacji duchowej członków, by stworzyć z nich rzeczywistą, zakonną wspólnotę. Nie trzeba wyjaśniać, że wyzwanie to było wyjątkowe, tym bardziej, że od początku chodziło o wspólnotę cudzoziemców. Na początku byli to głównie Włosi i Włoszki, stanowiący wspólnotę zakonną z Syryjczykami i Syryjkami, którzy przyłączyli się do inicjatywy *abuny* Paolo.

Można sobie wyobrazić trudności, jakie musieli pokonać, począwszy od języka, odmienności kulturalnej, przeżytych doświadczeń, temperamentu, odporności fizycznej i psychicznej na trudy permanentnego zamieszkiwania i pracy na pustkowiu. W dodatku było to miejsce, które dopiero trzeba było zaadoptować do potrzeb ludzkiej egzystencji.

Towarzyszył im niewątpliwie wielki entuzjazm, ale co innego znaczy entuzjazm potrzebny do spędzenia na pustyni kilku tygodni, a co innego, gdy chodzi o zamiar pozostania tutaj na stałe. Od początku było widać, że wyzwanie to było ponad możliwości wielu osób, które tutaj przyjeżdżały z myślą o związaniu się z Mar Musa na stałe. Po dłuższym lub krótszym okresie czasu musiały

one opuścić klasztor, gdyż próba okazywała się ponad ich siły, albo dlatego, że inną miały wizję klasztoru na pustyni.

Były wśród nich często osoby zupełnie wyjątkowe, świetnie przygotowane do tego, by być pionierami rodzącego się życia mniszego na pustyni, mające bardzo głęboką motywację, obdarzone wielkim zapałem, a mimo wszystko nie dały rady podjąć tego wyzwania. Często próbowały ratować się krótkimi powrotami do siebie, do domu, aby ponownie potem podjąć się życia w Mar Musa z jeszcze większą determinacją, ale nie udawało się im to. Odchodziły wówczas definitywnie.

Najczęściej, w rozmowach ze mną, podnosiły one kwestie pustynnej ciszy i samotności, właściwej ich pierwszemu spotkaniu z pustynią, które potem okazały się niemożliwe do praktykowania w stopniu, w jakim by im to odpowiadało. Nieustannie trwające prace budowlane i ciągle zmieniający się ludzie wprowadzały w ich życie chaos, którego chcieli się pozbyć przyjeżdżając tutaj. Pociągała ich zwykle pewna romantyka pustyni, ale kiedy wreszcie na nią dotarli, odkryli, że nie są w stanie się z nią spotkać na sposób, o jakim marzyli. Nie byli również w stanie powiązać tego, co wiedzieli na temat życia pustelniczego, które kiedyś kwitło w tym regionie, z tym, co przeżywali w ośrodku intensywnie trwających prac budowlanych i dużego przepływu ludzi z zewnątrz.

Istotne było dla wszystkich to, co mówił Sobór Watykański II na temat nowych wyzwań stojących przed Kościołem, głównie zaś ekumenizmu i dialogu z innymi religiami. W warunkach Mar Musa, dialog ten był jednoznacznie określony od samego początku. Z racji oczywistych chodziło i chodzi o dialog z islamem.

Zupełnie nowym zjawiskiem w tradycji tutejszego Kościoła była inicjatywa stworzenia wspólnoty mieszanej, męskiej i żeńskiej w tym samym klasztorze. Budziła ona duże kontrowersje i trzeba było dużo cierpliwości i wielu perswazji, aby z tą koncepcją życia mniszego się zgodzić i formalnie zadekretować kościelną akceptację dla tego eksperymentu.

Okazało się, że najwięcej doświadczeń mogli tu przekazać Mali Bracia i Małe Siostry Jezusa Charlesa de Foucauld. Prezentowali się jako zgromadzenia bardzo nowatorskie i jednocześnie bardzo dynamicznie rozwijające się na całym Bliskim Wschodzie. Ojciec Paolo często powtarzał, że jest mu bardzo bliska postawa duchowa Charlesa de Foucauld, a więc duchowość Wcielenia, Nazaretu, braterskiego obcowania z innymi, zajmowanie się pracą fizyczną i modlitwą, umiłowanie prostoty modlitwy i wzajemnych relacji, ducha kontemplacji i milczącej adoracji, samotności na pustyni jako szansy intymnego kontaktu z Bogiem, szacunku dla religii muzułmańskiej, która ukształtowana została w dużej mierze przez pustynię... Nie tylko *abuna* Paolo czuł duchowe pokrewieństwo z Małymi Braćmi i Małymi Siostrami, ale również oni dawali temu wyraz często odwiedzając *deir* Mar Musa, pozostając tutaj na jakiś czas, aby partycypować w pracach i modlitwach, które się tutaj odbywały. Zdecydowano się nawet na eksperyment pewnego rodzaju duchowej osmozy, kiedy to Mały Brat Jezusa, Domenico, zamieszkał na stałe w samotni niedaleko głównego klasztoru Mar Musa, pozostając z nim w stałym, organicznym kontakcie.

Inne inspiracje, które znam z rozmów odbytych z Paolo, dotyczyły takich osobistości życia religijnego i dialogu z islamem jak Luis Gardet, Jean-Mohammed Abd el Jalil, Youakim Mubarak

i Louis Massignonon. Ten ostatni chyba w szczególny sposób wpłynął na niego, podsuwając mu formułę, według której chciał on przeżywać swój osobisty, duchowy dialog z islamem, wyrażający się szczególną postawą duchową, noszącą nazwę *badaliya*, która związana jest z teologią miłosierdzia chrześcijańskiego. Chodzi o postawę, która się godzi na rolę „ofiary zastępczej", złożonej w intencji duchowego dobra jakiejś innej osoby (nawrócenia). *Abuna* Paolo na różne sposoby zachęcał członków swojej wspólnoty do przyjęcia tej postawy, jako wspólnego duchowego zaangażowania mniszek i mnichów Mar Musa, ale nie znalazł w tym względzie nigdy pełnej aprobaty, dlatego pozostawiał to osobistemu rozstrzygnięciu, przez własną decyzję każdego członka wspólnoty.

Pionierski dialog

Dużo było kwestii domagających się wspólnego przemyślenia podczas długich, nieraz bardzo burzliwych rozmów między siostrami i braćmi wspólnoty Mar Musa. Niektóre z nich były załatwiane z marszu, decyzją *abuny* Paolo, z ewentualnymi modyfikacjami, które bywały przyjmowane później. Wraz ze zmieniającymi się nieustannie warunkami dotyczącymi życia wspólnoty, jak i tym, co działo się na zewnątrz niej, pojawiały się coraz to nowe problemy, które należało rozwiązywać, ale jednocześnie pomagały one zweryfikować poprzednio podjęte decyzje i zasady, na jakich się one opierały, budując krok po kroku fizjonomię duchową i prawną wspólnoty.

Istniała pewna stała grupa oficjalnych interlokutorów czy też doradców *abuny* Paolo i wspólnoty Mar Musa. Ich istnienie wyznaczała przynależność *abuny* Paolo do Towarzystwa Jezusowego, jego eklezjalna przynależność do katolickiej diecezji rytu syriackiego z siedzibą biskupią w mieście Homs, która się przejawiała codziennym kontaktem z katolicką parafią obrządku syriackiego w Nebek z jej proboszczem na czele. Oprócz nich było mnóstwo osób, z którymi Paolo pozostawał w stałym kontakcie: księża, mnisi i mniszki, różne ruchy i organizacje chrześcijańskie,

ważne osobistości świata muzułmańskiego i cała masa przyjaciół z całego świata – ludzi najrozmaitszych profesji, którzy interesowali się z różnych względów klasztorem i wspólnotą Mar Musa, odwiedzali ją bardziej lub mniej systematycznie i podtrzymywali, głównie przez korespondencję, zaistniały kontakt.

Dramatyczne koleje miał dialog oficjalny, zwłaszcza tam, gdzie druga strona posiadała władzę podejmowania decyzji, które obligowały ojca Paolo i jego wspólnotę do pewnych konkretnych posunięć dotyczących na przykład liturgii, życia dwóch wspólnot – męskiej i żeńskiej w jednym klasztorze, dialogu z muzułmanami, zarządzania finansami, formuły prawnej pozwalającej na dalszą przynależność *abuny* Paolo do zakonu jezuitów i pełnienia jednocześnie funkcji przeora klasztoru oraz przynależności prawosławnych do jego katolickiej wspólnoty zakonnej itp.

Był okres, gdy dialog *abuny* Paolo z zakonem, do którego należał, układał się dramatycznie. Chodziło o dyspozycyjność. Jako zakonnik Paolo przyjął zobowiązanie, aby w imię posłuszeństwa udać się tam, gdzie poślą go przełożeni. W jego sytuacji utracił jednak pełnię tej dyspozycyjności, kiedy związał się z klasztorem Mar Musa, bo wynikały z tego zobowiązania, które wymagały od niego trwałej obecności w klasztorze i nie pozwalały na podjęcie innej, stałej misji. Gdy organizował obozy letnie, nie było żadnego problemu, ale jego stałe zaangażowanie powodowało trudności, tym bardziej, że zaczęło ono przyjmować coraz poważniejszy charakter, wiążący się z utrzymaniem stale rozrastającego się ośrodka spotkań dialogu i modlitwy, oraz powstawaniem nowej wspólnoty kościelnej.

Obie strony szukały jakiegoś kompromisu, ale nie był możliwy, przynajmniej w tym czasie, o którym teraz mówimy. W pewnym momencie sprawę potraktowano bardzo pryncypalnie i jedynym „pokojowym" wyjściem był wyjazd *abuny* Paolo do Rzymu, na studia doktoranckie z misjologii. Owszem, tematyka była w kręgu jego poważnych zainteresowań jeszcze podczas studiów z podstawowego kursu teologii, ale wydawała się zupełnie nie do zrealizowania w warunkach jego nowego zaangażowania w Mar Musa. Teraz sprawa doktoratu przyszła sama. Miał nadzieję, że pozwoli mu ona jakoś czuwać nad tym, co dzieje się w Mar Musa, gdyż w tym czasie było już kilka osób we wspólnocie, które mogły się podjąć tego zadania.

Być może tej decyzji przełożonych towarzyszyła myśl, że wyjazd *abuny* Paolo do Rzymu rozwiąże problem jego „niedyspozycyjności", a lata oddalenia przeniosą go w inne regiony egzystencjalne i Mar Musa zniknie z horyzontu jego priorytetów, jak każdy młodzieńczy i jeszcze nie w pełni dojrzały duchowy zryw. Jakież było zdziwienie niektórych osób, gdy Paolo po dwóch latach wrócił z błyskotliwie obronionym doktoratem, a klasztor Mar Musa nadal funkcjonował i tryumfalnie przyjął jego powrót.

Niechybnie musiało dojść do konfrontacji postaw i poglądów, które nie dojrzały do kompromisu i porozumienia. Sprawa znów stanęła na ostrzu noża. *Abuna* Paolo został postawiony przed wyborem: albo okaże pełną dyspozycyjność i pozostanie w Towarzystwie Jezusowym, albo zrobi, co chce, ale już poza strukturą zakonu. Było to dla niego bardzo bolesne doświadczenie i o wyborze bynajmniej nie zadecydowały pierwsze emocje, ani drugie, ani nawet trzecie. Podjął się poważnego rozeznania

duchowego podczas trzydziestodniowych rekolekcji, kiedy to za towarzysza duchowego miał swojego instruktora tak zwanej trzeciej probacji. Zapadła decyzja o eksklaustracji, to znaczy o czasowym opuszczeniu zakonu. Ojciec Paolo przeszedł na pięć lat pod jurysdykcję biskupa diecezji Homs, obrządku syriacko-katolickiego. Przez cały okres eksklaustracji utrzymywał bardzo dobry, przyjacielski kontakt z naszymi wspólnotami zakonnymi w Syrii, a po upływie pięciu lat znów formalnie powrócił do zakonu i otrzymał misję, aby z ramienia Towarzystwa Jezusowego pracować w *deir* Mar Musa. Znalazł się zatem kompromis.

To bolesne doświadczenie mówi coś więcej na temat ludzkiego porozumienia. Często jest ono niemożliwe do osiągnięcia nie tyle ze względów pryncypalnych, ile dlatego, że nie umiemy na pryncypia spojrzeć z punktu widzenia stron, którym zależy na spełnieniu woli Bożej a nie na przeforsowaniu swojego zdania.

W pewnym momencie poważne trudności pojawiły się również w relacjach z biskupem Homs, który był pod presją protestów pochodzących z diecezji. Dotyczyły one głównie mieszanego charakteru wspólnoty Mar Musa (męska i żeńska) oraz kwestii dialogu teologicznego i praktycznego z muzułmanami, jaki się odbywał w Mar Musa. W tej ostatniej kwestii ojciec Paolo miewał problemy również z jezuitami, szczególnie tymi, którzy pochodzili z Syrii i innych państw arabskich. Były też kontrowersje ze strony Kongregacji Nauki Wiary. W dyskusji wziął udział sam kardynał Ratzinger, późniejszy papież Benedykt XVI.

Krytyka dotyczyła zbytniego, ich zdaniem, filomuzułmanizmu ze strony *abuny* Paolo albo raczej formy, w jakiej się on manifestuje. Zdaniem krytykujących Paolo za bardzo szukał aprobaty

muzułmanów, wykazując za daleko posuniętą „otwartość" w stosunku do prawd wiary w islamie, narażając przez to na szkodę katolicką ortodoksję. Ojciec Paolo na każdy zarzut odpowiadał głębokim uzasadnieniem teologicznym, wykazując zgodność tego, co nauczał, z oficjalnym nauczaniem Kościoła. Jego oficjalne komentarze, odpowiedzi na zarzuty stanowiły zawsze przykład głębokiej i odpowiedzialnej refleksji teologicznej a jednocześnie wirtuozerii w sztuce prowadzenia dysputy naukowej. Była to zawsze refleksja zanurzona w życiowym konkrecie. Opierała się na doświadczeniu i dlatego ważna była również z punktu widzenia pastoralnego.

Abuna Paolo krytykowany bywał za to, że jako przybyły z Italii cudzoziemiec, mimo szerokiej wiedzy i dużego doświadczenia w zakresie dialogu z islamem, nie ma wrażliwości osób pochodzących z tego regionu, za którymi stoi wielopokoleniowe doświadczenie wspólnego życia z muzułmanami. On jest gościem na tej ziemi i nim pozostanie. Chociaż zna doskonale język arabski, to jednak nie jest Arabem i nie może zrozumieć w pełni arabskiej mentalności. Jego wrażliwość kulturowa jest odmienna i powinien sobie z tego zdawać sprawę. W praktyce, zdaniem oponentów, powinno się to przekładać na większy respekt dla ich stanowiska, co do tego jak powinien wyglądać dialog z muzułmanami, a w tej mierze również dialog, który Paolo prowadził w *deir* Mar Musa.

Twierdzono, że dla lepszego zrozumienia stanowiska można posłużyć się analogią odnosząca się do sfery obyczajowości i ubiorów. Niektóre przejawy zachodniej swobody w zakresie ubioru a także sposoby wyrażania równości między kobietą a mężczyzną mogą na Wschodzie uchodzić za szokujące i bywają

źle rozumiane. Podobnie religijność lokalna posiada swoje zwyczaje i prawa, których nie można ignorować, uważając je za przestarzałe albo za mało otwarte jak na epokę posoborową. Pomijanie ich generuje liczne nieporozumienia, niechęci i niepotrzebne konflikty, cofając proces wzajemnego poznania i wikłając go niepotrzebnie, budząc wzajemne urazy i pogłębiając skalę nieufności.

Często – zdaniem krytyków – osiągnięte w ten sposób „porozumienia" okazywały się w wymiarze obiektywnym płytkimi i zbyt romantycznymi iluzjami, by mogły ostać się poddane próbie życia. Aby nie zamknąć się jednak w sferze rozważań abstrakcyjnych, dobrze jest posłużyć się kilkoma przykładami.

Bardzo drażliwą kwestią było zajęcie się przez ojca Paolo refleksją na temat proroctwa i proroków, a w tym kontekście, pytanie o to, czy Muhammad, założyciel islamu, może i ewentualnie kiedy może być uznany za proroka. Dla muzułmanów już samo postawienie problemu i szukanie nań odpowiedzi, budziło nadzieje na potwierdzenie autentyczności jego prorockiego objawienia ze strony Kościoła. Dla chrześcijan było to niebezpieczne igranie z ogniem, szukanie sympatii muzułmanów, w sposób który narażał integralność chrześcijańskiej wiary a nawet usuwał im grunt spod nóg, stawiając pod znakiem zapytania sens ich opierania się islamowi na przestrzeni wieków. Podobnie niechętnie była przyjmowana ostra krytyka *abuny* Paolo wobec wypraw krzyżowych, oraz bardzo krytyczna ocena cywilizacji zachodniej samej w sobie (która jest uważana przez Arabów za chrześcijańską), głównie z powodu epoki kolonialnej i dwóch wojen światowych. Obawiano się, że takie zdecydowanie

krytyczne stanowisko może rozgrzeszyć islam z sukcesywnie powtarzających się na Bliskim Wschodzie fal krwawych prześladowań Kościoła. Zrozumiała była niechęć, z tych samych powodów, do publicznych manifestacji daleko posuniętej życzliwości dla islamu i podnoszenia godnych uznania jego walorów, jak na przykład silnej wiary, subtelności muzułmańskiej teologii i porywającej głębi jego mistyki oraz dużego wkładu islamu w tworzenie światowej kultury materialnej i duchowej.

Spore zamieszanie wzbudziły również pogłoski, że w Mar Musa muzułmanom pozwalano przystępować do Komunii św. Było to pogłoska absolutnie fałszywa, ale tam gdzie jest odpowiedni do tego grunt, bardzo łatwo dochodzi do opacznego widzenia faktów i nieświadomych nawet przekłamań. Tam, gdzie istnieje duża doza nieufności we wzajemnych stosunkach, bardzo często pogłoska zostaje przyjęta jako realny fakt. Tak właśnie uznano, że to, co się w Mar Musa odbywa, sprzeciwia się zdrowej tradycji i nauce Kościoła.

Zachowanie, jakie przypisywano ojcu Paolo i całej wspólnocie Mar Musa, było czystym pomówieniem. Za każdym razem, gdy wśród obecnych na Eucharystii znajdowali się muzułmanie, czy lepiej powiedzieć – niechrześcijanie, bardzo często bowiem przybysze z Europy nie znali religii chrześcijańskiej (znali ją znacznie słabiej niż muzułmanie) i nie byli ochrzczeni, bywał podawany do powszechnej wiadomości komunikat. Słuchając go, zawsze podziwiałem jego krótkie, rzeczowe i z olbrzymią kulturą podane wytłumaczenie niemożności przystąpienia do Komunii św. Jest ona bowiem symbolicznym i bardzo wyraźnym potwierdzeniem przez wspólnotę wiary w śmierć

i zmartwychwstanie Chrystusa i w Jego żywą obecność w Eucharystii. Ten, kto w niej uczestniczy, świadczy o tym, że w to wierzy.

Komunikat ten nie posiadał treści wykluczających kogokolwiek ze zgromadzenia liturgicznego, był więc wyrazem szacunku dla każdego obecnego tam człowieka, wyjaśniając mu jednocześnie właściwe rozumienie gestu przyjęcia Ciała i Krwi Pańskiej. Nigdy nie widziałem jakiegokolwiek zamieszania z powodu tego komunikatu, tym bardziej, że był on podawany w bardzo przyjaznej, pełnej szacunku formie. Zdarzyło się jednak kiedyś – i opowiadał oraz pisał o tym ojciec Paolo – że pewna kobieta, prosta Beduinka, już któryś raz z rzędu była w Mar Musa i ze swoją grupą krewnych uczestniczyła w Eucharystii. Już wcześniej prosiła ojca Paolo o pozwolenie przystąpienia do Komunii św. Ojciec Paolo tłumaczył jej, jak umiał najlepiej, że nie może tego uczynić z wymienionych wyżej względów, ale ona godząc się z jego decyzją, zupełnie nie rozumiała umotywowania tego faktu. Podczas kolejnej celebracji, w czasie Komunii podeszła razem z innymi i zapłakana prosiła szeptem o uczynienie jej tej łaski. Ojciec Paolo twierdził, że nie był w stanie jej odmówić, i jako tłumaczenie podawał: „Ta kobieta obmyła swoją duszę łzami, wyrażającymi jej pragnienie Komunii z Chrystusem". Dla tych, którzy nie w pełni rozumieli jego słowa i sądzili, że chodzi tu tylko o wzruszenie, o. Paolo tłumaczył, że w Kościele pierwotnym, znany był chrzest krwi, który odnosił się do katechumenów, a więc osób, które nie były jeszcze ochrzczone, ale były na drodze poznawania wiary, przygotowującej ich do przyjęcia tego sakramentu. Podczas prześladowań zdarzało się, że ginęły one śmiercią męczeńską za

wiarę w Chrystusa. Takich ludzi nie wahano się uznać w Kościele za pełnoprawnych chrześcijan, nie tylko bowiem wyznali swoją wiarę w krzyż Chrystusa, ale ten krzyż na własnych ramionach ponieśli. Podobnie mówiło się o chrzcie pragnienia, odnoszącym się do tych wierzących w Chrystusa, którzy nie mieli możliwości odbycia katechumenatu w Kościele, ale byli na to gotowi, powodowani szczerym pragnieniem przynależności do grona uczniów. Choć sakramentalnie nie byli z Nim zjednoczeni, to mistycznie należeli jednak do Niego, bo ich szczere i trwałe pragnienie równało się sakramentalnemu chrztowi z wody.

Wielu dostrzegało, że zdarzenie to miało wiele wspólnego z ewangelicznym spotkaniem Chrystusa z kobietą kananejską, którą Pan Jezus starał się najpierw oddalić, ale potem, z uwagi na jej wielką i pokorną wiarę, która nie zraziła się Jego ostrą odpowiedzią, została przez Niego uczyniona przykładem dla całego wierzącego Izraela.

Domenico, czyli nowy styl życia

Jak samo imię wskazuje, Domenico był Włochem. Od wielu lat mieszkał jednak na Bliskim Wschodzie. Dochodził już pięćdziesiątki, gdy pojawił się w Mar Musa. Spotkali się z *abuną* Paolo wcześniej, przy okazji jakiegoś sympozjum czy konferencji w Egipcie i wtedy po raz pierwszy pojawił się pomysł, aby Domenico osiedlił się w pustelni, niedaleko klasztoru Mar Musa. Miał zajmować się modlitwą, malowaniem ikon i ewentualnie jakimś mikroskopijnym ogródkiem. Otrzymał arabskie imię *Abdollah*, a więc „sługa Boży", co miało najlepiej korespondować z Domenico, a więc imieniem pochodzącym od słowa *dominus*, czyli „pan". Popularnie jednak nazywany był krótko: brat Abdu. Był członkiem zgromadzenia Małych Braci Jezusa. Nie mieli oni ambicji tworzenia jakichś wielkich instytucji albo dzieł apostolskich, nie zajmowali na ogół żadnych ważnych kierowniczych stanowisk, ale jako „mali bracia" mieli na uwadze skromny apostolat obecności i przyjaznego obcowania z ludźmi z ich bezpośredniego sąsiedztwa. Starali się trzymać daleko od klerykalnych struktur. Aby zarobić na własne utrzymanie, pracowali, wykonywali bardzo często fizyczną pracę. Mieszkali zwykle w domach pośród ubogiej ludności. Od ludności cywilnej

różniła ich modlitwa, szczególnie zaś codzienna adoracja oraz śluby zakonne.

Abdu marzył o pustyni. Jak każdy z Małych Braci chciał się zanurzyć w najdalej posuniętej prostocie, samotności i ciszy. Dla niego oznaczało to trwanie nieustannie w obecności Bożej.

Abuna Paolo rozumiał pragnienia brata Abdu i obiecał pomóc mu w ich realizacji. Na początek mógł jednak dać mu tylko domek na kółkach, czyli karawan. Taki, jakiego zwykle używają robotnicy, pracujący na drogach. Znany w całej Syrii wykonawca dróg i portu w Latakii, inż. Abdulmasih Atiya, który był prawosławnym chrześcijaninem i wielkim przyjacielem jezuitów, ofiarował na życzenie *abuny* Paolo jeden taki karawan. *Abuna* Paolo zaciągnął go traktorem po dzikich wertepach na wzgórze oddalone o pół godziny drogi pieszo od Mar Musa. Abdulmasih Atiya dotarł tam swoim fantazyjnym Oplem Capitanem, który tak naprawdę miał tylko karoserię starego, stylowego opla, silnik zaś był zupełnie nowy i potężny, stąd często wprawiał w zdumienie kierowców nowych samochodów, z łatwością ich wyprzedzając.

Abuna Paolo i brat Abdu – obaj Włosi – widać byli kąpani w tej samej gorącej italskiej wodzie, bo nie chcieli stracić ani chwili podczas realizacji powziętego przez nich planu. Brat Abdu zjawił się nazajutrz w Mar Musa, gotowy podjąć się pustelniczego życia.

W drewnianym wagoniku miał wszystko, włącznie z maleńką kapliczką i Najświętszym Sakramentem. Mieszkał w małym pokoiku, gdzie spał, odprawiał Msze św., pitrasił sobie jedzenie i malował ikony. Znajdowały się tam również proste urządzenia sanitarne. Brat Abdu przebywał tam sam cały tydzień i tylko w niedziele przychodził na Msze św. do klasztoru, aby mieć

kontakt ze wspólnotą mnichów i mniszek Mar Musa, oraz z przybyłymi tego dnia pielgrzymami. Nie zatrzymywał się tutaj długo. Po Mszy św. krótko rozmawiał z Paolo, a potem z innymi, uczestniczył w wspólnym obiedzie i dostawał potrzebny mu prowiant, aby móc zabrać go z sobą do pustelni. Nie był to jednak jedyny czas, kiedy mógł się zaopatrzyć w potrzebne mu artykuły. Za każdym razem bowiem, gdy intendent Mar Musa udawał się do Nebek po zakupy, zaglądał do brata Abdu, aby zapytać o jego potrzeby.

Ponieważ jego instalowanie się w pustelni przypadło na koniec lata i chodziło o spełnienie się jego wieloletniego marzenia, brat Abdu był szczęśliwy. Wymownymi tego znakami były ikony przez niego namalowane. Sam, na szczycie pustynnego wzgórza, nie mając żywej duszy w sąsiedztwie, mógł śpiewać hymny dziękczynne i pochwalne przed najpiękniejszym audytorium, jakie istnieje na świecie, przed pustynną ciszą i pod girlandami gwiazd. Raz na tydzień można było widzieć w Mar Musa jego uśmiechniętą twarz, posiadającą wyraźne ślady tych mistycznych spotkań. Abdu bardzo dbał o to, aby nie składano mu w pustelni wizyt, aby przypadkiem nie stało się to jednym z punktów programu zwiedzania Mar Musa.

Wiele się zmieniło w jego życiu na pustyni, kiedy przyszła jesień, a potem zima. Przekonał się wówczas, że wiatry w górach Kalamun są naprawdę silne i zimne. Co więcej, okazało się, że jego karawan jest mało solidny, a szczelność jego drewnianych ścian pozostawiała wiele do życzenia. Przez niewidoczne szpary pchało się do wnętrza jego domu zimne powietrze. Ratował się wtedy grubymi swetrami, ale czasem również i to nie wystarczało.

Skończyło się entuzjastyczne śpiewanie hymnów dziękczynnych, a zaczęła się walka z chłodem i nieustannym dudnieniem wiatru. Dzięki pomocy grupki znajomych z Mar Musa, udało się owinąć jego domek w plastikową folię, co poprawiło jego warunki cieplne, ale nie wyciszyło ciągłego dudnienia. Niestety, nie chodziło tylko o utrapienie dla ucha. Ciągłe huśtanie i drganie wątłej konstrukcji jego domku na kółkach, powodowało zupełnie nową formę cierpienia dla jego psychiki. Zrozumiałem go kiedyś. Wystarczyła mi krótka wizyta w jego drewnianym domku i widok Abdu z wełnianą czapką na głowie, wielkim szalikiem owiniętym wokół szyi i kilkoma swetrami nałożonymi na siebie. Próbował malować ikonę, ale zgrabiałe z zimna palce nie pozwalały mu na to. Zrozumiałem wtedy, że jego zamiar jest nie do wykonania i musi nastąpić jakaś zmiana w jego warunkach mieszkalnych.

Przed bratem Abdu pojawiło się widmo zimy. Jak ją przetrwać? Tworzenie ikon zostało znacznie ograniczone w tych warunkach, a zasadniczym problemem stało się przeżycie. Tego się biedak zupełnie nie spodziewał, szczególnie po pierwszym, radosnym okresie spędzonym w Mar Musa. Brat Abdu trzymał się jednak dzielnie. Robił sobie spacery, ścieżką prowadząca od jego domku do klasztoru, żeby się rozgrzać i przesiadywał na słońcu w ciągu dnia, aby naładować „baterie cieplne" swego ciała na dni pochmurne i wietrzne. Wyglądał miesiąca kwietnia, kiedy pustynia się zazieleni i zakwitnie. Syryjska pustynia to nie Sahara z jej wydmami piaskowymi, na których nic nie rośnie, ale kamieniste, górskie zbocza, skaliste *wadi*, którymi woda płynie tylko wtedy, kiedy pada deszcz i tylko po to, aby spłynąć w dolinę i zniknąć tam natychmiast.

Abuna Paolo w porę się zorientował, że brat Abdu przeżywa ciężką życiową próbę i zdołał zorganizować ludzi, aby jeszcze przed zimą, usypać wał z kamieni, żwiru i piasku przed drewnianym karawanem od strony wschodniej, skąd wiały największe i najbardziej zdradzieckie wiatry. Pomogło to znacznie zredukować napór wichrów, ale jednocześnie w przykry sposób ograniczyło widoczność. Zamiast panoramy gór, za oknem widać było brązowo-szary wał ziemny.

Zimowe perypetie brata Abdu zdecydowały o porzuceniu koncepcji mieszkania w drewnianym karawanie. Zupełnie nie sprawdził się on w warunkach klimatycznych gór Kalamun. Została powzięta decyzja wybudowania prawdziwej pustelni, z małą kaplicą, kuchnią, izbą dla Abdu i małym pokojem dla ewentualnego gościa. Dość szybko uwinięto się z projektem. Nowy dom wyglądał trochę jak harmonijka, składająca się z czterech segmentów. Warunki – co sam potwierdzam – zmieniły się zasadniczo. Kilka razy sam wcielałem się w rolę pustelnika, gdy brat Abdu opuścił sąsiedztwo Mar Musa i udał się do Libanu. Jego pustelnia stała się wówczas najlepszym miejscem, jakie znałem na Bliskim Wschodzie, do odprawiania indywidualnych rekolekcji. Trzeba dodać, że wtedy jeszcze nie funkcjonowały samotnie przeznaczone dla tych, którzy chcieli w ciszy i samotności odbywać rekolekcje w Mar Musa.

Kiedy przybyłem tutaj po raz kolejny, a było to świeżo po opuszczeniu Mar Musa przez brata Abdu, spotkałem się w jego domu z pustelniczym komfortem na miarę XXI w., a więc na miarę osób, które nie są zahartowane i nie są zdolne do życia na pustyni w prymitywnych warunkach dawnych eremitów. W domowym

zaciszu skromnej, ale funkcjonalnej budowli kamiennej miało się wszystko: zarówno bezpieczeństwo, jak i minimum wygody – tak, by móc skoncentrować się na modlitwie a nie tylko na walce o przetrwanie. Ważne było oczywiście i to, że domek zaopatrzony był również w proste urządzenia sanitarne. Była tam ciągle dostępna ciepła woda, co stanowiło oczywisty luksus, ale jednocześnie wpisane było w zamysł bliskości natury, bo wykorzystywana była do tego celu energia słoneczna. Szczególne miejsce stanowiła cudowna, maleńka pustelnicza kapliczka z wielkim oknem, które można było zasłonić żelaznymi okiennicami, ale w tamtych warunkach stanu całkowitego bezpieczeństwa w Syrii, nie było to zupełnie potrzebne. Dziś jest inaczej. Kaplicę nazwałem cudowną nie tylko dlatego, że był w niej Najświętszy Sakrament, ale dlatego, że było widać przez jej okno dwie wielkie kępy dorodnych białych i czerwonych róż. Widok był tak niezwykły na tej martwej, pustynnej, kamienistej ziemi, że określenie „cudowny" jak najbardziej tu pasowało. Odbyłem wtedy – pamiętam – szczególnie natchnioną i radosną medytację, w tle której stały właśnie te róże.

Pomimo możliwości korzystania z prądu elektrycznego dzięki bateriom słonecznym, starałem się ograniczyć jego używanie do minimum. Chciałem poddać się zupełnie rytmowi przyrody i uzależnić od niej czas i rodzaj zajęć rekolekcyjnych. Musiałem w związku z tym zmodyfikować na przykład zwyczaj pisania i czytania w nocy, zamieniając go na czuwanie modlitewne albo rozmyślanie. Stwierdziłem któryś już raz w moim życiu, że wiele człowiek może się nauczyć podczas takich medytacyjnych

przystanków. Przede wszystkim, dużo może się nauczyć o sobie samym.

Może się uczyć od wszystkiego, co go otacza i od wszystkiego, co go spotyka. Można się uczyć, patrząc na wpół dzikiego kota, który pojawiał się w pustelni późnym popołudniem. Jak przystało na pustynnego kota, nie pozwalał się głaskać, choć prawdę mówiąc, nie zabiegałem o dostąpienie tej łaski. Zwykle dawałem mu po prostu jakieś resztki, które pozostały mi z obiadu, trochę wody na spodku i to wszystko. Kiedyś zostawiłem mu trochę ryżu. Skonsumował to, ale nie wszystko. Oblizał się i, jak zwykle, tym sposobem dał znak, że zakończył kolację, i pięknie za nią dziękuje. Chciał wycofać się do swoich zajęć. Przyszło mi na myśl, aby jakimś smacznym kąskiem jeszcze trochę go zatrzymać. Rzuciłem mu kawałek sera. Owszem, podszedł, powąchał go i... zignorował smaczny kąsek. Jakżeż mi wtedy zaimponował. Przecież to był prawdziwy koci asceta, bo czyż prawdziwa asceza nie na tym polega, aby w każdych warunkach umieć zachować w swoim postępowaniu święty umiar – taki, jak mi ów pustynny kot eremita zademonstrował?

III
Rekolekcje na pustyni

Ognisty taniec kontemplacji

o Boże, jak Ty pędzisz
krajobrazy zmieniają się jak kartki w kalendarzu
sypią się iskry z kół Twojego powozu, jak gwiazdy
i jest ich tak wielka ilość na tle granatowego nieba
pieką mnie policzki z wrażenia
gdy trzymając się fałd wiary i nadziei
z całą rzeszą duchów czystych
tańczę ognisty taniec kontemplacji
Boże, jak bardzo dźwięk dzwonów Twojej świątyni jest przeźroczysty
– anielski admirał – stojący na dzwonnicy – uroczysty
jak bardzo obfity jest połów myśli
nie jestem w stanie ich rejestrować
na palcach porobiły mi się odciski
od sieci pełnej uczuć, których wszystkich wyciągnąć
na powierzchnię świadomości się nie da
wirują krajobrazy
brak mi słów do myśli
radości do kryształowej powagi Twoich oczu
o Boże, jaki Twój pochód jest szybki
jak bardzo Ty nas kochasz

Widok na nieskończoność

Co roku, tradycyjnie, wszyscy jezuici odprawiają ośmiodniowe rekolekcje. Najczęściej są one wspólnotowe i odbywają się w jakimś domu rekolekcyjnym. W Syrii miałem okazję do zakosztowania innych form rekolekcji i innych form modlitwy aniżeli w klasycznym wydaniu rekolekcji ignacjańskich. Jeszcze na początku swojego pobytu w Syrii zaplanowałem odbyć je w klasztorze Mar Musa późną wiosną, gdy nikogo tam jeszcze nie było.

Jadąc na Bliski Wschód często myślałem o swoim spotkaniu z pustynią. Rekolekcje, które właśnie podejmowałem, nie były, jak to zwykle bywało, wspólnotowe. Tym razem czekała mnie przygoda ośmiodniowego przebywania na pustyni w zupełnej samotności. Mogłem się na to zdecydować, bo na tym dzikim odludziu znajdował się klasztor, w którym mogłem się bezpiecznie schronić, mimo że wówczas był jeszcze w ruinie. Do dyspozycji miałem właściwie tylko jedno pomieszczenie na wysokości pierwszego piętra, obok kościoła, oraz drugie pomieszczenie, znajdujące się pod nim, które służyło za kuchnię, jadalnię i spiżarnię, a czasami również za miejsce spotkań w małym gronie.

Jak wspomniałem, był tam również mały kościółek, który pamiętał czasy pierwszych mniszych wspólnot Mar Musa.

Dla moich rekolekcji niezwykle ważny okazał się skalny taras przylegający do kościołka, w tym czasie jeszcze bez balustrady, z którego rozciągał się widok na nieskończoność. Było to skalne podnóże góry, na której zboczu klasztor był zbudowany, a dalej spalona słońcem kamienna dolina i pasmo gór, najpierw to najwyraźniej widoczne, potem drugie, a potem – kiedy widoczność była dobra – również trzecie, i to ono właśnie stanowiło ową granicę nieskończoności. Cały krajobraz, jak okiem sięgnąć, charakteryzował się brakiem jakiejkolwiek formy życia, a w odniesieniu do trzeciego pasma gór, dochodził jeszcze element jego chimeryczności w ukazywaniu się. Krajobraz posiadał złoty kolor, głównie spłowiały – tylko o wschodzie i o zachodzie słońca stawał się jaskrawo złoty, płomienisty.

Wiosenne trawy i kwiaty, które tu i ówdzie do niedawna rosły, stały się już suche, a ich źdźbła i listki niewiele różniły się od koloru skał i kamieni. Mówiąc o „ziemskiej" przestrzeni, miałem na myśli jednocześnie jej niebieską komponentę, czyli niebo bez chmur, zmieniające kolor jedynie o wschodzie i zachodzie słońca. Obie przestrzenie – ziemska i niebieska – uzupełniały się wzajemnie i obie mówiły o tym samym – o braku życia, albo raczej o jego znikomości. Obie miały słońce za wiernego towarzysza i świadka tej prawdy. Obie głośno je przywoływały; przynajmniej tak rozumiałem pustynne „gadanie" przyrody. Obie z wielką intensywnością kierowały moją uwagę ku życiu, chyba dlatego, że tak bardzo tego życia brakowało, a wszelkie jego przejawy ginęły szybko, palone słońcem i stawały się martwymi niedopałkami,

wołającymi na różne sposoby o wielki dar wody. Tam gdzie ona była, słońce stawało się przyjazne i można było – kontemplując surowy krajobraz *barrija*, czyli pustkowia – rekolekcyjnie się modlić, bez poczucia żalu z powodu braku życia, gdyż na plan pierwszy wysuwało się zaufanie i dawała znać o sobie z całą siłą nadzieja.

Tam stała się dla mnie szczególnie jasna, bo namacalna, prawda o tym, że tam gdzie jest woda, zawsze pojawią się rośliny, a tam gdzie są one, tam zawsze znajdą się zwierzęta, a z nimi i człowiek. Rozbije swój namiot albo zbuduje trwałe pomieszczenia. Nie będzie tego robił tylko dlatego, żeby jeść i pić, ale towarzyszyć mu będzie zawsze modlitwa, a wraz z nią, jako konieczne dopełnienie do życia, rodzina. W ten sposób to, co zbudował, zostanie nazwane domem i jak każdy dom, zmieniał on będzie człowieka w pełne stworzenie Boże, to znaczy pozwoli mu dzielić pragnienie szczęścia z kimś drugim, co będzie pierwszym krokiem do jego osiągnięcia.

Można o tym samym inaczej powiedzieć: człowiek to tajemnica, a prawdziwe imię tej tajemnicy brzmi „miłość".

Pomyślałem sobie: taki właśnie będzie główny nurt moich rekolekcyjnych poszukiwań – historia mojego życia medytowana w kontekście historii innych osób, w kontekście całej, ogromnej, uniwersalnej historii świata, odmienionej przez wytryśnięcie na martwym pustkowiu „źródła wody żywej", czyli Wcielenia Bożego Syna, który przyszedł na ten świat, aby go zbawić.

Wydostać się z miasta

Pierwszy etap podróży do Mar Musa obejmował odcinek z Damaszku do Nebek. Korzystałem na nim z usług popularnych na tych terenach „serwisów", czyli małych pojazdów zabierających czternastu pasażerów, które nie posiadały jeszcze wtedy żadnego rozkładu jazdy, ale po prostu stały i, jak taksówki, czekały na pasażerów. Gdy miały komplet, ruszały w podróż. Czasem, żeby przyspieszyć odjazd, podróżni decydowali się na uiszczenie dodatkowej opłaty, by zrekompensować kierowcy brak zarobku z powodu wolnych miejsc. Nieraz było to kierowcy bardzo na rękę, bo nie musiał czekać – szczególnie, gdy był to martwy czas i trudno było się spodziewać przybycia jakiegokolwiek pasażera.

Umawianiu się co do wynagrodzenia towarzyszyła nieraz bardzo ożywiona debata, obie strony przytaczały różnorodne argumenty, a kierowca zwykle dramatycznie przedstawiał to, jak wielką poniesie stratę. Gdy jednak dochodziło do porozumienia i „przybito" podaniem ręki wzajemną ugodę, kończył się spór definitywnie i wszyscy byli zadowoleni, pozostając ze sobą w najlepszej komitywie. Wyglądało na to, że każdy był przekonany, iż utargował więcej aniżeli się spodziewał, albo przynajmniej tyle,

ile można było osiągnąć i dlatego nie było powodu, by wracać do negocjacji. Zająć należało się raczej podróżą, aby mogła przebiec jak najlepiej. Od tej chwili kierowca i pasażerowie byli ze sobą całkowicie solidarni, wzajemnie częstowali się papierosami, pasażerowie zgłaszali życzenia pod adresem repertuaru piosenek i muzyki, którą kierowca serwował przez głośniki, czasem dawali mu nawet własne ulubione kasety, chcąc sobie i innym uprzyjemnić drogę. Nigdy się nie zdarzyło, w sytuacji jakiegokolwiek problemu, na przykład „złapania gumy", żeby kierowca był sam. Zawsze miał kilka osób, które mu pomagały, nieraz ryzykując czystość swoich ubrań. Zawsze też towarzyszył mu wianuszek gapiów, którzy życzliwie przypatrywali się jego wysiłkom.

Po godzinnej podróży autostradą, po stromym podjeździe w górę, dojeżdżało się do małego dworca autobusowego w Nebek. Stąd trzeba było dojść do kościoła rytu syriackiego, w którym jeszcze dzisiaj używa się w liturgii języka aramejskiego, czyli tego samego, którym posługiwał się Pan Jezus, Apostołowie i pierwotny Kościół. Budynek kościoła w Nebek był dobrze widoczny, nawet z autostrady, górował bowiem nad całym miasteczkiem dzięki wyniosłej wieży. Kościół ten miał kiedyś rangę katedry, bo przed wiekami miał tutaj swoją siedzibę biskup, a miasteczko było w całości chrześcijańskie. Potem przyszedł islam i stopniowo muzułmanie stawali się większością, która teraz sięga 95% mieszkańców. Również aspekt zewnętrzny tego miasta uległ zmianie. Obok kościoła zostały wzniesione wysokie budynki, a nieco powyżej niego stanęła potężna bryła olbrzymiego meczetu wraz z jego wyniosłym minaretem zakończonym półksiężycem.

Musiałem dotrzeć do kościoła, aby stamtąd zabrać klucz do Mar Musa. Odwiedziłem miejscowego księdza, wypiłem rytualną kawę, porozmawialiśmy chwilę. Potem wziąłem plecak i udałem się w drogę. W tamtych czasach nie było jeszcze szosy prowadzącej do stóp góry, na której zbudowany jest klasztor. Trzeba było iść pieszo, samochodem można było pojechać tylko na obrzeża miasta. Nie korzystaliśmy jednak z takich udogodnień, traktując wędrówkę przez pustynię jako formę ascezy i jako duchowe przygotowanie do życia w klasztorze podobnym do twierdzy. Pierwszy raz udawałem się tam sam, miałem więc obawę, czy znajdę właściwe *wadi* i czy dotrę bezpiecznie do punktu przeznaczenia. Obawiałem się też, czy będę – umiał chyba półkilogramowym kluczem – otworzyć bramę uzbrojoną pasami żelaza i wielkimi gwoździami. Otrzymałem wprawdzie instrukcję, jak to zrobić, ale co innego teoretyczny opis, a co innego praktyczne jego zastosowanie.

Na przełaj przez pustynię

Droga była bardzo nużąca na jej pierwszym etapie. Po dziurawym asfalcie od czasu do czasu przejechał jakiś zakurzony samochód. Kiedy dotarłem do drogi gruntowej, mogłem spodziewać się jedynie traktora pasterzy. Mieli oni w głębi pustyni swoje lepianki i potężną *zeribę*, gdzie na noc przyprowadzali owce, chroniąc je przed dzikimi zwierzętami. Tam też je doili i przerabiali mleko na sery.

Droga była w kilku miejscach poprzerywana rowami wyżłobionymi przez wody powodzi, która przeszła tędy po obfitych opadach w górach. Jak zwykle, zdarzyło się to zimą. Nagle pojawiły się wody i wyżłobiły w niektórych miejscach rowy przecinające drogę. Rowy te z grubsza tylko zasypano żwirem tak, aby traktor mógł przezeń przejechać.

Poważnym problemem były dla mnie – zdawałem sobie z tego dobrze sprawę – dzikie psy pustynne, oraz nie mniej dzikie i potężne psy pasterskie. Mogą one zaatakować przechodnia, jeśli pasterz w porę ich przed tym nie powstrzyma.

Psy pasterskie nieraz musiały staczać krwawe boje z wilkami, które podchodziły do stad nocą. W tych zapasach to zwykle wilki brały górę, dlatego stad strzegą też uzbrojeni pasterze. Niestety, na

ogół nie spieszą się oni z ratowaniem wędrowców z opresji. Zawsze lepiej jest nie zbliżać się do stad albo przystanąć daleko i czekać aż pasterz da sygnał, że można swobodnie przejść, bo on będzie czuwał nad psami.

Gdy miałem już daleko za sobą stado owiec, mogłem poddać się urokowi marszu przez pustynię. Pomimo palącego słońca, pomimo niekończącej się piaszczysto-żwirowej drogi, raz po raz wznoszącej się ku górze i schodzącej w dół, marsz ten miał w sobie dużo uroku.

Przed słońcem chroniła mi głowę *kufija*. Poza tym pustynne gorąco jest suche, nie wywołuje obfitego pocenia, jak to jest na przykład na wybrzeżu morskim. Najbardziej chyba w poetykę marszu po pustyni, jeżeli tak można się wyrazić, wpisuje się jej nieskończoność. Można ją bowiem obserwować na przestrzeni wielu kilometrów, gdyż nie ma na niej żadnych zabudowań czy drzew. Droga jest widoczna... aż po horyzont nieskończoności, czyli niebo. Człowiek się w nią udaje, chociaż nie widzi miejsca przeznaczenia, celu. Ufa, że dojdzie do jakiegoś schroniska, że znajdzie jakąś bramę, że ją otworzy i odkryje za nią bezpieczne miejsce, w którym się schroni, napije wody, obmyje sobie twarz, pożywi się i ułoży do snu w nocy...

Po wejściu na szeroką, płaską górę, zatrzymałem się na odpoczynek. Widok był niezwykły. Na zachodzie majaczyły potężne szczyty gór Libanu, a na ich tle rysowały się dalsze i bliższe szczyty znacznie niższych gór Kalamun. Za każdym razem gdy udawałem się do Mar Musa, robiłem sobie tutaj postój i zawsze widok ten mnie zadziwiał, tak jakbym oglądał go po raz pierwszy. Patrzyłem więc na panoramę Nebek z jego zieloną strefą

ogrodów. Za nim widać było wąską wstążkę autostrady z ruchomymi punkcikami samochodów, poruszających się po niej żwawo, a dalej Jabrud, inne miasteczko, malowniczo położone koło góry przypominającej wielki tort czekoladowy, zupełnie jak gdyby była rzeźbą stworzoną przez mocarnego demiurga, któremu w tym kamienistym krajobrazie zabrakło słodyczy.

Schodząc z góry, trzeba było wejść do *wadi* i najpierw iść po jej żwirowym dnie, a potem znaleźć ścieżkę, która lewym zboczem góry prowadzi prosto do celu. Sztuka polegała na tym, aby wybrać właściwe *wadi*, jest ich bowiem kilka i są do siebie bliźniaczo podobne. W punkcie wyjścia nie są od siebie odległe, ale dalej rozchodzą się coraz bardziej i zanim się człowiek zorientuje, może znaleźć się daleko od celu. Żeby odszukać drogę, trzeba się cofnąć do punktu wyjścia, chyba że zgubiło się szlak i nawet punkt wyjścia stał się nieosiągalny. Wówczas, gdy zmrok zapadnie, robi się prawdziwy problem dla takiego piechura. Na szczęście w najtrudniejszym miejscu, jeszcze poprzedniego lata, *abuna* Paolo czerwoną farbą narysował strzałkę i napisał poniżej: Mar Musa. Kiedy ją zobaczyłem, zrobiło mi się lżej na duszy. Rozpoznałem też wielkie skrzyżowanie z inną *wadi*, gdzie królowała potężna bryła skały podobnej do wieży. Od tego miejsca górska ścieżka nagle się poszerzała, stając się niemal żwirową drogą, ale tylko na krótko. Za chwilę znów wchodziło się na wąską ścieżkę, kluczącą wśród skał, cały czas mając po prawej stronie stromiznę zbocza skalnego z jasną wstęgą żwiru wyschniętego strumienia w dole.

Droga dnem tego strumienia byłaby w pewnym sensie wygodniejsza, ale w kilku miejscach posiada on trudne do pokonania skalne przeszkody, po których trzeba by się było

wspinać, aby móc znów wygodnie kontynuować marsz do kolejnej przeszkody. Jako że byłem sam, nie chciałem urządzać żadnych wspinaczek. Wolałem nie ryzykować.

Ostatnie zakole otwierało widok na klasztor, początkowo trudno rozpoznawalny, gdyż doskonale wtopiony w panoramę górskiego zbocza. Potem *wadi* zwęża się w wąskie gardło, które stanowią pionowe ściany skalne i właśnie tutaj w czasach rzymskich stała wojskowa wieża, z której kontrolowano szlak handlowy.

W głębokim kanionie wyschniętego strumienia, tuż przed następnym wysokim progiem skalnym, który od czasu do czasu zamienia się w wodospad, rosły dwa drzewa oliwne, samotni świadkowie życia, o które trzeba z wielkim trudem zabiegać. Chronić się przed palącym słońcem pod cienistym zboczem wysokich ścian kanionu, a przed potopem trzymając się załomów skalnych i oplatając korzeniami wielkie głazy.

Teraz zbliżał się najbardziej emocjonujący moment mojej wędrówki. Miało się rozstrzygnąć to, czy znajdę w klasztorze schronienie, czy też będę musiał przenocować w jakiejś skalnej pieczarze, a następnego dnia powędrować z powrotem, tą samą drogą, do Nebek. Półkilogramowy klucz do szczęścia trzymałem w rękach.

Zdjąłem z ramion plecak, położyłem go, opierając o mur klasztoru, westchnąłem do Niebios o pomoc i ulokowałem klucz w masywnym zamku. Na szczęście nie był on zapchany. Klucz został prawidłowo włożony. Starałem się przyciągnąć bramę do siebie, potem ją znów pchnąć do środka, w końcu wykonałem manewr, którego mnie uczono, bardziej jednak wynikał on z wyczucia, aniżeli z dokładnego pójścia za wskazaniami instrukcji.

Klucz przekręciłem raz, drugi i trzeci. Przyciągnąłem jeszcze raz bramę i pchnąłem z wszystkich sil. Drzwi się otworzyły. Odetchnąłem z ulgą i podziękowałem Bogu.

Nisko schylony wszedłem do środka, przekraczając próg następnej bramy, położonej tuż obok. Była odwrócona o 90 stopni w stosunku do tej pierwszej, aby nie można było zastosować drewnianego taranu do jej wyważenia. Przeszedłem przez ciemny korytarz, podobny do wielkiego tunelu, stanąłem przed drzwiami kościoła i, jak to się praktykuje tutaj, zdjąłem buty przed wejściem.

Znalazłem się sam w ponad tysiącletnim wnętrzu świątyni, która pamięta całe rzesze mnichów i świeckich, którzy się tutaj modlili.

Absyda kościoła była oświetlona dwoma oknami umieszczonymi w jej górnej części. Ołtarz zbudowany był z luźno ułożonych kamieni, wydobytych podczas odgruzowywania wnętrza świątyni i rozpoznanych przez *abunę* Paolo jako pochodzące z dawnego ołtarza. Zostały one uzupełnione innymi, które się najlepiej do tego nadawały. Cisza była przejmująca. Wydawało mi się, że dusze świętych modlą się razem ze mną, prawie słyszałem ich modlitwy. Byłem lekko przestraszony i przyjemnie wzruszony, patrzyłem nic niewidzącymi oczyma, czując jak przenika do mej duszy pokój i radość.

Dziękowałem Bogu już teraz, na początku rekolekcji za to, że wpadłem na taki pomysł, aby odbyć je na pustyni, właśnie w tym miejscu.

Czas, aby się urządzić

Odruchem, który nie był całkowicie racjonalnie umotywowany, zamknąłem bramę klasztorną na wielką zasuwę, a przecież wokół nie było żywej duszy. Był to zwyczajny odruch? Uczyniłem to z przyzwyczajenia i źle bym się czuł, gdybym tak się nie zachował? Chyba była w tym odruchu również inna motywacja, związana z tym, że nie znałem pustyni i niezbyt pewnie się tutaj sam czułem. Wszystko, co tajemnicze, jest w jakiś sposób również groźne, bo nieobliczalne – człowiek nie wie, czego może się spodziewać, co mu może zagrażać, i jak trzeba na to zagrożenie reagować. Woli więc mieć się na baczności i jak nie ma potrzeby, to nie otwierać drzwi.

Wypadało teraz rozejrzeć się po moim gospodarstwie, bo przecież miałem zamiar przebywać tutaj ponad tydzień. Trzeba było sprawdzić, ile jest jeszcze wody w zbiorniku, w którym pozostała jeszcze od lata, oraz czy funkcjonuje butla gazowa. Te dwie rzeczy były najważniejsze. Reszta znajdowała się w plecaku. Jeszcze tylko trzeba było przygotować sobie jakiś nocleg. Nie miałem wyboru, bo w tamtych pionierskich czasach nadawało się do tego celu tylko jedno pomieszczenie, znajdujące się wysoko nad kuchnią, trochę powyżej dachu kościoła, stanowiące jakby jego

przedłużenie. Sięgało grubego zewnętrznego muru klasztornego. Wszedłem tam po drabinie. Dostałem się po niej na gzyms kościelnego dachu i po niewielkiej pochyłości podszedłem do drzwi z dwiema małymi szybkami, które pełniły funkcję świetlika, rozjaśniającego przynajmniej trochę mroki wielkiej izby. Pozostawiłem drzwi szeroko otwarte, aby izbę przewietrzyć. Wewnątrz było ciemno. Znalazłem tam stertę materacy, a obok nich stertę koców. Wybrałem dwa koce i razem z materacem rozłożyłem je na płaskiej części dachu kościoła, aby się trochę przewietrzyły. Pustynne słońce i wiatr doskonale się do tego zadania nadawały.

Z zadowoleniem przyjąłem fakt, że rekolekcje na pustyni zwalniają mnie od rutyny przyjmowania posiłków w ścisłe określonym czasie, przewidzianym przez rekolekcyjny plan dnia. Tutaj byłem pod tym względem zupełnie wolny, mogąc organizować sobie czas całkowicie według własnego uznania. Nie będę zatem musiał przerywać modlitwy z powodu dzwonka na obiad, albo nie będę musiał skracać swojej przechadzki w górach, ponieważ mogę się spóźnić na następny punkt zajęć. Jadł będę, kiedy zechcę i menu też będzie takie, jakie mi odpowiada. Obiadem na przykład będzie chleb, oliwki, kawałek sera i dżem z *musz musz*, czyli moreli, a kiedy indziej moje menu wzbogacę o puszkę rybną. Mam jeszcze suszone figi i na śniadanie *zatar* z oliwą, znaleziony w kuchennej szafie. Do popicia miałem wodę albo herbatę, a na deser, najlepszą na świecie, niemającą sobie równych, syryjską chałwę.

Po to tutaj jestem

Było już popołudnie. Siedziałem na drewnianym balu, który, tak jak wszystko wokół, musiał liczyć sobie tysiąc lat, pochodził bowiem z powały, jednej z zawalonych izb. Oparty o ścianę kościoła patrzyłem w kierunku doliny, medytując sobie i pijąc spokojnie herbatę.

Mam to, czego chciałem. Jestem na pustyni. Nikogo, ale to absolutnie nikogo dokoła. Kompletna cisza. Słońce grzeje bardzo mocno, ale znajduję się w cieniu muru kościoła. Niedługo cień przesunie się nad *wadi* po mojej prawej stronie i będzie się stopniowo piął coraz wyżej, pożerając coraz bardziej jaśniejące teraz szczyty gór, aż w końcu opanuje wszystko i połknie również klasztor, w którym jestem. Potem szybko zacznie się zmierzchać i zapanuje noc.

Jak dobrze, że jestem schowany za klasztornym murem, pośród tych dzikich pustynnych skał. Jak wspaniałą rzeczą jest poczucie bezpieczeństwa. Kiedy byłem mały, to poczucie dawał mi zawsze dom, czyli nasze wspólne mieszkanie – taty, mamy i mojego rodzeństwa. Poczucie bezpieczeństwa dawało mi nie tyle materialne miejsce, ile osoby, które znałem, i do których miałem zaufanie. Stopniowo poszerzały się granice tego, co bezpieczne,

gdyż coraz więcej osób, przestrzeni i rzeczy stawało się znane i w pewnym sensie udomowione: najbliższe ulice, sklepy, park „na przeciwko", szkoła, a z wraz z nią nowi znajomi i nowe szlaki. I tak, przez wszystkie lata, rok za rokiem, aż po wycieczki szkolne, zabawy, wyjazdy i zawody sportowe, auto-stop i studia.

Prawdę mówiąc, studia w początkowej fazie bardzo mnie zawiodły, gdyż zbyt wiele się po nich spodziewałem. W szkole średniej idealizowaliśmy zbytnio „studenckie życie", wyobrażając sobie, że wraz z indeksem, niemal automatycznie, spłynie na nas to wielkie, wymarzone szczęście. Sądziliśmy na przykład, że bale studenckie będą podobne do szkolnych, tyle że dziesięć razy ciekawsze, bardziej atrakcyjne i piękniejsze. Wydawało nam się, że wszystko się zmieni na lepsze dzięki poczuciu dorosłości, jakie da człowiekowi fakt, że nie mieszka już z rodzicami, sam sobie w życiu radzi i korzysta z uroków samodzielności. Ale okazało się, że to nie jest takie proste. Dlatego też później nie miałem oporów, by jechać do domu, gdy tylko nadarzała się ku temu okazja. Jednocześnie, stopniowo zaczęły pojawiać się nowe znajomości i mocniejsze zaangażowanie w studia, coraz lepiej odnajdywałem się w tym nowym życiu.

Zrozumiałem, że na życie nie ma co się gniewać, ale trzeba się starać jak najlepiej nim żyć. Trzeba je umieć najpierw zaakceptować, aby następnie móc rozsądnie je zmieniać. Akceptacja opiera się na konkretnych przesłankach biorących się ze rozumienia fundamentów życia. Dopiero, gdy się ten fundament posiada, można próbować sensownie porozumiewać się z życiem.

Wielkie znaczenie miała dla mnie wiara wyniesiona z domu, ale rozwinięta przez normalne życie – takie, jakie ono było i jakie jest,

z jego marzeniami i rutynowa koniecznością, z jego pytaniami, wątpliwościami i różnymi propozycjami odpowiedzi, w poszukiwaniu tej jednej prawdziwej odpowiedzi. Po to, aby w życiu się nie zagubić i mieć szacunek dla samego siebie.

Miałem wielkie szczęście spotykać ludzi głębokich i uczciwych, ale przede wszystkim – przyjaciół. Oni stworzyli dla mnie przestrzeń życiowego dialogu, bez którego nie mogą dojrzewać żadne osobiste idee i decyzje. Spotkania z nimi, przy najróżniejszych okazjach i w różnych życiowych sytuacjach, dzięki szczerości i otwartości naprawdę kształtowały nas najmocniej i najgłębiej. Mogę z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że to one najbardziej zbliżyły mnie do Boga. A nawet więcej, były metodą kształtowania mnie przez Boga, który przecież sam jest Prawdą i jej Pragnieniem.

To była dla mnie podstawowa szkoła życia. Dzięki niej mogłem oceniać to, co robiłem. Odwoływałem się do Nauczyciela, któremu ufałem, i który mi imponował, szukałem z Nim osobistej więzi i dążyłem do spotkania.

Właściwie... czynię to po dzień dzisiejszy, i po to przecież przybyłem do Mar Musa.

Byłaby to dobra rzecz

Zaczęło już szarzeć. Wiedziałem, że ciemności nadejdą tu bardzo szybko. Miałem ze sobą tylko małą latarkę. Musiałem zdążyć przygotować sobie nocleg, umyć się i odwiedzić kościół. Dzisiaj odwiedziny te nie miały jeszcze pełnego charakteru, gdyż nie było w świątyni Najświętszego Sakramentu, nie odprawiłem tam bowiem jeszcze Mszy św. Sprawowałem ją przed opuszczeniem Damaszku. Pierwsza Msza św. miała być w Mar Musa dopiero następnego dnia. Udałem się zatem szybko po drabinie na dach kościoła, wziąłem materac i skierowałem się do ciągle jeszcze otwartych drzwi sali, w której zamierzałem nocować. Wtedy zauważyłem, że uprzedziło mnie stado nietoperzy. W dzień ich nie zauważyłem, bo spały gdzieś w szczelinie muru, zbudowanego z nierówno na siebie zachodzących kamieni.

Obecność nietoperzy zniechęciła mnie skutecznie do snu w tym miejscu. Nie miałem innego wyjścia, jak wziąć koc i materac, i wynieść się na dach kościoła. Właściwie nie było to niczym nadzwyczajnym. W arabskich domach latem bardzo często sypia się na dachu, pod *arisze*, czyli winoroślami, które stanowią zielony daszek zbudowany z szeleszczących liści, tak szczelny, że nawet

wtedy, gdy słońce w ciągu dnia ostro świeci, znajduje się pod nim przyjemny cień. Dachy wiejskich domów arabskich mają jednak płaskie dachy a na ich brzegach znajdują się balustrady. Tutaj dach był lekko pochyły i do tego bez żadnej osłony. Nie było jednak mowy, żebym spał z nietoperzami.

Zamknąłem drzwi, dając nietoperzom całkowitą wolność robienia tego, co chcą w dobrze wywietrzonej sali. W zasadzie po tym, jak położyłem materac między dwoma słupkami do suszenia bielizny i rzuciłem nań dwa koce, cały nocleg był gotowy. Chciałem jednak jeszcze coś przekąsić i pomodlić się w kościele, bo na sen było zdecydowanie za wcześnie, dochodziła dopiero dziewiętnasta.

Kanion stał się tymczasem ciemną otchłanią, a gór zupełnie nie było już widać. Zrobiło się nieprzyjemnie. Z wątłym światłem latarki, którą zapalałem tylko wtedy, gdy było to konieczne, żeby nie wyczerpały się baterie, lotem błyskawicy zrobiłem wieczorną toaletę. Podobnie krótko trwała wizyta w nieprzeniknionych ciemnościach kościoła. Brak jakiegokolwiek, najmniejszego choćby światełka był czymś deprymującym. Swoją drogą, zrozumiałem, jak bardzo ważne jest światło „wiecznej lampki", żeby wnętrze sakralne nie było puste. Nie wiem, na ile był to wynik rzeczywistości duchowej, a na ile efekt psychologiczny, ale nie mogłem się modlić w ciemnym wnętrzu świątyni. Mogłem ten stan porównać z brakiem natchnienia na sen w pomieszczeniu pełnym nietoperzy.

Nieprzyjemne wrażenia na szczęście nie wpłynęły negatywnie na mój apetyt i z wielkim smakiem zjadłem przygotowanego naprędce arabskiego „sandwicza" nadziewanego serem i oliwkami. Najlepsza okazała się herbata. Piłem ją małymi łykami, spoglądając

w ciemność, w której zaczęły się pojawiać małe świetliki gwiazd. Pomogły mi lepiej się poczuć. Przestałem czuć się tak okropnie opuszczony i jednocześnie tak bardzo pozbawiony wszystkiego. Objawiła się bowiem, oprócz mojej, jakaś inna obecność, dzięki której ani chłód, ani ciemność nie były tak bardzo przykre, żeby nie móc tego wytrzymać. Ten dziwny stan zawieszenia, w którym się znajdowałem, mimo wszystko nie był kompletną pustką. Nie czułem się jak kosmonauta zagubiony w pustce przestrzeni międzygwiezdnej. I chociaż siedziałem na półce skalnej, nad niewidocznym dla oka wąwozem, to wiedziałem jednak z pełną świadomością, gdzie jestem i co robię.

Po co przyjechałem tutaj, do tego kraju i teraz rozpoczynam w Mar Musa rekolekcje?

Może to będzie dobra okazja, aby porozmawiać z Bogiem i trochę mocniej zaprzyjaźnić się z samym sobą? Byłaby to zapewne dobra rzecz.

Spacer wśród gwiazd

Zmęczyło mnie siedzenie na małym stołeczku. Skończyłem właśnie pić herbatę. Imbryk i szklankę zostawiłem na stole. Zwróciłem uwagę na to, że jakoś dziwnie „teatralnie" brzmiały wszystkie dźwięki, jakie pojawiały się w związku z najmniejszym nawet wykonywanym przeze mnie ruchem. Wszystkie wydały mi się jakieś „nie na miejscu", jakbym chciał nimi zwrócić cudzą uwagę, że tu jestem, gdy raczej wypadałoby siedzieć cicho, powstrzymując się od jakiegokolwiek afirmowania swojej obecności. Czułem się tak, jakby ktoś oskarżał mnie o ciągłe zwracanie na siebie uwagi. Wydawało mi się, że muszę nieustannie tłumaczyć się z tego, że nie robię tego umyślnie, że dzieje się to w sposób naturalny i wszystkiemu winna jest ta ogromna cisza, która sztucznie wyolbrzymia nawet myśl.

Było mi niezręcznie. Znużyła mnie ta konieczność nieustannego przypatrywania się samemu sobie. „W co ja się wpakowałem?" – przychodziło mi do głowy. Zacząłem nawet myśleć, czy nie lepiej byłoby siedzieć w domu. Czy nie byłoby lepiej dla moich rekolekcji, gdybym siedział sobie teraz spokojnie gdzieś na tarasie domu rekolekcyjnego albo chadzał po jego pachnących alejkach ogrodowych?

Odkręciłem wodę, umyłem szklankę, położyłem łyżeczkę na blacie, odkaszlnąłem. Wszystko z tym strasznym odgłosem, całkowitym i pełnym, dobrze wyartykułowanym, aż po najdrobniejszy szczegół, jak gdyby chodziło o jego pełną ewidencję, o zapisanie go w całości. Ciągle prześladowało mnie to okropne poczucie teatralności, jakby w moim zachowaniu chodziło o zdanie egzaminu, a ja byłbym całkowicie pozbawiony wszelkiej spontaniczności i czekał na ocenę końcową jakiejś komisji. Wtedy uświadomiłem sobie z całą oczywistością, że ja się po prostu boję. Zajmuję się sobą samym, zwracam uwagę na swoje gesty, na dźwięki, które pojawiają się przy najdrobniejszej nawet czynności, bo nie mam niczego innego, na czym mógłbym moją uwagę zatrzymać. To przynajmniej było mi znane, domowe, zwyczajne. Wszystko inne było ciemne, nieprzenikalne, zewsząd mnie otaczające, nie wydające żadnego dźwięku. Oczekujące...

Tak, to był strach, i próba poradzenia sobie z jego „wzrokiem", który mnie niepokoił i deprymował. Strach, który wszystko wiedział o mnie, i teraz też wszystko widział i słyszał. Strach, któremu jednak nie chciałem się poddać, dlatego udawałem, że go nie dostrzegam i zachowywałem się tak, jakby go nie było, chociaż na jego oczach wszystko przecież robiłem i miałem świadomość, że to właśnie on mnie egzaminuje. I właśnie dlatego – chcąc, aby nie pomyślał sobie, że żyję w wielkim napięciu i zaraz mogę wpaść w panikę – nonszalancko myłem sobie szklankę. Rzuciłem łyżeczkę na metalowy blat stolika i nawet spróbowałem kilka razy głośno odchrząknąć i kilka razy kichnąć. Nie chciałem słuchać ciszy. Ona się schowała w ciemnościach i zewsząd miała na mnie skierowane oczy, ja zaś byłem aktorem na scenie, doskonale widocznym, bo

samotnym, na dodatek zwracającym na siebie uwagę słabym światłem latarki i krzątaniem się po scenie, które nie miało najmniejszego sensu.

Poczułem się trochę raźniej, gdy pomyślałem o grubym murze klasztornym i zamkniętej bramie. Przynajmniej w ten sposób jestem zabezpieczony – pomyślałem z ulgą. Nie miałem ochoty siedzieć na drewnianym balu przed kościołem, nic nie widząc. Wolałem udać się po drabinie na swoje legowisko. Zacząłem się modlić, siedząc na materacu po turecku, z twarzą skierowaną ku pogrążonej w całkowitych ciemnościach dolinie. Gdzieś bardzo daleko dostrzegłem małe iskierki świateł. Były to pewnie jakieś domy, gdyż cywilizacja napiera coraz mocniej również na pustynię, robiąc na niej swoje przyczółki. Stopniowo kontury dachu zaczęły się robić coraz bardziej widoczne. Mur biegnący od kościoła aż do krawędzi przepaści – również, coraz wyraźniejsze stawały się również skały stojące w sąsiedztwie klasztoru. Nocny krajobraz pustyni znacznie się poszerzył.

Następowała zmiana scenografii. Powoli rozwierały się kurtyny, odsłaniając scenerię pełną majestatycznego piękna i powagi. Przestrzeń zyskała wreszcie kontury, została uporządkowana w jakieś widoczne formy, w odniesieniu do których można się było jakoś określić i zlokalizować. Świat stawał się coraz bardziej racjonalny, rozpoznawalny, swojski, nadający się do zamieszkania. Była to zasługa księżyca, który nawiedził moją *wadi* cicho i bez pośpiechu, przekroczywszy bez trudu zaporę wysokich szczytów górskich i sąsiadujących z klasztorem skał. Jego blask opanował wszystko, ogarniając świat światłem i srebrną ciszą, żłobiąc

krajobraz czarnymi, ostrymi cieniami w dramatyczne figury nocnego strachu i tęsknoty.

Położyłem się, ale nie było mowy o zasypianiu, i to nie tylko dlatego, że pora była jeszcze wczesna, ale również dlatego, że okoliczności były niezwykłe. Całym sobą czułem wielkie emocjonalne napięcie. Wszystkie moje zmysły były w stanie alertu – przede wszystkim słuch, który nie miał żadnego punktu odniesienia dla swojej wrażliwości. Nie był w stanie niczego zarejestrować, bo nie było słychać żadnego odgłosu, żadnego szmeru, żadnego drgnienia. Tylko cisza i ja, i prowokowane przeze mnie dźwięki, jakby specjalnie, na pokaz, aby dać znać milczącemu światu, który mnie otaczał z każdej strony, że chociaż krajobraz jest księżycowy, to we mnie jest życie, bo myślę, czuję i pragnę.

Oparłem głowę na poduszce, zamknąłem na chwilę oczy, żeby otworzyć je po krótkiej chwili. Zostałem wtedy uderzony niewyobrażalną wprost ilością gwiazd. Byłem oszołomiony ich widokiem. Czułem się jak ryba leżąca na dnie ogromnego akwarium albo krystalicznie czystego oceanu. Leżałem na wznak a gwiazdy otaczały mnie ze wszystkich stron. Nie byłbym w zgodzie z prawdą, gdybym nie dodał, że od czasu do czasu pojawiały się też i inne światła, na przykład samoloty, przelatujące korytarzem powietrznym prowadzącym znad granicy tureckiej do Damaszku. Czasem pojawiały się też świecące jednostajnie, wolno płynące po nieboskłonie satelity. Zdarzały się też czasem „spadające gwiazdy", czyli meteoryty, ciągnące za sobą warkocz świetlistych iskier. Najbardziej widowiskowa była jednak Droga Mleczna. Każdy lśniący kamień tej drogi to przecież gwiazda, ogromny, wielki i całkowicie autonomiczny świat, który wraz

z wszystkimi innymi podobnymi światami stanowi stworzone przez Boga uniwersum. Spoglądam na niego z mojego skrawka Ziemi, znajdującego się w górach Kalamun, na pustyni, leżąc na materacu, na krawędzi dachu starego kościoła, czyli w samym centrum istnienia. Ten wielki świat jest wyrazem jedyności i nieskończoności jego Stwórcy i Opiekuna.

Trudno było patrzeć bez wzruszenia na tę niezmierzoną wielkość dzieła Boga i zakrawało wręcz na szaleństwo uważać, że ta maleńka figura, leżąca na dachu kościoła, patrząca na to wszystko, może myśleć, iż jej leżenie ma jakikolwiek sens dla wszechświata. Tymczasem nie tylko nie czułem się przygnieciony ogromem kosmosu, ale wprost przeciwnie, miałem poczucie jakiejś szczególnej nobilitacji przez fakt, że nie tylko ja dostrzegałem wszystko wokół mnie, ale również i ja zostałem dostrzeżony przez wszechświat. Uznał mnie za swojego, bo zostałem powołany do życia przez tego samego Artystę, który na dodatek pragnie, abym zwracał się do Niego jak do Ojca. Wyróżnił On w ten sposób nas ludzi spośród wszystkich tworów kosmosu. Prócz tego, że jesteśmy stworzeni, to jeszcze zostaliśmy powołani przez Niego do życia, czyli obdarzeni zadaniem, które – zachowując osobistą wolność – mamy spełnić.

Dzięki otrzymanemu powołaniu, możemy kochać, a nie tylko – jak gwiazdy po nieboskłonie – mechanicznie się poruszać.

Nie wiedziałbym, co znaczy być człowiekiem i nigdy nie doszedłbym do celu mego przeznaczenia, gdyby nie Jezus prawdziwy Człowiek, który ze starej rasy człowieka grzesznego, wziął wszystko oprócz grzechu i właśnie dlatego uratował Go Bóg, a w Nim nas wszystkich. W Nim mamy swojego Opiekuna i Brata.

Dobry Pasterz udał się za zaginioną owcą, aby na pustyni świata odnaleźć ją i chroniąc przed drapieżnikami, zaprowadzić do stada. Strzeże jej w Kościele, aby cała ludzkość stała się jedną owczarnią, mającą jedynego Pana.

Rozbić kokon rutyny

Obudziłem się o brzasku, a właściwie tylko zdałem sobie sprawę przez moment, że się obudziłem, i że dnieje, a potem znów zasnąłem z jakąś dziwną radością pierwotnego człowieka, który cieszy się, że słońce znów wróciło na widnokrąg.

Tę radość można byłoby porównać do uczucia towarzyszącego człowiekowi, który budzi się rano zmęczony i już ma wstawać z łóżka, gdy nagle uświadamia sobie, że nie musi tego czynić, bo dzisiaj jest dzień wolny od pracy i może pospać dłużej. Podobną radość przeżywa ktoś, kto przyjechał do miejsca, o którym od dawna marzył i budząc się rano uświadamia sobie, że właśnie spełniają się jego oczekiwania.

Nie miałem ochoty przerywać snu. Nie skusił mnie nawet spektakl kolorów, który właśnie się zaczynał. Wolałem spać, z błogim poczuciem, że skończyła się noc i nic nieprzyjemnego się nie wydarzyło, a teraz nic mnie nie niepokoi i nie ściąga z łóżka. Zasnąłem jeszcze raz z błogą świadomością pełnego bezpieczeństwa.

Ponownie obudziłem się, gdy słońce już było wysoko nad horyzontem i tak paliło, że dalszy sen nie był już możliwy. Trzeba

było szybko wstać i jak najśpieszniej ewakuować się z dachu. Toaleta była krótka, jak na pustynię przystało. Poranna modlitwa, na stałym miejscu, przed kościołem, z widokiem, który jak zwykle kończył się trzecim pasmem gór. Śniadanie również zabrało tylko parę chwil. Błyskawicznie zrobiłem w myślach plan dnia. Najpierw trochę porządków, aby w klasztorze mieszkało się lepiej. Porządek w kuchni, porządek na tarasie przed kościołem, no i Msza. Po Mszy pójdę w góry.

Dzięki Mszy św. na ołtarzu był już Najświętszy Sakrament – kościół nie był pusty. Paliła się lampka oliwna dzień i noc. Miałem teraz zupełnie inne uczucia, gdy do niego wchodziłem. Było po co. Bóg był bliżej. Nawet przechodząc obok, bez wstępowania do wnętrza kościoła, czułem radość z tego, że nie jestem już sam.

Na Wschodzie na ogół nie umieszcza się tabernakulum gdzieś na uboczu, Najświętszy Sakrament znajduje się najczęściej na ołtarzu, przykryty welonem albo zamknięty w inkrustowanym schowku, często o kształcie miniaturowego budynku kościelnego. Jakby chciało się przez to powiedzieć: tutaj bije żywe serce Boga, który mieszka w swoim Kościele, pośród swojego ludu. Ołtarz, krzyż i Najświętszy Sakrament tworzą całość i dobrze jest człowiekowi z tą koncentracją, nie musi zwracać się w różne miejsca, aby oddać Bogu cześć.

Tak jak zaplanowałem, po Mszy św. udałem się w góry, żeby pomedytować gdzieś po drodze, rozważając wcześniej przeczytaną Ewangelię. Poszedłem bez planu. Orientacja była prosta, bo teren jest odkryty. Wybiera się po prostu konkretny szczyt i idzie w jego stronę drogą, która wydaje się najprostsza. Postoje robi się najchętniej tam, gdzie ściana skalna daje cień.

Idąc skalistym bezdrożem, modliłem się myślami, które spontanicznie napływały mi do głowy. Były one echem czytań biblijnych i refleksji, które pojawiły się nocą. Czasem były to pytania, które domagały się jakichś odpowiedzi. Znajdowałem je natychmiast albo też wielokrotnie musiałem do nich powrócić, aby dojść do satysfakcjonujących mnie konkluzji.

Prawdę mówiąc, była to nie tyle medytacja, co raczej przygotowanie do niej. Często jednak taki spacer sam w sobie był ważnym przeżyciem duchowym. Nie zapomnę rekolekcyjnych marszów, jakie urządzał nam o. Francis, holenderski jezuita, który był najbardziej znanym rekolekcjonistą w Syrii. Podczas rekolekcji w Slunfy, w górach niedaleko granicy tureckiej, ani razu nie przepuścił okazji i każdego dnia organizował nam nocną przechadzkę, która zaczynała się zawsze bardzo niewinnie, a potem nagle „gubił się" szlak górski i wchodziliśmy w straszne wertepy i chaszcze, mając świadomość, że mogą w nich być węże i skorpiony. Pamiętam, jak bardzo wszyscy staraliśmy się trzymać o. Francisa, aby się nie zgubić! Nawet jeśli był ktoś niezadowolony, zdjęty strachem, i tak nie podnosił głosu, nie narzekał, ale szedł razem z innymi, a potem, następnego dnia, zachwycony znów zapisywał się na listę uczestników marszu. Szczególnie intensywnych przeżyć duchowych dostarczały momenty, w których psychika ludzka odzywała się z całą siłą, a więc momenty gniewu, strachu, niepewności, poczucia zagubienia i dezorientacji. Można było się wówczas uczyć panowania nad uczuciami, można było starać się pozytywnie je przyjmować, bo były przecież częścią rekolekcji, w których usiłowaliśmy być blisko Boga, odnawiając nasze zaufanie do Niego.

A ile subtelnego uniesienia było wtedy, gdy wreszcie ukazywała się droga i mogliśmy po niej swobodnie wędrować, słuchając gry cykad, wdychając nocny aromat lasów, pól i ogrodów.

Największych przeżyć duchowych dostarczały jednak zarządzane przez niego piętnastominutowe postoje, które odbywały się w kompletnym milczeniu. Zawsze były w jakimś ciekawym punkcie widokowym, na wzgórzu albo na ostrym zboczu górskim – gdzieś, gdzie przed naszymi oczyma rozciągała się szeroka panorama pajęczyny świateł wiosek, miasteczek, dróg i pojedynczych domów. Zmęczeni wędrówką po bezdrożach z ulgą przyjmowaliśmy takie zarządzenie. Nikt nie oddalał się od grupy z obawy przed ukąszeniem żmiji lub skorpiona. W grupie było o wiele raźniej. Aby było jeszcze bezpieczniej, niektórzy siadali albo kładli się wprost na drodze. Jednocześnie każdy był sam, gdyż było ciemno i obowiązywało całkowite milczenie. Pozwalało to tym mocniej odczuć coś dobrego i życzliwego, głęboko ludzkiego, co emanowało z grupy, jakby każdy z nas był osobnym płomieniem tego samego ogniska, rozpalonego przez te niecodzienne wspólne ćwiczenia duchowe.

Gdy ucichło szuranie nóg, każdy usiadł lub położył się na trawie, piasku, na drodze – gdzie popadło – i przestał się ruszać, robiło się nie tylko cicho, ale również sakralnie. Nagle zaczynało przemawiać z całą siłą światło księżyca, ślizgającego się po niebie, niczym samotny statek kosmiczny. Sznury gwiazd zaczynały drgać i ruszać się jakby też szukały sposobu, żeby nam coś ważnego powiedzieć. Kiedyś pewien student z Aleppo zaczął nagle śpiewać jakiś poetycki tekst o ptaku i ukochaniu przez niego wolności. Nikt mu nie podziękował za to, gdyż wdzięczność była tak oczywista, że nie

trzeba było jej wyrażać. Pewnego razu, podczas takiej ciszy, doszły do nas głosy z wioski, gdzie odbywało się właśnie wesele. Walenie w bęben i dźwięk piszczałki rozchodziły się daleko, modulowane wiatrem. Nie wiem, czy kiedykolwiek byłem bliżej roztańczonych oczu pary młodej, mimo że dzieliły nas nie tylko kilometry, ale i bariera kultury.

Czasem w takiej scenerii odprawialiśmy Msze św. i potem, gdy się spotykaliśmy, nawet po wielu latach, zawsze na pierwszym miejscu wspominaliśmy te Eucharystie.

Nigdy nie słyszałem od o. Francisa uczonego wykładu na temat jego rekolekcyjnych spacerów nocnych, chociaż jako doktor psychologii i teolog często był zapraszany z konferencjami. Nigdy też z nich nie rezygnował. Pewnie chciał, abyśmy ich wagę odkryli sami i muszę przyznać, że wiele skorzystałem z tych niewygłoszonych przez niego nauk, włącznie z porannymi ćwiczeniami „jogi", które nazywały się tak tylko dlatego, żeby je odróżnić od zwykłej gimnastyki, i żeby poranną modlitwę wyrwać z odrętwienia. Chodziło o to, aby pobudzić zmysły, które miały z kolei pobudzić duszę, by odnalazła się ona w bogactwie i uroku porannej przyrody. „Jogę" odbywaliśmy bowiem na łonie natury, w ogrodzie. Całe to przeżycie było wpisane, na ile tylko możliwe, w wiodący danego dnia wątek modlitwy.

Na ogół ja też, kiedy prowadziłem rekolekcje, proponowałem rekolekcyjny spacer nocą, ale tylko pierwszej nocy. Był to doskonały sposób na to, aby wygodnych mieszczuchów wpędzić zaraz na początku w „traumę" nocy, zgubionej drogi, węży i skorpionów. Doskonale wytrącało ich to z rutyny codzienności i pomagało wejść bardzo mocno, od pierwszego dnia, w rekolekcje.

W inne dni odbywaliśmy zwyczajne spacery, bez dramaturgii „zgubionej drogi". W ten sposób uczestnicy rekolekcji mieli okazję dostrzeżenia piękna przyrody, które było nie tylko przeżyciem wzrokowym, ale doświadczeniem dynamicznym, związanym z wysiłkiem fizycznym i z solidarnością grupy. Stymulowało to pragnienie oczyszczenia duszy, opuszczenia wygodnego kokonu codzienności, złamania reżimu sztywnych przyzwyczajeń duchowych. W ten sposób modlitwa stawała się prawdziwsza i czystsza, przygotowująca człowieka na pełniejsze i bardziej szczere spotkanie z Bogiem.

Idąc tego dnia samotnie po górach, powiedziałem sobie, że dobrą rzeczą będzie zabrać ze sobą choć kilka kwiatków do kościoła. Ale gdzie znaleźć kwiatki na pustyni? Wczesną wiosną rzeczywiście nie byłoby z tym żadnego problemu. Pustkowie to, nazywane *barrija*, kwitnie wiosną i jest na nim sporo delikatnej zieleni, oczywiście, jeżeli zimą spadł deszcz lub śnieg. Bardzo szybko ta zieleń jednak schnie a kwiaty więdną. Wegetacja roślin pustynnych jest równie krótka, co intensywna. Chociaż zieleń szybko ginie, to pozostaje na *barriji* sucha karma dla owiec i kóz Beduinów, wypasających tutaj swoje stada.

Niestety nie był to czas, w którym można by znaleźć jakiegoś kwiatka albo choćby jedno, zielone źdźbło trawy. Gdzieniegdzie jednak spotkałem, maleńkie, pięknie zasuszone łodyżki kwiatków podobnych do naszych wrzosów. Różniły się od nich kolorem, były złote a nie fioletowe. Nazrywałem ich podczas spaceru pęczek. Nie wiedziałem wtedy, że staną się następnego dnia bohaterkami porannej modlitwy.

Bohaterki porannej modlitwy

Następny dzień rozpoczął się podobnie jak poprzedni. Przygotowałem ołtarz do Mszy, zapaliłem świece, włożyłem strój liturgiczny, pocałowałem ołtarz, cofnąłem się przed absydę, w której był on ustawiony, siadłem na baraniej skórze. Wszystko w niewielkim kościółku, który pamięta odległe czasy modlitw sprawowanych tutaj w języku aramejskim. Czy klasztor ten rzeczywiście odżyje? Czy będą tutaj przybywali ludzie, aby się modlić, odprawiać rekolekcje?

Nie musiałem spieszyć się z liturgią. Moje zamyślenia przecież nikomu nie przeszkadzały, mogłem swobodnie robić przerwy w celebracji Mszy świętej, aby trochę dłużej zastanowić się nad Słowem czy natchnieniem modlitwy. Miałem wiele czasu i możliwości, aby pomieścić na modlitwie wszystkich, którzy mi w tej Mszy towarzyszyli. Zupełnie nie miałem poczucia samotności. Msza nigdy mnie nie nastrajała smutno. Wprost przeciwnie, zawsze był to dla mnie czas ożywienia duchowego i odczuwalnej obecności Kościoła powszechnego. Jasną jest rzeczą, że szczególnie byli na niej obecni ci, którzy są mi bliscy nie tylko z racji więzów krwi czy przyjaźni, ale również z uwagi na przykład

na to, że ktoś mi o nich wspominał lub sami do mnie przyszli, prosząc o modlitwę, a ja obiecałem im pamięć.

Zwyczajem Mar Musa cały czas siedziałem oparty o filar. Powstałem dopiero na Ewangelię i czytając ją zauważyłem kątem oka, że w wazonie palą się kwiaty. Nie rzuciłem się od razu, żeby je gasić, bo zorientowałem się, że nie ma zagrożenia pożarem. One tylko tak intensywnie świeciły. Widok był tak spektakularny, że nie można było go zlekceważyć. Promień słońca, który wpadł przez okienko, spoczął na kwiatach i spowodował ten właśnie efekt. Rośliny, które przyniosłem z wczorajszej przechadzki były matowe, bo suche, ale tutaj, w cieniu kościoła, gdy padł na nie promień ostrego, pustynnego słońca, zaczęły świecić płomiennie żółtym kolorem.

Tak, zajęły one moją uwagę, bo zjawisko to było dla mnie niecodzienne. Nie skończyło się na jednym czy drugim spojrzeniu, nie mogłem oderwać od nich oczu, wpatrując się w nie jak w ikonę. Płomienne kwiaty w białym flakoniku, a wkoło półmrok kościoła, który ma tylko dwa małe okienka w stropie. Kwiaty przemienienia – pomyślałem sobie.

Mówią one o czymś głębszym, są lekcją: „Ledwie nas wziąłeś do kościoła, a widzisz, jak potrafimy wielbić Boga?”. Wystarczy tylko żywe światło słoneczne. Czy nie tak samo jest z człowiekiem? On również żyjąc na pustyni codziennego życia, szybko wysycha, kończy się jego idealizm, więdnie. Starzeje się jego religijność, a modlitwa staje się rutyną. Wystarczy jednak żywe światło Chrystusa, a człowiek staje się Bożym płomieniem.

Przewinęło się przez moją głowę tych kilka refleksji. Widziałem też, że spektakl się skończył. Kwiaty straciły swą żywą barwę, bo

znalazły się w cieniu. Poszedłem za promieniem słonecznym, który nieco się przesunął. Przestawiłem trochę wazon. Kwiaty znów wybuchły jasnym płomieniem, i znów mnie zachwyciły, zupełnie jak jakaś ulubiona melodia, której nie wystarczy posłuchać raz i drugi, ale człowiek cały czas ją włącza, chcąc pozostać w jej klimacie. Słuchając jej wiele razy, zanurza się w nią jakoś inaczej, głębiej. Rezonuje w nim ona w specjalny sposób, tworzy muzyczną kulminację, która w nim pozostanie. Nie będzie już powierzchownym efektem, ale faktem, który, posiadając realną siłę, służyć będzie realnemu dobru.

Znów zauważyłem, że kwiaty „ostygły" i znów przeniosłem je tam, gdzie na dywanie usadowił się promień, aby znów rozkwitły płomieniem. Robiłem to tak długo, aż promień dotarł do ściany i począł się po niej wspinać.

Można i to było interpretować duchowo. Każdy może to zrobić sam, myśląc o tym, że płomień trzeba umieć podtrzymywać, że trzeba umieć go śledzić i wiedzieć jak się porusza, że muszą być ręce, które przesuną flakon w odpowiednim momencie na odpowiednią odległość... Pewnie taką funkcję pełnią moje rekolekcje. Pewnie wspinanie się promienia po ścianie też można ubrać w bardziej lub mniej pobożne refleksje. Nie chodzi jednak o to, aby je mnożyć albo starać się o to, aby wyglądały pięknie, najważniejsze to dać sercu możliwość. Pozwolić mu zobaczyć, spróbować, dać czas, aby zachwyciło się chwilą i pomóc mu w tym, aby ona się wydłużyła, aby ją powtórzyć raz jeszcze, tak, aby nie była tylko bańką mydlaną...

Tak samo jest przecież z muzyką na Mszy św., taką funkcję pełnią świece, kwiaty i kadzidło. Właśnie, kadzidło! Przypomniałem sobie

lekcję, jaką odebrałem na Górze Athos, w klasztorze świętego Pantelejmona i płynące stąd rozumienie wagi kadzidła dla przestrzeni mistycznej, jakości modlitwy i pełniejszego w nią wchodzenia... A ponadto, kadzidło też trzeba nieustannie podsycać, podtrzymywać ogień tak, jak ja to przed chwilą uczyniłem, modląc się pustynnym bukietem i przechodzącym przez kaplicę słonecznym promieniem pustynnego słońca.

Spektakl nocnego pociągu

Tego dnia nie wydarzyło się już nic więcej, co warte byłoby odnotowania w książce. Może tylko „spektakl nocnego pociągu", jak to nazwałem...

Na nocleg udałem się z większym niż poprzedniego dnia przekonaniem, oraz po dłuższej modlitwie w kościele przed Najświętszym Sakramentem. Nie było już przykrego zderzenia z nietoperzową konkurencją w miejscu noclegu. Nie miałem już obaw, jeśli chodzi o sen na dachu, tym bardziej, że miałem w tym względzie dość rozległą praktykę – wiele razy w życiu wybierałem nocleg na dachu albo tarasie zamiast w gorącym wnętrzu pokoju.

Całkowita samotność robiła jednak pewną różnicę. Podobnie jak fakt, że były to ruiny klasztoru a nie dom mieszkalny, a do tego dach nie posiadał na obrzeżu zabezpieczenia. Więcej niepewności ani niespodzianek już nie było. Wiedziałem doskonale, że spędzę długi czas leżąc na wznak i patrząc w gwiezdne niebo i świetnie się do tego duchowo i psychicznie przygotowałem. A jednak nie można wszystkiego dokładnie zaplanować. Kiedy ułożyłem się na swoim materacu, zauważyłem, że rozgwieżdżone niebo jest olbrzymim wnętrzem, potężnego kościoła, a człowiek jest w tym kościele sakramentem. Lepiej zrozumiałem epizod z życia naszego

założyciela, świętego Ignacego Loyoli, kiedy to kładł się na wznak na podworcu klasztornym, aby patrzeć na rozgwieżdżone niebo. Widać cenił sobie to ćwiczenie duchowne, skoro z niego nie rezygnował pomimo drwin ze strony innych, którzy być może nie dostrzegali w tym zajęciu nic więcej niż kaprys sentymentalnego szlachcica.

Tak jak się spodziewałem, znów utonąłem wśród gwiazd, przypominając sobie zdarzenia dnia, główne wątki modlitwy. Przypływały i odpływały różne myśli, czasem nowe, czasem będące powtórką tego, o czym myślałem. Bynajmniej niczego nie podsumowywałem i nie nadawałem temu zajęciu schematu powtórki. Był to raczej rodzaj spontanicznego dzielenia się z Bogiem obrazami dnia, który upłynął. Szukałem w nim intuicyjnie głównego przesłania, spoglądając na drogę, którą przebyłem, a właściwie, którą przebyliśmy razem, starając się dostrzec, jakie są prognostyki na następny dzień. Pytałem o to, co jutro mam wziąć na rozmyślanie, o rodzaje modlitwy i porządek dnia. Nie szukałem tematów do rozmowy, która się właśnie toczyła, gdyż tematy manifestowały się same. Przychodziły jak delikatne, duchowe natchnienia. Przypominały mi pewne zdarzenia, zachęcały do wysiłku, uwagi, dodawały otuchy. Pozwalały mi dziękować Bogu, powierzać się Mu jeszcze raz i ponownie. Wznosiły mnie wysoko do nieba, na skrzydłach modlitw uwielbienia i przeradzały się w postanowienia na czas zwykłych dni pracy. Były to wezwania bez słów, były też słowa, były uniesienia uczuć i zwykłe „westchnienia" do Boga, jak się je często określa, choć wcale nie są banalne, bo rzeczy zwyczajne są

zasadniczym budulcem i strukturą rzeczywistości, również tej duchowej.

Gdzieś koło godziny dwudziestej drugiej, a to według czasu Mar Musa bardzo późna pora, bo zmrok zapadał tam już o godzinie dziewiętnastej, siedząc na materacu, okręcony kocem, nagle przy końcu doliny, daleko u podnóża gór, gdzie wczoraj widziałem kilka małych świateł, teraz zauważyłem maleńki rząd świetlistych kropek, które powolutku, jak gąsienica przesuwały się wzdłuż pasma górskiego. Zrozumiałem, że widzę pociąg, który zatrzymał się przy kilku światłach, o których wspomniałem, a więc musiała to być stacja kolejowa. Potem, znów bardzo powoli, zminiaturyzowany do granic widzialności pociąg począł sunąć do przodu, aż zniknął całkowicie. Spojrzałem jeszcze raz na zegarek, bo ten banalny widok wzruszył mnie do żywego. Dziwiłem się z tego powodu samemu sobie. Czyż ja jestem rozbitkiem na bezludnej wyspie, że tak reaguję na widok pociągu? Dobrze, że nie strzelałem z rac, żeby zwrócić na siebie jego uwagę – pomyślałem sobie sarkastycznie.

Sprawy nie zawsze są tak proste, jak się na pozór wydają. Było we mnie jakieś oczekiwanie, o którym nie wiedziałem i którego się nie spodziewałem. Był jakiś wewnętrzny dyskomfort, którego sobie nie uświadamiałem. Rekolekcje na pustyni sam sobie wybrałem i nikt mnie do nich nie zmuszał, czuję się na nich bardzo dobrze, a jednak... nie jestem z powołania pustelnikiem. I chociaż sam z sobą się nie nudzę, to odczuwałem brak człowieka, stąd tak bardzo mnie poruszył ten widok. Nie wątpię, że człowiek wierzący nigdy nie jest sam, bo zawsze przecież przebywa w obecności Bożej i spięty jest klamrą modlitwy z Jego obecnością, ale ludzka

obecność nie jest bez znaczenia. Głęboko jest wpisana w nasze dusze i wystarczy, że na pustyni człowiek niespodziewanie zobaczy przejeżdżający daleko, mały jak gąsienica, pociąg, żeby się wzruszyć jego widokiem i spojrzeć na zegarek, by sprawdzić która to godzina, aby nazajutrz nie przeoczyć tego samego spektaklu.

IV
Ważne epizody

W rękach złożonych do modlitwy

wszystko jest Twoim darem
to ciche szczęście
jak świerszcz za kominem
ten zwykły płacz
rozstajne drogi słów
które się połączą
zbieżne progi myśli
drugi brzeg bliski
śpiew wiekuisty
my wszyscy

w rękach złożonych do modlitwy

Przygotowanie do Eucharystii

Mar Musa wita cię zawsze skrajną prostotą, wielką naturalnością pustynnego życia, różnorodnością twarzy pielgrzymów, którzy przybywają tutaj z całego świata i wielkim braterstwem podczas kilku dni, które zwykle się tutaj spędza, uczestnicząc w pracach wspólnoty, spotkaniach i rozmowach. Kto pragnie milczenia, może je przeżyć w górskich pustelniach (zamurowana grota z drzwiami i oknem) lub w klasztornych murach, po przejściu przez wiszący, żelazny mostek na drugą stronę głębokiego kanionu i po wspięciu się krętą skalistą dróżką na szczyt sąsiedniego wzgórza.

Czas, na który najbardziej się czeka, to godzinne milczenie przed Mszą świętą, które obwieszcza dźwięk gongu. Jego głos rozchodzi się daleko po skalistych zboczach dzikiej *wadi*, prowadzącej do szerokiej doliny, znajdującej się u stóp góry, na której zboczu został zbudowany klasztor i kościółek. Słońce już nie praży, schowane za masywem górskim. Pojawia się ożywczy wiatr i wreszcie można swobodnie oddychać, przycupnąwszy gdzieś na krawędzi skały, patrząc jak czernieją stopniowo, wraz z zachodem słońca, zwały kamieni, przypominające zaklęte w kamień karawany o najbardziej dziwacznych kształtach, połączonych ze sobą fantastycznymi

łukami mostów i przesmyków, zlewających się coraz bardziej w jedną czarną ścianę ogromnego muru najeżonego dzikimi basztami.

Można dostrzec, jak stopniowo zapalają się gwiazdy, jedna po drugiej, a potem całe ich gromady, żeby wybuchnąć gejzerem nieskończonej ilości świetlistych zbiorów. Wtedy robi się jeszcze ciszej, i już nikt nie rozmawia i nikogo nie trzeba już do milczenia zachęcać. Cisza narzuca się sama każdemu, kto chociażby na chwilę dał jej szansę, aby do niego przemówiła. Nie zakłóca się jej wówczas nawet najmniejszym ruchem. Zewnętrzny świat zamiera, a ten wewnętrzny, który kryje się w człowieku, będący w dziwnej symbiozie z czarnymi skałami i białymi mgławicami gwiazd na czarnym nieboskłonie, ożywa. A gdy jeszcze pojawi się księżyc, to jest się dosłownie przypartym do jakiegoś psychicznego muru i coś się w człowieku zaczyna dziać, coś się odblokowuje, coś się zaczyna w nim odzywać i czasem nie wiadomo, jak na to coś reagować. Wówczas chce się człowiekowi śpiewać, bo istotnie słyszy on w sobie jakąś melodię i jakąś potrzebę, aby ją wyartykułować, dać jej szansę zaistnienia. Czasem się wydaje, że to pustynne milczenie śpiewa, aby powiedzieć człowiekowi w tej szczególnie podniosłej chwili o tajemnicy, którą zgubił na drogach rozkrzyczanego życia. Bez niej życie, choć się rusza i wiele nawet czyni, jest pozbawione duszy. Pewnie dlatego chłopak, który był blisko mnie, a którego nie widziałem, bo siedział za załomem skały, nagle zaczął szlochać. Jeszcze przed kilkunastu minutami głośno rozmawiał, śmiał się i gestykulował, a teraz pustynna cisza rozbroiła go zupełnie. Czułem, że stara się stłumić w sobie płacz, ale nie był w stanie tego uczynić. Pustynny śpiew był mocniejszy

od jego psychicznego opancerzenia. Rozbrojony zupełnie, nie mogąc się skryć za rutyną codziennego gwaru, skapitulował.

Eucharystia

Eucharystia odprawiana jest w małym kościółku, przylegającym do budynku klasztornego, stojącego na półce skalnej.

W kompletnej ciszy zaczynają się schodzić cienie kobiet i mężczyzn, czasem również z dzieciakami, do kamiennej sieni, gdzie zdejmują buty i zostawiają je przed progiem. W większości sanktuariów na Wschodzie, do wnętrza świątyni wchodzi się boso. Niektóre kobiety zakładają chusty na głowę, co kiedyś było zasadą. Mężczyźni mają na głowie *kufije*, znane u nas pod nazwą „arafatki". Nawet cudzoziemcy, a może szczególnie oni, lubią je ubierać i to nie tylko w upał, gdy chodzi o to, aby uchronić się przed słońcem i kurzem pustynnym, ale również wieczorem i w kościele, nieraz rozwijając je i kładąc sobie luźno na ramiona.

Kościółek, jak i wszystkie inne zabudowania klasztorne, zbudowany został z miejscowego kamienia, poza którym praktycznie niczego innego w okolicy nie ma. Kościółek liczy sobie ponad tysiąc lat, a jeśli uwzględnić ścianę, która wcześniej była murem wieży rzymskiej, to należałoby do jego wieku dołożyć kolejny tysiąc lat.

Liturgię zwykle celebruje przeor Mar Musa, genialny restaurator tego zabytkowego miejsca i jeszcze genialniejszy animator duchowy, założyciel wspólnoty mniszek i mnichów klasztoru Mar Musa oraz lider dialogu chrześcijańsko-islamskiego, erudyta, pisarz, doktor teologii, który na tym odludziu wykreował ośrodek życia monastycznego i spotkań międzyreligijnych znany na całym świecie. Ojciec Paolo Dall'Oglio podniósł z ruin budynek klasztorny, wyremontował kościół, odnosząc się z pietyzmem do każdego reliktu przeszłości i nie wiadomo, kiedy wokół tych obu budowli powstał cały pustynny „Watykan" z salami konferencyjnymi, domkami dla pielgrzymów, stojącymi jeden na drugim, jak kamienna kaskada, zabudowaniami gospodarczymi, oborami dla kóz i owiec, wytwórnią sera, ogrodami doświadczalnymi, muzeum... Całość stanowi światowy unikat odrodzonego monastycyzmu i ośrodek spotkań ludzi różnych kultur i tradycji religijnych.

Jeszcze jedno należy dodać: całe to imponujące budowlane przedsięwzięcie tworzy niezwykłą harmonijną architektonicznie całość. Stare budowle znajdują się w doskonałej symbiozie z nowymi, gdyż ich budowa była prowadzona bardzo prostym, niemal gospodarczym sposobem, nie przez specjalistów i inżynierów, ale zwykłych majstrów murarskich z okolicy. Budulcem był prosty, nieobrobiony kamień, do tradycyjnej zaprawy murarskiej z piasku, gliny i wody dodawano w jakiejś proporcji również cement. Budynki są doskonale wkomponowane w otaczające je skały, wykorzystując skalne wnęki, półki i groty, stanowiąc unikalną w skali światowej mniszą wioskę. Przybyszów z różnych krajów fascynuje zarówno pustynna egzotyka miejsca,

jak i malowniczo usytuowana kamienna, przyklasztorna osada, przypominająca wielkie kamienne mrowisko domków, ożywione figurkami poruszających się po nim pielgrzymów, pracowników budowlanych i turystów.

We wnętrzu kościółka prawie zawsze panuje półmrok, gdyż światło dzienne wchodzi do niego tylko przez dwa małe okienka umieszczone wysoko, po obu stronach absydy, nad ołtarzem. Widoczne są przez to wyraźniej, świecące migotliwym światłem, świece, ustawione na drewnianych lub szklanych podstawkach. Nie ma tam ławek, co jest zasadą w naszych kościołach ani nawet krzeseł, poza kilkoma, pod ścianą, dla starszych pielgrzymów przybywających z Europy, którzy nie bardzo sobie radzą z siedzeniem „po turecku". Cała powierzchnia kamiennej posadzki pokryta jest dywanami, skórami kozimi i baranimi, derkami i pewną ilością poduszek. Brak ławek i ustawionych w rzędy krzeseł sprawia, że przybysze zajmują miejsca w kościele gdzie popadnie, najczęściej pozostając w grupach, w jakich przybyli do Mar Musa. W miarę rozwijania się liturgii, która trwa zwykle dość długo, uczestnicy zmieniają pozycje ciała: inaczej siadają, przyklękają, wyciągają nogi. Cale zgromadzenie liturgiczne przemienia się z czasem w jedno, wielkie obozowisko. Tym bardziej, że celebrans i towarzyszący mu diakoni również tak siedzą i w podobny sposób się zachowują, co oczywiście nie zmienia w niczym ich specyficznej roli, jaką odgrywają w tym zgromadzeniu.

Oficjalnym rytem tego klasztoru jest ryt syriacki. Jest to jeden z najstarszych rytów, jakie zna Kościół, posługujący się językiem aramejskim, a więc tym, którym na co dzień posługiwał się Pan

Jezus i apostołowie. Chcąc uczynić modlitwę bardziej zrozumiałą dla wiernych obecnych w kościele, używa się języka aramejskiego tylko w niektórych momentach, jako uzupełnienie dla zasadniczego języka, którym jest arabski. W przypadku obecności jakiejś grupy cudzoziemców pewne fragmenty liturgii odmawiane są w ich języku, albo takim języku, jaki oni znają, a więc po angielsku, francusku lub włosku. Tymi językami ojciec Paolo włada doskonale i korzysta z nich podczas Mszy w tak naturalny sposób, że nie czuć najmniejszej sztuczności w zmianach języka. Jego homilie są bardzo żywe, gdyż jest człowiekiem płomiennego temperamentu, często posługującym się formą dialogu. Czyni to przez zadawanie uczestnikom pytań, nieraz trochę prowokacyjnych, aby skłonić ich do zabrania głosu. Potem komentuje te głosy i zadaje kolejne pytania, albo stawia kwestie, które zamierza rozwinąć. Pozwala również na to i chętnie to widzi, aby jemu zadawano pytania. Nie stroni od wymiany zdań i zwykłej rozmowy.

Modlitwa wiernych jest wspólnym, spontanicznym wygłaszaniem intencji, które albo towarzyszyły przybyszom jeszcze przed ich przyjściem do klasztoru, albo zrodziły się na miejscu, na przykład pod wpływem usłyszanej homilii. Wezwania modlitwy wiernych wypowiadane są często w rodzimych językach osób, które uczestniczą w liturgii i nie zawsze bywają tłumaczone na język arabski.

Stałym elementem każdej celebracji eucharystycznej jest śpiew. Dotyczy to zarówno przewodniczącego liturgii, jak i jej uczestników, którzy śpiewają najczęściej stare aramejskie hymny.

Większość z nich została przetłumaczona i dzisiaj wykonywana jest w języku arabskim. Zawsze używane jest również kadzidło.

Modlitwa uwielbienia

Niezapomniana jest w Mar Musa, i zawsze bardzo oryginalna, modlitwa uwielbienia Boga bezpośrednio po Mszy św.

Modlitwy kończące Msze św. przechodzą wówczas w dyskretną, cichą grę na instrumencie, najczęściej jest to flet albo skrzypce, która stopniowo nabiera wigoru i przeradza się w spontaniczny, wspólny śpiew, któremu towarzyszy rytmiczne klaskanie w dłonie. Włączają się potem inne instrumenty, jeśli takowe są i przez jakiś czas mają one głos dominujący. Ustalają pewien motyw muzyczny, który podchwytują stopniowo inni. Najpierw pojedynczy wokaliści, a potem znów cała grupa. Trzymają się rytmu, który wyznaczają małe bębenki *darbake*, trzymane pod pachami. Kiedy śpiew nabierze rozpędu i wspólnotę ogarnie rodzaj zbiorowego uniesienia, wtedy dają się słyszeć wykrzykiwane nagle krótkie wezwania, czasem jest to jakiś jeden wyraz powtarzany nieustannie, jak na przykład „Allah, Allah, Allah" (Bóg). Wierni czynią to z zamkniętymi oczyma, w mistycznym zadurzeniu, jak gdyby wnętrze kościoła nie było już ziemią, ale przybrało, dzięki śpiewowi, muzyce i okrzykom jakiś nowy, pozaziemski wymiar. Każdy z uczestników tego śpiewnego misterium rytmicznie się

kołysze, podkreślając uderzenia bębenka klaskaniem w dłonie, przechylaniem się na boki. Tanecznie wznosząc ręce i klaszcząc nad głowami, uśmiechają się do siebie raz po raz, potem znów nucą z zamkniętymi oczyma, każdy po swojemu i w harmonijnej zgodzie z innymi. Wszyscy razem pełni uniesienia i widocznego na ich twarzach zadowolenia, jakby znaleźli nareszcie zielone pastwiska, strumyki pełne wody, nad którymi mogą odpoczywać, o czym wcześniej mówił psalm. Ich głosy wznoszą się pod strop kościoła i wydają się przenikać przezeń, napełniając kamienne pustkowie nagłą, radosną falą życia.

Wszystko to dzieje się w miejscu, które kiedyś, przed piętnastu wiekami, ożywili swoją obecnością pustelnicy, żyjąc w okolicznych pieczarach i grotach. Było ich najpierw kilku wraz z duchowym przywódcą, Mar Musą al Habashim, a potem było ich kilkunastu i kilkudziesięciu. Mężczyźni o długich włosach i długich czarnych brodach, którzy tutaj zbierali się na wspólną modlitwę. W tym miejscu zbudowany został ten kościółek, wielokrotnie potem przebudowywany. Jeden człowiek buduje, a potem inny przejmuje to, co poprzednik zbudował, uzupełnia, burzy, zmienia, ale zachowuje istotę. Jest nią wiara w świętą obecność Pana, czyli w Eucharystię. Przeżywając Msze święte modlimy się razem z pokoleniami, które nas poprzedziły, i które przyjdą po nas, bo Eucharystia zawsze jest jedna, paschalna, i odnosi się do wszystkich czasów. Jest ona również powszechna, to znaczy obejmuje cały świat. Jest tak szeroka i wielka jak kosmos, stworzony przez Nieskończonego i Nieogarnionego Boga.

Nasi poprzednicy, którzy modlili się w klasztorze Mar Musa, celebrowali tę samą Eucharystię co my. Jesteśmy z nimi w realnej

komunii, dzięki temu samemu Ciału, które zostaje nam podane do spożycia i tej samej Krwi Pańskiej. Jesteśmy członkami tego samego Przymierza, które trwa przez wieki i będzie trwało aż poza kres czasów. Takie jest bowiem Zmartwychwstanie, któremu daliśmy świadectwo uwielbieniem Boga. Dawni mnisi, oprócz modlitwy oddawali się pokucie i twardej ascezie. Wielu z nich w ogóle, przez całe życie, nie jadło mięsa i zdobywało się na niewiarygodnie wymagające posty. Niektórzy z nich nigdy nie kładli się na spoczynek, przyjmując literalnie ewangeliczne wezwanie do nieustającej modlitwy i stałej czujności, „aby nie ulec pokusie". Dlatego spędzali noce na siedząco i pomimo tego pełnego wyrzeczeń, pokutnego życia mieli w oczach światło pokoju, którego świat człowiekowi dać nie może. Dlatego przybywali do nich ludzie, aby prosić o modlitwę i kierownictwo duchowe. Niektórzy zostawali tutaj dłużej, czasem na stale, aby wieść takie jak oni pustelnicze życie.

Sądzę, że jeśli ktoś uczestniczył w modlitwie, jaką przeżyć można było w Mar Musa, zaczynał również tęsknić za innym życiem, którego nie znalazł w swoim kraju i swoim dostatnim domu, a doświadczył go tutaj, na pustyni Kalamun.

Msza święta bez chleba

Przybyliśmy z Jacquesem, który wtedy nie był jeszcze księdzem, do Mar Musa dzień przed zapowiedzianym terminem i nikogo nie zastaliśmy w klasztorze. Było już późno. Słońce chyliło się ku zachodowi. Nie można było wracać pieszo do Nebek w nocy. Musieliśmy zanocować w górach, jak pustelnicy. Wiedzieliśmy, że w tych warunkach nie uda się nam odprawić Mszy św., tak jak sobie to planowaliśmy, w klasztorze. Było nam bardzo przykro z tego powodu. Pierwszy raz od moich święceń kapłańskich zaistniała taka sytuacja, i to akurat tutaj i akurat teraz, gdy wybraliśmy się na parę dni skupienia. Przeszliśmy pieszo długą trasę, chcieliśmy się spotkać ze sobą. Co robić?

Jak odprawić Mszę św. tutaj, wśród skał, w tych warunkach? Miałem świadomość tego, że Msza ma większą wartość aniżeli wszelkie praktyczne niedogodności, ale w tym wypadku trudności były szczególne.

Powiedzieliśmy sobie jednak: „damy radę” i poczuliśmy się dużo lepiej, gdy zabraliśmy się do pierwszych przygotowań. Towarzyszyła nam radość, pomimo tego, że klasztor był zamknięty i szybko zaczęły zapadać ciemności. Brakowało ołtarza, brakowało

mszału i świec. Wyciągnąłem składany kielich, patenę, wino i w tym momencie uświadomiłem sobie, że brakuje nam... chleba. Liczyliśmy, że Msza św. będzie w klasztorze, a tam chleba jest przecież w obfitości. Na Wschodzie do celebracji eucharystycznej używa się chleba pszennego, a nie hostii w postaci opłatka. Co robić? Jak pokonać tego rodzaju przeszkodę? Odprawiać Mszę św. bez chleba? Nie powiedzieć podczas konsekracji: „Oto Ciało Moje" i nazwać to Ostatnią Wieczerzą, ucztą paschalną? Nie ma innego wyjścia, jak zrezygnować z Mszy świętej. Tym razem przeciwności okazały się silniejsze od naszego duchowego pragnienia i determinacji. Zawiedzeni, zaczęliśmy odruchowo rozglądać się wokół siebie, jak gdyby takie rozglądanie na pustkowiu mogło mieć jakiś praktyczny sens i mogło nam pomóc. Był to raczej automatyczny gest, reakcja na stan zażenowania, któremu świadomie nie byliśmy w stanie się przeciwstawić. Zwyczajny odruch, wszczepiona w człowieka rutyna, że jeżeli czegoś nie ma, albo jeśli się czegoś potrzebuje, to należy się rozejrzeć wkoło. Jacques uczynił kilka kroków w prawo, z twarzą przy ziemi, ja zrobiłem to samo. To była bezradność i zakłopotanie albo jak kto woli, zwyczajny upór i niezdolność do pogodzenia się z twardą rzeczywistością.

Zupełnie jednak niespodziewanie i wbrew racjonalnym oczekiwaniom, doszedłem do miejsca, gdzie kiedyś klasztorny muł zrobił sobie przystanek, aby się pożywić. Wysypano mu tutaj trochę suchych resztek chleba. Sprawdziłem, kilka kawałków chleba, przysypanych piaskiem, było bardzo dobrze zakonserwowanych przez pustynne słońce. Nie miały śladu pleśni. Kawałki były małe, ale przecież nie potrzebowaliśmy ich na

kolację, lecz do sprawowania Eucharystii. Do tego celu nadawały się doskonale. Trudno było sobie wyobrazić lepszy chleb.

Msza św. mogła się odbyć! Uratował nas muł, który nie wyjadł chleba do ostatniej drobiny, bo mu się schowała w piachu albo pod kamykiem, a słońce uratowało ją przed zepsuciem. Ostatecznie, kiedy Chleb z Nieba zstąpił na naszą Ziemię, dokonało się to w stajni i został On złożony w żłobie, a nie w kołysce. W opowiadaniu o Bożym Narodzeniu mówi się zazwyczaj o wole, krowach, owcach, osiołku i kozach, nikt nic nie wspomina o mule. My w tę noc uzupełniliśmy ten brak.

Było już zupełnie ciemno i nic nie było widać, gdyż nie było jeszcze księżyca. Wiał dosyć chłodny i mocny wiatr. W tych warunkach niemożliwe było budowanie ołtarza. Na pochyłym, kamienistym stoku nie było miejsca, na którym mógłbym położyć kielich i patenę. Nie było innego wyjścia, jak trzymać je w rękach. Pierwszą część Mszy świętej spoczywały one w rękach Jacquesa aż do konsekracji, po czym, aż do Komunii, trzymałem je w ręku ja.

Staliśmy na stoku góry, zwróceni w kierunku doliny, nic niemal nie widząc. Wokół nas panowała gęsta, nieprzenikniona ciemność. Pod butami chrzęściło żwirowisko. Wiatr targał moją stułę tak mocno, że musiałem ją przewiązać, aby nie zsunęła mi się z ramion. Przeżegnaliśmy się cali szczęśliwi, że możemy na pustyni uczestniczyć w modlitwie Bożego Syna, dzięki któremu staliśmy się na wieki dziećmi Boga. Zniknęła nasza bezradność i poczucie zagubienia. Wyraźne, znacznie wyraźniejsze niż zwykle, stało się dla nas ojcostwo Boga i Niebo też było bliższe. Nie mieliśmy żadnych wyrzutów sumienia, że nie mogliśmy postąpić ściśle według rubryk liturgicznych. Czy źle zrobiłem, że tutaj na pustyni,

tej nocy, sprawowałem Najświętszą Ofiarę? Czy miałem tego zaniechać z uwagi na brak ołtarza i brak alby, która na mnie czekała w zamkniętym klasztorze? Nie człowiek dla szabatu – powiedział Jezus faryzeuszom – ale szabat dla człowieka. Bóg patrzy w serce i wie, że ta Msza św. była naszym gorącym pragnieniem, że chcieliśmy nią Go uwielbić i oddać się jeszcze bardziej pod Jego opiekę, w tym chłodzie, ciemności, grozie i dzikości pustyni. Msza św. przecież nie jest niczyją własnością. Zawsze gdy ją odprawiamy, to sprawuje ją cały Kościół, tak jak teraz i tutaj w nas, którzy stoimy na stoku góry, samotni, w ciemnościach, na wietrze. Pomimo całego tego posępnego otoczenia znajdujemy się w samym centrum misterium zbawienia i jesteśmy świadkami tego, że nasza pustynia, dzięki ofierze krzyżowej Chrystusa, zamienia się w żyzne pole.

Na szczęście oracje i kanon Mszy św. znałem po arabsku na pamięć. Bardzo mi to ułatwiało życie w kraju, gdzie często i niespodzianie bywa wyłączany prąd elektryczny. To samo jeśli chodzi o obozy i rekolekcje, gdzie Msze św. często były odprawiane w plenerze. Tam również przydawała się ta umiejętność, dzięki niej nie potrzebowałem, aby ktokolwiek towarzyszył mi z latarką i nie musiałem wertować odpowiednich stronic w mszale.

Kanon Mszy św., odmawiany na stoku skalistej góry, z trzymanym w ręku świętym kielichem i pateną, w ciemną noc, potem roziskrzoną gwiazdami, dawał mi poczucie celebrowania *Missa universum*, czyli Mszy całego świata. Patrząc na rozgwieżdżone niebo, ciemną masę skał po obu stronach wąwozu i szeroką przestrzeń niziny, która rozciągała się przed nami, miałem poczucie uczestniczenia w modlitwie, która obejmowała

już nie tylko wieki, ale tysiące i miliony lat, bo niebo jest przecież od stworzenia świata, a historia wiatru i skał sięga daleko w głąb życia naszej planety.

Po Komunii usiedliśmy na kamieniach. Nie spieszyliśmy się wcale. Mieliśmy mnóstwo czasu. Byłem szczęśliwy poznając smak kapłaństwa, jakiego dotąd nie znałem. Bóg był wśród nas, był w nas, z nami i nad nami. Bóg był wszędzie i jednocześnie świat przestał być zagubiony, opuszczony, bezpański. Świat miał sens i chociaż była noc, a my na pustyni, świat wydawał się świetlisty, pełen obietnic i nadziei.

Legendarny ślub w Deir Atiya

Afif był dość posuniętym w latach egzemplarzem mulego gatunku. Paolo kupił go od pewnego pasterza owiec za dość pokaźną sumę, jak na zwykłego muła. Po arabsku na muła mówi się *baghel*. *Baghel* to jednak imię zbiorowe, trzeba mu było nadać imię *khas*, czyli własne. Paolo miał talent do nadawania imion. Nie wiem, w którym momencie to się stało, ale ważne jest, że nagle nikt nie mówił na muła *baghel*, ale – jak przystało na członka wspólnoty Mar Musa – został nazwany Afif, czyli „wstrzemięźliwy". Korespondowało to w sposób oczywisty z charakterem nowego gospodarstwa, w którym został zatrudniony, czyli klasztoru. Miało to też dodatkowy wymiar, trochę satyryczny, bo jak wiadomo muł jest obojętny na życie płciowe i nie posiada żadnej żeńskiej towarzyszki życiowej. Tak mi przynajmniej tłumaczono, choć sam osobiście żadnych badań specjalistycznych w tym kierunku nie prowadziłem. Uznałem więc, że nazwa była trafna i to wszystko. Nasz muł w Mar Musa pozostał Afifem i koniec.

Ciekawe były losy Afifa i razem z Paolo stanowili doskonałą parę. Miast udawać się do Nebek pieszo, Paolo, i tylko Paolo dosiadał muła, ale bynajmniej nie dlatego, że komukolwiek tego wzbraniał,

po prostu Syryjczycy wstydzili się paradować na mulim grzbiecie. W kraju, który się dynamicznie modernizuje postrzeganoby to jako przejaw zacofania. Paolo się jednak takimi opiniami nie przejmował i trzeba powiedzieć, że ten muł bardzo do niego pasował. Prawdę mówiąc nic dziwnego, bo cudzoziemiec na mule nie kojarzył się nikomu ze skrajnym ubóstwem i zacofaniem, ale raczej z odwagą i fantazją. Tym bardziej, że miał na sobie suknię zakonną wspólnoty Mar Musa, podobną trochę do roboczego fartucha, a trochę do sutann prawosławnych zakonników. Na głowie miał zwykle *kufiję*, która luźno spadała mu na ramiona. Jadąc na mule, zwykle się nie rozglądał po okolicy, ale jak przystało na zakonnika, czytał Pismo Święte i rozważał je, przygotowując jakąś homilię czy inne mniej albo bardziej kościelne wystąpienia.

Przypominam sobie jedną z najsłynniejszych wypraw duszpasterskich Paolo, na mule, do Deir Atiya, gdzie został poproszony o udział w błogosławieniu związku małżeńskiego. Droga była dość daleka, a więc jak zwykle Paolo podążał na grzbiecie Afifa zagłębiony w biblijnej medytacji. Trzeba w tym momencie zauważyć, że jazda na mule albo na ośle ma wyższość nad jazdą samochodem czy motorem, gdyż można – kierując mulim „pojazdem" – czytać, a nawet spać, bez spowodowania zagrożenia dla ruchu drogowego. Nie mówię o tym, że siedząc na grzbiecie Afifa mógł *abuna* Paolo jechać przez najgorsze wertepy, bez ryzyka złapania gumy czy zderzenia z jakimś sporym głazem. Muł wszystkie przeszkody omijał, chroniąc siebie i pasażera przed uderzeniem o skałę albo wpadnięciem do dołu. Jeśli zna drogę, bez żadnego kierowania i kłopotu, z pewnością powiezie jeźdźca do domu. Kiedyś widziałem coś takiego w górskiej okolicy *wadi*

Nasara i przyznać muszę, że choć to nieładne, ale poczułem w sobie trochę zazdrości. Chodziło o prawosławnego księdza o długiej siwej brodzie i wielkim czarnym cylindrze na głowie. Pogrążony był we śnie, siedząc na grzbiecie dość mizernego osiołka. Trzymał się prosto, z głową nisko spuszczoną na piersi, spał snem kamiennym. Aż dziw brał, że się nie osunął, chociaż niebezpieczeństwo upadku, nie było zbyt wielkie, chociażby z tego powodu, że osiołek był tak niski, że ksiądz prawie dotykał stopami ziemi, łatwo by mu było zatem w chwili zagrożenia się na nich wesprzeć. Jeszcze bardziej mnie dziwił jego cylinder, który pomimo znacznego przechyłu nie spadł mu z głowy. Jechał wprost na mnie, bo ścieżka była wąska, ale mnie nie zauważył, bo drobny osiołek o chudziutkich nóżkach dokonał zgrabnego manewru i obyło się bez kolizji. Zazdrościłem mu tego, że – mając takie mądre zwierzę – może nie tylko podróżować wygodnie i to nawet tam, gdzie drogi są nieprzejezdne, ale jeszcze u końca podroży, nie tylko nie będzie zmęczony, ale i po sjeście.

Wracam jednak do *abuny* Paolo i jego weselnej misji w Deir Atiya. Po paru godzinach drogi, gdy przybył na miejsce, to znaczy do kościoła, zastał już tam pana młodego z księdzem i katolicką świtą. Jego przyszła żona, prawosławna, miała dopiero przyjechać samochodem w towarzystwie ojca, który miał ją przekazać opiece męża. Nastroje były bardzo dobre. Humory dopisywały. Wszyscy odświętnie ubrani, kościół przystrojony.

Sprawa jednak nie potoczyła się tak gładko, jak wszyscy się tego spodziewali. Wraz z orszakiem panny młodej przyszedł również ksiądz prawosławny, jej krewny i tuż przed rozpoczęciem celebracji zaczęły się jakieś pertraktacje w małym gronie

reprezentującym obie rodziny. Chodziło o podział zadań między kapłanami. Ksiądz prawosławny nie chciał się zgodzić z funkcją, jaka została mu wyznaczona. Uważał, że skoro ślub jest w Deir Atiya, a pani młoda jest jego krewną, zakres jego liturgicznej posługi powinien być bardziej znaczący. Niektórzy mówili, że miał też jakieś szczególne wymagania, związane ze sposobem sprawowania czynności liturgicznych przez księdza katolickiego, na co ten nie chciał się zgodzić, a to z kolei zostało potraktowane jako afront ze strony rodziny pana młodego. Zaczęły się pomrukiwania i dąsy, które szybko zamieniły się w otwarte starcie. Do głosu doszedł również lokalny patriotyzm mieszkańców obu miasteczek, bo wiadomo przecież było na całym świecie, że Nebek jest znacznie bardziej szacowne od nowobogackiego Deir Atiya. W Nebek kiedyś było biskupstwo, Nebek ma pieczę nad klasztorem Mar Musa, położonym na pustyni, do którego udają się codziennie pielgrzymki i turyści z całego świata. Nebek ma też założony przez Belgów jeszcze w ubiegłym stuleciu szpital. Na to mieszkańcy Deir Atiya odpowiadali, że ich szpital jest o niebo lepszy, bardziej nowoczesny i posiada kolonie malowniczych domków dla personelu lekarskiego i ich rodzin.

Zaczęło wyglądać na to, że do pożądanych uzgodnień jednak nie dojdzie. Obie strony zaczęły się coraz bardziej usztywniać w swoich stanowiskach, a rozmowy przyjmowały coraz bardziej formę wzajemnych ultimatów. Moment zaślubin przed ołtarzem zaczął się dramatycznie oddalać. Głosy rozmówców robiły się coraz bardziej ofensywne, pomimo prób zażegnania sporu i temperowania emocji. Ktoś ważny w pewnym momencie obraził się i wyrażał to bardzo widowiskowo, co z kolei wyprowadziło

z równowagi innych. Ktoś nawet wyrywał się, aby użyć argumentów wybiegających wyraźnie poza sferę li tylko perswazji słownej, ale szczęśliwie został powstrzymany.

Państwo młodzi na próżno prosili – każdy swoją rodzinę i towarzyszące jej szlachetne zgromadzenie – aby zawarli pokój, ale ksiądz prawosławny żądał satysfakcji, bo poczuł się obrażony i, jak przekonywał, nie chodzi tu tylko o niego, ale o honor rodziny i całego Kościoła prawosławnego. Tłumaczył to raz po raz staroście weselnemu, ale ten nie bardzo chciał zaangażować się w egzekwowanie należnego kapłanowi zadośćuczynienia. Ksiądz katolicki siedział cicho, ale nie wiadomo czy tę cichość miał z natury, czy też pewny był wrodzonej krewkości członków swojego Kościoła i dlatego nie musiał się sam bardziej energicznie zaangażować. Czekał ze stoickim spokojem na moment, w którym będzie mógł wreszcie rozpocząć modlitwy. Gdy wreszcie stanął przy ołtarzu, podbiegło do niego kilku mężczyzn i delikatnie acz stanowczo powiedzieli mu, aby się powstrzymał dla własnego dobra i dla dobra wszystkich osób, które są w kościele, włącznie z kandydatami do małżeństwa. Trzymając ręce przy sobie, brzuchami i piersiami dawali jednak dowody na to, że ich słowa warte są przemyślenia. W ten sposób odepchnęli księdza od ołtarza.

Dla dumnych obywateli Nebek tego było już za wiele. Afrontu, jaki ich spotkał, nikt nie mógł zbyć milczeniem. Kobiety podniosły rwetes, a krewcy mężczyźni szykowali się do bardziej konkretnego argumentowania swoich racji. Tym bardziej, że panna młoda została porwana przez swoją rodzinę i wbrew jej woli ciągnięta

była w stronę wyjścia z kościoła. Oczywiście znalazło się wielu, którzy im tę drogę zagrodzili.

W końcu *abuna* Paolo się zdenerwował i wkroczył dość gwałtownie do akcji, interweniując nie tylko słownie, a głos ma donośny niczym pioruny bijące w górach, ale również gestami, które z pewnością nie należały do szarmanckich. Wyzwolił pannę młodą z rąk porywaczy i postawił obok jej narzeczonego. Potem pana młodego chwycił jedną ręką, a pannę młodą drugą i cały czas głośno krzycząc poprowadził do zakrystii, zamykając za sobą drzwi. Tylko świadkowie ze strachem wsunęli się za nimi do środka. Zaskoczył tym wszystkich. Tumult nagle ucichł. Nikt nie reagował. Rozglądano się tylko po sobie bezradnie, próbując zrozumieć, co się dzieje i jaką strategię należy teraz obrać. Sądzono, że ojciec Paolo będzie z kandydatami na małżonków i świadkami negocjował i zaraz ktoś wyjdzie z zakrystii, aby dać znać, jaki jest owoc tych pertraktacji za zamkniętymi drzwiami.

Zaczęto szeptać coś między sobą, potem głosy znów zaczęły się stawać coraz donośniejsze, szczególnie dobitnie akcentując, że młodzi sami nie mogą o niczym decydować. Nie mają do tego prawa. Tylko rodzina posiada potrzebne i obwarowane świętą tradycją kompetencje, aby rozstrzygnąć losy konfliktu, który wybuchł z taką siłą i tak mocno wszystkich zaangażował. Wśród zebranych, jak zwykle, były osoby, które reprezentowały tendencje umiarkowane, ale byli również tacy, dla których stało się oczywiste, że do małżeństwa pomiędzy obecnymi tutaj narzeczonymi tego dnia nie dojdzie. Niektórzy szli jeszcze dalej i wołali, że nigdy nie pozwolą na to, aby ktoś, kto pochodzi z Deir

Atiya połączył się węzłem małżeńskim z mieszkańcem Nebek, bo honor im na to nie pozwala.

Zdania poszczególnych „partii" coraz bardziej się konkretyzowały. Zaczęto żądać, by zakończyć definitywnie wszelkie układy, bo ślub się nie odbędzie. Spoglądano wymownie na obu księży, którzy robili wrażenie jednakowo przestraszonych i zrezygnowanych. Drzwi zakrystii nagle się otworzyły i wyszedł z nich ojciec Paolo zdecydowanym krokiem i z szerokim uśmiechem od ucha do ucha. Obwieścił swoim tubalnym głosem, że mają przed sobą parę szczęśliwych nowożeńców. Właśnie przed chwilą, w obliczu Boga i Kościoła, została wypowiedziana przysięga małżeńska, która została przez niego pobłogosławiona i spisane zostały również stosowne przy tej okazji dokumenty, wraz z potwierdzającymi ten fakt podpisami świadków. Skoro zaś mają przed sobą szczęśliwych nowożeńców, nie pozostaje gościom weselnym nic innego, jak tylko cieszyć się razem z nimi, składać im życzenia i nie zajmować się próżnym gadaniem. Bóg chciał, aby połączyli się świętym związkiem małżeńskim, i tak się stało, a kto może sprzeciwić się woli Boga? Zamiast więc tracić czas na próżne gadania, trzeba nadrobić przykrość, która została wyrządzona nowożeńcom, prześcigając się teraz w serdeczności dla nich. Niech żyją długo i szczęśliwie. Niech Pan Bóg da im dzieci, które będą dumą i pociechą obu rodzin, bo jesteśmy wszyscy braćmi i siostrami – mówimy przecież codziennie i zawsze tę samą modlitwę „Ojcze nasz, który jesteś w niebie". Odmawiamy ją, ponieważ jesteśmy przekonani, że Bóg jest Ojcem nas wszystkich i to nie tylko w Niebie, ale i tutaj na ziemi. Musimy dać temu wyraz

i razem cieszyć się weselną radością nowożeńców. Zacząć trzeba od wspólnego odmówienia „Ojcze nasz”.

Ojciec Paolo zaproponował, aby wszyscy chwycili się za ręce. Sam podszedł i ujął za rękę ojca pani młodej recytując głośno pierwsze słowa modlitwy. Przyłączyło się do niego najpierw tylko kilka kobiecych głosów, potem zaczęły się przyłączać dalsze głosy, w tym również męskie. Niektóre stanowiły wyraźne, wprost manifestacyjne, poparcie dla ojca, bo były bardzo głośne. Nie wszyscy co prawda podali sobie ręce, niektórzy się na to boczyli aż do końca, ale groźna opozycja została całkowicie spacyfikowana. Napięcie znikło, niechęć stopniała. Na twarzach zaczęły się pojawiać uśmiechy. Niektórzy z podziwem patrzyli na ojca Paolo. Wiedzieli, że jest przeorem Mar Musa i wiedzieli, że posiada dary, które otrzymał od Pana Boga, aby tę funkcję godnie pełnić, ale nie sądzili, że jego charyzmat jest aż tak wielki, by powstrzymać wzburzony tłum gości weselnych, złagodzić ich gniew i uczynić z nich na powrót zgodną wspólnotę osób. Pomogło mu chyba też to, że był cudzoziemcem. Jako cudzoziemcowi można mu było darować ten krok, który każdego innego mógłby drogo kosztować. Ponieważ chodziło o cudzoziemca, żadna z dwóch weselnych „partii” nie straciła nic w stosunku do drugiej. Żadna nie została zwyciężona. Nikt nie został poniżony. Para młoda była szczęśliwa. Stało się właściwie to, co każdy chciał i na co liczył, idąc na wesele.

Można się było oczywiście gniewać na o. Paolo, można się było doszukiwać błędów proceduralnych, ale po co? Tym bardziej, że powszechnie było wiadomo, że o. Paolo ma fantazyjne pomysły, bo na przykład, jako jedyny ksiądz w Syrii, jeździ na grzbiecie muła. Przyjaźni się z muzułmańskimi pasterzami, którzy czasem jednak

zbyt blisko podchodzą pod jego *deir* ze swoimi owcami, ale wówczas o. Paolo załatwia z nimi sprawę „po męsku”, przez co jeszcze bardziej go szanują. Szanowali go również i szanują goście weselni z Nebek i z Deir Atiya oraz ci wszyscy, którzy słyszeli o tym wydarzeniu. Najważniejsze, że uniknięto skandalu wojny domowej między dwoma klanami, uratowano również księży od przykrych oskarżeń o wywołanie konfliktu między dwoma społecznościami kościelnymi. A ojciec Paolo? Spełnił swój obowiązek i zgodnie z temperamentem Włocha wypił strzemiennego i dosiadł swego muła, by wyruszyć z powrotem do Mar Musa.

Ramadan w Mar Musa

Podczas wieczornej refleksji w przeddzień naszego wyjazdu do Mar Musa na rekolekcje, napisałem do przyjaciela następujący list:

Jeszcze raz cisza Ramadanu ogarnia miasto. Jeszcze większa jest ona dzisiaj, bo to ostatni dzień miesięcznego postu. Zmierzcha, powiało chłodem. W ciągu tych paru ostatnich dni pogoda się zmieniła. Dzisiaj na przykład, już kilkakrotnie zdążył spaść deszcz. Mówiąc „chłód" nie mam na myśli tego, że jest zimno, chodzi raczej o to, że skończyły się upały.

Już słychać śpiew meczetów. Piszę tych kilka słów i myślę o jutrzejszym dniu. O godzinie piątej rano mamy być na stacji kolejowej. Jedziemy do Mar Musa. Pociąg „intercity" nie zatrzymuje się w Nassyryje, ale zrobi to dla naszej grupy. Zobaczymy, czy dotrzymają słowa! Tam będzie czekał na nas autobus, aby dowieźć nas (odległość około 20 km) do podnóża góry, na pustyni, na której stoi klasztor...

Mam wielką ochotę na te rekolekcje, chociaż zapowiada się niezły bałagan, będzie tam bowiem sporo turystów, będzie tłok, dużo krzyku, a do tego w naszej grupie, oprócz tych, którzy dobrze wiedzą, czym są prawdziwe rekolekcje i ich pragną, są też tacy, którzy wybierają się z nami na przejażdżkę, chociaż głośno się tym nie chwalą.

Po co zatem tam jadę, skoro niemożliwe będzie znalezienie rekolekcyjnego skupienia w Mar Musa w czasie świąt, z powodu wielkiego napływu gości, pielgrzymów i turystów? Liczę na nowy dom rekolekcyjny, zbudowany nieco na

uboczu. Liczę, że będzie można się w nim skryć i liczę na to, że będzie się można skryć w górach, po drugiej stronie grzbietu, tam, gdzie nie dochodzi już hałas, jaki robią świąteczni turyści. A co z tymi, którzy wybrali się na wycieczkę i o żadnych rekolekcjach nie myślą? Zapowiem im, że jeśli chcą, mogą dołączyć do turystycznej gromady korzystających z kilku dni wolnych od pracy z uwagi na święto Ramadanu. W domu rekolekcyjnym natomiast będzie obowiązywała cisza i zakaz urządzania towarzyskich spotkań... Taki mam plan... Taką nadzieję...

Dzisiaj, w dzień naszego wyjazdu, mogę powiedzieć z ulgą, że udał się on nam nadzwyczaj dobrze. Koleje syryjskie dołączyły jeszcze jeden wagon do składu pociągu, który miał się udać z Aleppo do Damaszku, przez Hama i Homs i Nassyryje. Zrobili to specjalnie dla naszej grupy, liczącej około 40 osób. Zgodzili się również na to, że pociąg zatrzyma się na stacji, którą według rozkładu jazdy zwykle mija bez zatrzymywania. Zrobili to specjalnie dla nas, chociaż pomogło z pewnością i to, że ktoś z naszej grupy ma ciocię czy wujka pracującego na kolei. Nie jest to bynajmniej jakiś wielki ewenement.

W tym kraju praktykuje się różne nietypowe rozwiązania, uciekając się do prywatnej interwencji kogoś wpływowego, kogo potocznie nazywa się *łosta*, czyli pośrednikiem. Motywuje on urzędnika, do którego należy wydanie pożądanej decyzji, do starań, aby tak zinterpretować prawo, by oczekiwany rezultat mógł zostać osiągnięty.

Nieraz wymaga to olbrzymiej pomysłowości i ekwilibrystycznych wprost zabiegów technicznych. Ale satysfakcja jest wówczas po obu stronach, zarówno petenta, który otrzymał to, czego pragnął, jak również decydenta, który okazał się nie tylko wirtuozem, ale również człowiekiem życzliwym i uczynnym. Będzie to mu zapisane po stronie aktywów, jako

zasługa i w stosownym momencie będzie to mogło zostać wykorzystane na jego korzyść, gdy zaistnieje potrzeba znalezienia jakiegoś poparcia dla niego. W ten sposób tworzy się misterna sieć wzajemnych wpływów i zależności. Coraz częściej jednak decydującym argumentem staje się nie tyle *łasta* co *bakszysz*, czyli zapłata za usługę i zwykle występują one razem, wzajemnie się wspierają i uzupełniają.

Tak bywa najczęściej, ale nie zawsze. Nieraz można zupełnie darmowo uzyskać jakąś pomoc, która kosztuje nawet dużo fatygi, gdyż zdobyło się sympatię decydenta, umiejąc się do niego odpowiednio zwrócić, podnosząc aspekt sprawy, który jest dla niego bardzo istotny, poruszając jego duszę. Nieraz wystarczy okazać serdeczność, używając życzliwych słów, głaszcząc go po brodzie, łapiąc się jednak dla własnego bezpieczeństwa za swoją, żeby nie przesadzić z gestem spoufalenia, zwracając się do niego per „ojcze" albo „bracie", zależnie od wieku, czasem może to być „mój wujku", a najczęściej „mistrzu".

Często nie trzeba było uciekać się do specjalnych zabiegów, bo miało się przed sobą po prostu dobrego i uczciwego człowieka, który pełnił swoją funkcję, wczuwając się w położenie tego, który prosił go o załatwienie jakiejś sprawy i angażował się w to całym sercem, nie utrudniając jej po to, żeby otrzymać *bakszysz*.

Podróż była niemal kabaretowa. Młodzi śpiewali, opowiadali kawały, jedli i pili – oczywiście nie alkohol – wzajemnie częstowali się smakołykami, które kupili albo zrobili sami, dumni jeśli ich wyrób znalazł uznanie. Niektórzy z naszych uczestników wycieczki, a właściwie niektóre, bo chodzi tu głównie o dziewczyny, dotarły aż do przedniego wagonu, gdzie była kabina

motorniczego. Ten był tak uszczęśliwiony ich wizytą, że pozwolił każdej pojedynczo usiąść obok siebie i zrobić sobie zdjęcie jak prowadzi pociąg.

Zanim pociąg zbliżył się do Nassyryje, przez kwadrans zapowiadano co kilka minut, że dojeżdżamy do stacji. Gdy pociąg się zatrzyma, należy szybko i sprawnie z niego wysiąść. Istotnie wszystko odbyło się sprawnie.

Poczekaliśmy, aż pociąg odjechał, żegnając go gromkimi życzeniami szczęśliwej drogi i machaniem rękami. Potem udaliśmy się za budynek stacyjki, na której wysiedliśmy i dopiero teraz zauważyłem, jaki on jest mały i samotny, zagubiony na pustynnym bezludziu i bezdrzewiu. Za budynkiem już czekały na nas mikrobusy zamówione przez naszych znajomych z Nebek i te zabrały nas prosto do Mar Musa.

Jechaliśmy przez pustynię, mając przed sobą czarną bryłę pasma gór, w których Mar Musa jest położony. Droga była pusta i tylko wyjątkowo pojawiały się na niej jakieś pojedyncze, rachityczne drzewa. Szerokim łukiem ominęliśmy baraki jednostki wojskowej, która tam miała swoją bazę i skręciliśmy na szosę, która przed kilku laty została wybudowana, jako dar prezydenta Republiki, dla *deir* Mar Musa, gdyż klasztor zdobywał sobie coraz większy rozgłos z racji mnóstwa turystów i pielgrzymów, którzy nieustannie tutaj przyjeżdżali z całego świata. Dojechaliśmy do podnóża góry. Tutaj opuściliśmy nasze mikrobusy i zaczęliśmy się wspinać, wysoko – tam, gdzie na zboczu góry widać było wielką budowlę klasztoru, wyglądającego jak zamek. Obok, niemal w prostej linii od niego, na sąsiedniej pochyłości góry, położone było jeszcze potężniejsze zamczysko, którego budowę zakończono

niedawno. Ta druga budowla, to właśnie dom rekolekcyjny, który został zbudowany pośród dzikich skał, do których nie ma żadnej drogi. Wszystkie materiały budowlane zostały tam dostarczone z wykorzystaniem drogi powietrznej, dzięki stworzonej przez mnichów Mar Musa konstrukcji; powszechnie określanej mianem *teleferik*.

Piesi docierali do domu rekolekcyjnego górską ścieżką i kamiennymi schodami. Na szczęście był tam jeszcze inny *teleferik*, którym można było wyciągnąć na szczyt nasze bagaże, gdyż sporo osób, głównie zaś dziewczyny miały podejrzanej wielkości walizy, co kazało przypuszczać, że będziemy w Mar Musa raz po raz zadziwiani jakimiś szałowymi kreacjami. Konkurencja zapowiadała się ostra, mimo że jechaliśmy na rekolekcje i to w pustynnym klasztorze. Natura kobieca jest niezmienna, zarówno w mieście jak i na pustyni.

Po pokonaniu ostatniego odcinka wspinaczki, który jest najtrudniejszy, bo najbardziej stromy, stanęliśmy na kamiennym szlaku prowadzącym do klasztoru. Aby wejść do jego wnętrza trzeba było bardzo nisko się skłonić i prawie na kuckach przejść do następnego wejścia, by wreszcie móc się wyprostować, ale ostrożnie, bo można było głową uderzyć o występ w kamiennym stropie.

Dalej wychodziło się na klasztorny dziedziniec, mijając po lewej stronie drzwi prowadzące do kościółka. Po ilości zostawionych tam pantofli można było się zorientować, jak duża grupa ludzi jest w środku.

Na dziedzińcu przyjął nas sam szef klasztoru, czyli *abuna* Paolo, który swoim tubalnym głosem uciszył harmider, po czym powitał

nas bardzo serdecznie, krasząc swoje przemówienie komplementami o alepinkach i alepińczykach, którzy znają porządek i organizację, jak nikt w Syrii, dlatego sądzi, że pomogą mu utrzymać go podczas Ramadanu, gdyż spodziewa się olbrzymiego napływu gości. Kończąc, zaproponował nam, abyśmy czuli się jak u siebie w domu, czyli *ahlan wa sahlan*, i abyśmy siedli, odpoczęli trochę i wypili z nim szklankę herbaty.

Po jego przemówieniu, znów zapanowała wrzawa na dziedzińcu. Jedni przychodzili, inni wyjeżdżali. Wśród przybyłych byli młodzi i starzy, a czasem całe rodziny, nawet z małymi dziećmi. Tym ostatnim najbardziej podobały się zwierzęta, a więc muł Afif, owce, kozy, psy, koty i kury. Psy i koty przez ludność arabską traktowane były z nieufnością, żeby nie powiedzieć niechętnie. W Mar Musa niechęć nigdy jednak nie osiągała poziomu wrogości. Dla wielu z nich było to pierwsze w życiu tak bliskie spotkanie z tymi zwierzętami. Niektórzy zdobywali się nawet na to, żeby dotknąć kota, ale od psa woleli się trzymać z daleka, tak samo jak i psy wolały niedowierzać wyrazom ludzkiej sympatii, bo zbyt często się na niej zawodziły i wolały się trzymać z daleka. Zresztą na ogół nie były zachęcane do tego, aby się spoufalać z gośćmi, chociaż cudzoziemcy często wyrażali tego gotowość.

Na dziedzińcu klasztornym rozmawiano rożnymi językami, z których angielski zdecydowanie się wybijał. Ci z naszej grupy, którzy radzili sobie z jakimś obcym językiem, rzucili się, by praktycznie wykorzystywać tę umiejętność, szczęśliwi, że mogli zamienić kilka słów z jakimś cudzoziemcem. Trzeba powiedzieć, że Syryjczycy bardzo lubią cudzoziemców i chętnie z nimi podejmują kontakty, ale mają poczucie własnej godności i nigdy nie są

nachalni. Jeśli cudzoziemiec chłodno przyjmuje ich przyjazną inicjatywę, wycofują się bez urazy.

Bardzo lubią manifestować swoją życzliwość konkretnymi gestami. Może to dotyczyć czasem nawet zupełnie obcej osoby. Kiedyś na przystanku autobusowym w Damaszku podszedł do mnie zażywny pan w *galabiji* i podarował mi niespodziewanie kilka kwiatków jaśminu, a potem, nie próbując nawet mnie zagadnąć, dołączył do swojej żony i dzieci, czekających tak jak ja na autobus. Wiele razy zdarzyło mi się podczas podróży, że konduktor nie przyjął ode mnie pieniędzy, uśmiechając się i wskazując na kogoś w autobusie, kogo zupełnie nie znałem, kto uiścił za mnie opłatę, a teraz machał mi przyjaźnie ręką.

Po półgodzinnej przerwie, kiedy już zorientowaliśmy się, jaki jest porządek dnia w klasztorze, zabraliśmy nasze bagaże i udaliśmy się do domu rekolekcyjnego. Porządek dnia w klasztorze Mar Musa nie obowiązywał nas z racji tego, że odprawialiśmy rekolekcje i mieliśmy własny program, włącznie z posiłkami.

Gdy już dotarliśmy do celu, pierwszą czynnością było rozdzielenie miejsc noclegowych. Podane też zostały zasadnicze informacje i ogłosiliśmy czas wolny, aby każdy mógł się swobodnie zainstalować w swoim pokoju. Pokoje były dwu- albo trzyosobowe i prawie każdy miał przynajmniej jedną ścianę z litej skały, bo dom nie tylko na skale, ale wśród skał został zbudowany. Rozdzielone też zostały pośród uczestników rekolekcji poszczególne służby.

Pierwszym wspólnym spotkaniem była kolacja, w wielkiej kamiennej sali, z plastikowymi stołami i plastikowymi krzesłami. Było trochę chłodno, więc herbata cieszyła się wielkim wzięciem. Dużo było radosnego przekomarzania się i wesołych uwag. Zupa

z soczewicy była pierwszym i jedynym daniem. Oczywiście nie brakło chleba arabskiego, podobnego wyglądem, ale nie smakiem, do naszych naleśników. Jemu zaś na kolację towarzyszyły zielone i czarne oliwki, ser, *zatar* z oliwą, marmolada i chałwa.

Wspólnym zakończeniem dnia było spotkanie w kaplicy. Arabskim zwyczajem, siedzieliśmy w niej na materacach rozciągniętych pod ścianami. Wiele osób oprócz swetra czy kurtki, przyniosło koc, aby się nim okręcić, bo w kaplicy było bardzo zimno. Mówiliśmy o rekolekcjach, o planie dnia, o wadze milczenia i o rozróżnianiu między dzieleniem się przeżyciami a teoretyzowaniem czy dyskusjami.

Siedzący obok siebie, poowijani w koce, w pomieszczeniu oświetlonym tylko świecami, czuli się tak dobrze, że nie chcieli się rozejść. Przypominało mi to ogniska, które robiliśmy w Polsce podczas wędrownych obozów studenckich, szczególnie pod ich koniec, kiedy ogień przygasał, a my wpatrywaliśmy się w żarzący się popiół jak zaklęci. Raz po raz odzywał się jeszcze głos gitary, ale wspólnego śpiewu było już coraz mniej. Coraz więcej było miejsca dla solowych popisów znawców ballad, coraz więcej milczenia i z tego milczenia, i wpatrywania się w ogień, sypały się jakieś iskierki myśli, zupełnie jak dzieje się z ogniskiem, kiedy już nie ma płomieni a tylko schowany pod popiołem żar. Wystarczy wówczas, że wiatr zawieje mocniej albo ktoś kijem pogrzebie w popiele, żeby wydobył się z niego niespodziewanie jakiś jasny pojedynczy płomień.

Coś takiego działo się w naszych duszach, dotkniętych powiewem pustyni i poruszonych prostotą klasztoru zbudowanego wśród dzikich skał. Siedzieliśmy skupieni, atmosfera

stawała się jakaś tęskna i liryczna, pojawiały się iskry jakichś wspomnień, niedokończonych rozmów i spotkań. Dawały o sobie znać tęsknoty, na które na co dzień nie ma miejsca, jakieś wołania serca, które trudno zrozumieć, bo nie zawsze mają one wyraźnie sprecyzowaną treść. Zaczęło się wypowiadać po prostu życie i o to właśnie chodzi na rekolekcjach. Pozwala to lepiej zrozumieć samego siebie i pozwala łatwiej odnaleźć drogę, po której w tym życiu powinno się dalej iść.

Cud życia na pustyni

Cudem jest to, że w krótkim czasie, bo na przestrzeni kilkunastu lat klasztor Mar Musa, stał się znany na całym świecie i z całego świata zjeżdżali tam pielgrzymi oraz turyści. Mówiąc o pielgrzymach mam na myśli również takich ludzi, którzy nie znają chrześcijańskiego znaczenia pielgrzymek. Przybywali tutaj, mając nadzieję, że znajdą coś, czego nie udało im się znaleźć w ich dotychczasowym życiu. Często szukali jakiegoś porywu duchowego, którego nie umieli nazwać, jakiejś wewnętrznej iluminacji, jakiegoś zrozumienia czy oczekiwanego przez nich wyzwolenia, którego nie mogło im zapewnić realizowanie ich fantazji.

Intuicyjnie wierzyli, że pustynia może być przystanią dla ich wewnętrznych burz i tą ciszą, w której wreszcie da się im usłyszeć to słowo, na które czekają, i za którym tęsknią. Wielu było takich, którzy nie zawiedli się przyjeżdżając do Mar Musa i wracali tutaj później wielokrotnie. Wielu było takich, którzy wzięli ze sobą skarb zrozumienia i pozostali wierni przeżyciu Mar Musa, a tego skarbu w późniejszym życiu pilnie strzegli. Byli też tacy, którzy pozostawali tutaj, prosząc o włączenie ich do wspólnoty braci i sióstr *deir* Mar Musa.

Jeden z nich, ojciec Jans, młody człowiek, inżynier ze Szwajcarii, odwiedził Mar Musa będąc w drodze do Indii. Spodziewał się tam spotkać z Niewidzialnym. Do Indii już nie dotarł, chociaż obecnie jest niedaleko, bo w pobliżu Erbil, w Iraku gdzie kieruje klasztorem, który stanowi przedłużenie duchowej tradycji Mar Musa. Jans przeżył w Mar Musa nawrócenie, tutaj przyjął chrzest, odbył formację nowicjatu, stał się mnichem, potem pojechał do Włoch, aby odbyć studia teologiczne, został wyświęcony, i teraz żyje w bliźniaczym klasztorze głęboko w Azji.

Więcej było takich przykładów i zawsze można było spotkać w tym klasztorze wolontariuszy przybyłych z różnych stron świata, czyniących z Mar Musa tętniący życiem ośrodek spotkania i dialogu. Trzeba przyznać, że ten ośrodek był bardzo specyficzny i bardzo oryginalny, zarówno jeśli chodzi o jego założenie, jak i o dialog chrześcijańsko-muzułmański, którego tutorem jest wspólnota mniszek i mnichów mieszkających na pustyni.

Do specyfiki tego miejsca trzeba również zaliczyć fakt, że przyjazd i pobyt w Mar Musa nie łączył się z żadną, ale to absolutnie z żadną biurokracją. Przyjeżdżać tam można było zawsze i przyjmowany był każdy. Nie trzeba było nikogo uprzedzać o chęci przybycia. Wystarczyło zapukać do furty, a właściwie i tego nie było potrzeba czynić, bo drzwi były otwarte i kiedy się chciało, można było przekroczyć klasztorny próg i usłyszeć przyjazne *ahlan wa sahlan*, co mniej więcej znaczy tyle co: „czuj się jak u siebie w domu”. Każdemu było przydzielane miejsce do spania w którymś z istniejących domków, każdy na dźwięk gongu mógł stawić się na śniadanie, obiad i kolację, każdy był zaproszony do ciszy modlitewnej przed wieczorną Eucharystią

i do udziału w niej, biorąc udział w śpiewie liturgicznym i śpiewie „charyzmatycznym" po jej zakończeniu. Każdy mógł wziąć udział w pracach klasztornych, pomagając prać, zmywać, czyścić, sprzątać, nosić i urządzać. Każdy mógł się pożegnać albo bez pożegnania wziąć plecak i wracać skąd przybył. Mógł też zmienić zasadniczo kierunek swojej życiowej drogi, zależy od tego, co znalazł i co przeżył w Mar Musa. Nie musiał płacić, nikt nie podliczał ilości noclegów i zjedzonych dań. W korytarzu, przy wyjściu zamocowana była skarbona. Nikt nie sprawdzał, czy i ile ktoś wrzucał do niej pieniędzy. *Abuna* Paolo wspominał mi kilkakrotnie, że puszka ta jest milczącym świadkiem dużej hojności osób, które tutaj przybywają, chociaż są wśród nich ludzie żyjący bardzo skromnie.

W krótkim czasie Mar Musa stał się punktem bardzo ważnym na mapie turystycznej Bliskiego Wschodu, obecnym w folderach, ulotkach, książkach i wiadomościach internetowych. Nie było ambasady, która nie organizowałaby wypadów do tego klasztoru dla swoich gości. Z punktu widzenia funkcjonalności było to bardzo wygodne, ponieważ wszyscy przybywający do Syrii, chcieli zobaczyć również pustynię. Sam przejazd szosą przecinającą pustynię, niewiele dawał. Trzeba dotknąć realiów pustyni, aby ją poczuć. Takie doświadczenie oferowała wycieczka do Mar Musa.

Wspinaczka w słońcu, z plecakiem albo nawet bez niego była sporym wysiłkiem, który zapadał w pamięć, tym bardziej, że był nagrodzony piękną panoramą i spotkaniem z międzynarodową społecznością.

Coraz częściej pojawiały się całe rodziny, w tym również muzułmańskie. Sporo było grup młodzieżowych, które zawsze

wprowadzały dużo ożywienia. W dole, tam gdzie zaczynała się szeroka dolina i szosa, pojawiało się dużo małych mikrobusów, które przywoziły i odwoziły do Nebek przybyszów. Czasem zdarzały się również wielkie autokary. Aby odciążyć klasztor, urządzono sanitariaty nisko, u stóp góry. Zbudowano tam również garaże, umieszczono potężną prądnicę, urządzono sklepik z pamiątkami i zaczęto budowę wielkiego schroniska i sal konferencyjnych.

Podjęto się tych inwestycji, chcąc lepiej zorganizować ruch wycieczkowy i oddzielić go w sposób bardziej efektywny od ruchu pielgrzymkowego, czy też osób, które zjawiały się w Mar Musa w celu podjęcia życia monastycznego, wzięcia udziału w konferencjach, sympozjach, nieraz bardzo wyspecjalizowanych, o renomie międzynarodowej.

Zasadniczy problem Mar Musa

Cud życia w Mar Musa posiadał pewną stałą komponentę negatywną. Temu cudowi stale towarzyszył jeden problem, co nie znaczy bynajmniej, że jedyny. Problemów i wyzwań na pustyni jest mnóstwo. Ten jednak był zasadniczy i często pojawiał się jako warunek *sine qua non* dla egzystencji Mar Musa i powodzenia całego przedsięwzięcia. Tym problemem była, jest, i chyba będzie zawsze kwestia milczenia, ciszy i kontemplacji w życiu, które trzeba sobie zorganizować i dbać o nie własnymi rękami. Pojawia się wówczas nieuchronne pytanie, jak pogodzić różnorakie zajęcia praktyczne z wymiarem kontemplacyjnym, który stanowi zasadniczy element życia mniszego. Trzeba przecież prowadzić budowy, reperować to, co się zepsuło w klasztorze, doglądać, sprawdzać, konserwować, kupować, jeździć, przyjmować ludzi, załatwiać pozwolenia, przyjmować gości, administrować domami, gotować, prać, sprzątać, urządzać konferencje, wysyłać zawiadomienia, odbierać przesyłki, prowadzić korespondencję, pisać artykuły i książki, odświeżać stronę internetową, planować spotkania formacyjne i sesje naukowe, rozmawiać z przybyszami, zadbać o liturgię, doglądać owiec i kóz, czuwać nad produkcją sera...

Nie sposób wyliczyć wszystkich prac, które są do wykonania i wszystkich nagłych alarmów, na które trzeba reagować. To jest właśnie punkt newralgiczny, którego nie da się ominąć, chyba że kosztem utraty przez klasztor jego tożsamości, co wiązałoby się na przykład z tym, że zakonnicy staliby się arystokratyczną elitą, która posiada siłę roboczą do wykonywania pracy fizycznej i urzędników, do administrowania zakonną instytucją. Tylko wówczas mógłby klasztor Mar Musa funkcjonować racjonalnie. Trzydzieści kilka lat jego istnienia jest zatem jednym, wielkim świadectwem nieracjonalności. Ten *deir* od samego początku „nie powinien" zaistnieć, a przynajmniej po paru latach istnienia powinien się rozpaść, rozpłynąć w romantycznych wspomnieniach młodości, przeminąć. Jak to się stało, że nie tylko przetrwał, ale się rozwinął i to z taką olbrzymią siłą?

Oczywiście miało to swoją cenę. Nie chodzi o zdrowie i „stracony" czas jego członków, ale przede wszystkim chodzi o osoby, które tutaj przybyły i pomimo ich wielkiego entuzjazmu i poświęcenia nie potrafiły sprostać napięciu pomiędzy wymogami pracy, która łapczywie chciała zagarnąć cały czas mnichów a duchową potrzebą kontemplacji, pustynnej ciszy i samotności. Wielu tutaj przeżyło swój wzniosły, duchowy, piękny sen i wielu tutaj się obudziło z powodu prozaicznych realiów, osobistych oraz cudzych ograniczeń, wad i nieporozumień. Bardzo często było winne zmęczenie oraz brak głębokiego duchowego oddechu.

Cena tych potknięć i definitywnych rozstań z Mar Musa była bardzo bolesna, zarówno dla tych, którzy opuszczali *deir*, jak również dla tych, którzy w nim pozostawali, aby kontynuować jego budowę. Ojciec Paolo był niezłomny. Nieustannie trwał przy tym,

że trzeba podejmować nowe wyzwania, trzeba iść dalej we wspólnym wysiłku, bo to nie materialne możliwości są determinujące, ale siła wiary i konsekwentne działanie. Bóg opiekuje się klasztorem Mar Musa, jest to Jego inicjatywa, a więc nie można Boga powstrzymywać w Jego działaniu. Wspólnota powinna tylko pytać: „czego oczekujesz od nas Panie?", bez stawiania warunków racjonalności. Dotąd nie doznali zawodu, kierując się tą dewizą. Nie zmienia to jednakowoż prawdy o konieczności stałej troski o kontemplatywny wymiar ich życia. Mając to na uwadze, raz na miesiąc cała wspólnota porzucała rutynę codzienności, pozostawiając *deir* trosce wolontariuszy, a sami udawali się na ustronie, aby mieć trochę więcej przestrzeni dla osobistej modlitwy i wspólnotowego dialogu.

Dlatego też został zbudowany dom rekolekcyjny, a wcześniej samotnia brata Domenico. Z tego też powodu powstało dzieło adaptowania grot, używanych dawniej przez pustelników, na miejsca indywidualnego zamieszkiwania, poza klasztorem i poza jego zwykłym funkcjonowaniem. Były to nieduże groty, znajdujące się w niezbyt odległym sąsiedztwie, które były zachowywane w ich naturalnym stanie, dokładnie oczyszczone, z utwardzonym podłożem, opatrzone małymi, szczelnymi oknami w murze, którym zamknięto otwory grot i równie szczelnymi i solidnymi drzwiami. Było to doskonałe rozwiązanie dla tych, którzy chcieli zakosztować samotności i skrajnie prostego życia na pustyni. Doświadczyłem tego wielokrotnie, tutaj właśnie odprawiając własne rekolekcje.

Szaleństwo

Szalony abuna Francis

Powróciłem z Mar Musa do Homs, do naszego domu na Bustan Diwan. Zmęczony prześlizgnąłem się niepostrzeżenie do swojego pokoju na pierwszym piętrze tak, aby mnie nikt nie zauważył, i abym nie musiał się z nikim witać, bo powitanie na Wschodzie zawsze zabiera sporo czasu, a jeżeli dotyczy większej ilości osób, to można być pewnym, że przeciągnie się w nieskończoność. Otworzyłem drzwi zewnętrzne, prowadzące na nasze jezuickie piętro, gdzie jeszcze jako tako można było mówić o prywatności, bo wszystkie inne budynki, korytarze i kąty, a szczególnie zaś kuchnia i przylegający do niej ogródek były stale nawiedzane przez mniej lub bardziej znajome osoby. Byli tam dawni przyjaciele, wychowankowie naszej szkoły, odwiedzający Homs w roli nostalgicznych przybyszów z dalekich krajów, byli też nasi współpracownicy, albo tacy, którzy pragnęli nimi zostać, były osoby pragnące porozmawiać z którymś z naszych ojców, szczególnie zaś z ojcem Francisem van Der Lughtem, który był naszym superiorem, doskonałym rekolekcjonistą, psychologiem i w ogóle dobrym człowiekiem, o czym wiedzieli wszyscy i czasem nadużywali tej wiedzy.

Zwracano się do niego, jak zwykle używając arabskiego terminu *abuna* przed jego imieniem, co tłumaczy się jako „ojciec". Bardzo często mówiono jednak do niego po prostu „Francis" i to doskonale oddawało jego szaleństwo. Mówić tak o innych ojcach, nie użyć najpierw i za każdym razem wyrazu *abuna*, byłoby grubym nietaktem. Jedynie w stosunku do niego było to czymś normalnym, i chociaż zaczynali znajomość od *abuna*, to nie wiedzieć kiedy stawał się on po prostu Francisem. Ojciec Francis był człowiekiem o niezwykłym dynamizmie apostolskim. Nigdy w życiu nie spotkałem kogoś, kto potrafiłby tak jak on, z takim zaangażowaniem i uwagą przyjmować i rozmawiać z ludźmi. Nigdy nie spotkałem człowieka, który miałby tyle kontaktów we wszystkich grupach społecznych, i który byłby zdolny do usłużenia drugiemu człowiekowi z taką „łatwością", spontanicznością i bezinteresownością. Wspominając go, nie mogę nie wybiec myślą dalej i nie napisać już teraz, co wydarzyło się w czasie wojny domowej. W ostatnich dniach przed uwolnieniem dzielnicy chrześcijańskiej miasta Homs, w której znajdował się nasz dom, szkoła i kościół, został on zabity przez nieznanego bandytę. Strzelił mu dwa razy w głowę.

Z dzielnicy tej, zaraz na początku działań wojennych, chrześcijanie zostali wygonieni. Opanowali ją rebelianci i narzucili swoje prawa. Z całej wielkiej i dobrze prosperującej enklawy chrześcijańskiej pozostało około setki mieszkańców, głównie staruszków i ludzi chorych. Pozostał z nimi, jako jedyny ksiądz, ojciec Francis. Mieli w nim duże oparcie, bo dbał o nich nieustannie, dostarczając im pożywienia i lekarstw, organizując lokalną samopomoc, na ile tylko pozwalały mu na to warunki.

Przyjmował też ludzi u siebie w klasztorze, a pośród nich było sporo muzułmanów. Nie było to niczym nadzwyczajnym, bo czynił to na co dzień przez cały czas swojej posługi kapłańskiej. Miał dobre, szczere i przyjacielskie relacje z muzułmanami z bliższego i dalszego sąsiedztwa. Z pewnością wydawało się to dziwne, a może nawet i podejrzane dla rebeliantów, którzy nie znali go wcześniej. To, czego się obawiano, stało się faktem. „Jihadiści", którzy przybyli spoza Syrii, szczególnie zaś ci, którzy przybyli z Europy, okazali się najbardziej fanatyczni i krwiożerczy. Oni i Czeczeńcy stanowili element najbardziej wrogo nastawiony do chrześcijaństwa, i to oni zapoczątkowali krwawe prześladowania. Europa początkowo nie chciała w nie wierzyć, gdyż doniesienia tego rodzaju psuły obraz medialny tej strony konfliktu, którą Zachód z wielkim zaangażowaniem wspierał, pomagając rebeliantom finansowo i wysyłając do nich systematycznie broń. Wspierani byli oni propagandowo przez cały potężny *mainstream* zachodnich publikatorów, sprzymierzonych z katarską *Al Jazirą*. Nie docierały natomiast wiadomości „z własnego podwórka" emitowane przez telewizję krajową, bo zaraz na początku konfliktu zadekretowano międzynarodową blokadę satelitarnej telewizji syryjskiej i przestrzegano tej blokady z całym rygoryzmem. Było to bardzo dziwne posunięcie, gdyż interwencja zachodnia dokonywana była pod hasłami demokratyzacji areny politycznej państw arabskich, zdominowanej przez despotycznych dyktatorów. Drugim szokującym posunięciem było ogłoszenie embarga ekonomicznego w imię niesienia pomocy narodowi syryjskiemu. Tymczasem embargo to spowodowało upadek przemysłu, który znajdował się w rękach prywatnych i utratę

stanowisk pracy przez tysiące robotników. Los tysięcy rodzin w tym kraju był zagrożony. Łatwiej było w tych warunkach przekonywać ludność materialnymi „argumentami" do określonych politycznych propozycji, aby móc „demokratycznie" je przeprowadzić, zgodnie z wolą polityczną tych, którzy pieniędzmi dysponowali. Z tych właśnie przyczyn trudno dziś uznać, że olbrzymia fala nienawiści przeciwko mniejszościom religijnym, a szczególnie chrześcijanom, była tylko dziełem „jihadistów", chociaż oni się w niej niechlubnie wyróżnili. Nie tylko oni zatem są odpowiedzialni za przejawy ludobójstwa i skrajnego wandalizmu.

Tym też chyba należy tłumaczyć opieszałość medialną na Zachodzie w przedstawianiu tragizmu zaistniałej sytuacji oraz wielkie milczenie na temat losów Kościoła. Cierpienia tych, którzy byli prześladowani, dlatego że są chrześcijanami, były systematycznie ignorowane, a krytyka rebeliantów – tonowana. Jedynie szokujące fakty obcinania głów (nie były one ścinane mieczem) amerykańskim i zachodnioeuropejskim zakładnikom nie mogły być ukrywane za parawanem mainstreamowej medialnej poprawności. Tym bardziej, że ich katami okazali się być muzułmanie wychowani w Europie, posiadający europejskie obywatelstwo i mający nadzieję przeniesienia ich *jihadu* z Bliskiego Wschodu do Europy. Jeszcze bardziej dziwi, że nawet wtedy zdecydowano się popierać rebelie militarne, starając się przekonać do tego zachodnią opinię publiczną sofizmatem „umiarkowanej" rebelii, nie mówiąc o tym, kto będzie przyznawał i jak będą wydawane świadectwa „umiarkowania". Jest to tym dziwniejsze, że dotychczasowy rozwój wydarzeń, począwszy od inwazji Iraku, przez tak zwaną „wiosnę arabską", do obecnie dokonujących się na

oczach świata masakr i zbrodni dokonywanych przez zorganizowany terroryzm, mający kształt nowego Państwa Islamskiego, świadczy o całkowitej klęsce ogłoszonej przez prezydenta Stanów Zjednoczonych globalnej wojny przeciwko terroryzmowi. Tym bardziej, że ewidentne jest również fiasko realizacji podstawowego hasła o demokratyzacji tamtejszych krajów i społeczeństw. Efekt trwającej kilkanaście już lat destabilizacji politycznej i społecznej jest odwrotny od zapowiadanego na początku wojny.

Nie widać też przejawów respektowania praw człowieka, szczególnie zaś prawa do wolnego wyznawania religii, zgodnie z osobistymi przekonaniami. W ogóle sfera wolności, zamiast zapowiadanego rozkwitu, doznała największego ograniczenia i to począwszy od wolności najbardziej elementarnej – wolności do jedzenia i picia, do spania w swoim domu, bezpiecznego poruszania się po swoim kraju... wolności do życia.

Jak na tym tle i w tych warunkach zrozumieć morderstwo dokonane na ojcu Francisie? Zrobił to desperat działający samodzielnie? Psychicznie chory człowiek? Fanatyk religijny? Fanatyk polityczny, który ocenił ojca Francisa jako zbyt mało zaangażowanego po swojej stronie?

Żadna odpowiedź nie jest przekonująca i pewnie dlatego jezuickie władze zakonne wolały nie spekulować. Zginął wielki człowiek, który pomagał przez całe życie ludziom: materialnie, psychologicznie i duchowo.

Podzielił los wielkiej liczby ludzi mieszkających w tym kraju, dla których wojna stała się tragedią – tym większą, że można jej było przecież uniknąć. Spowodowały ją egoistyczne wizje polityczne,

brak szacunku dla konkretnego człowieka oraz instrumentalne podejście do prawdy.

Nie był to odpowiedni fundament do budowy nowego porządku politycznego i nowego świata arabskiego.

Myślę, że dość jałowe jest szukanie – przynajmniej w tej chwili – osób odpowiedzialnych za śmierć ojca Francisa albo raczej takie poszukiwanie nie może dać pełnej odpowiedzi na określenie właściwego winowajcy, gdyż jest nim, w najgłębszym sensie, brak szacunku dla konkretnych ludzi i instrumentalne traktowanie prawdy. Ojciec Francis zginął za ideały, którym starał się być wierny, za co cenili i kochali go ludzie, zarówno chrześcijanie jak i muzułmanie. To dlatego ojciec Francis nie opuścił Homsu, kiedy to jeszcze było możliwe, do czego kilkakrotnie był wzywany przez przełożonych. Niezmiennie odpowiadał, że bardzo dziękuje za wyrażaną pod jego adresem troskę, ale w sumieniu czuje, że powinien pozostać dopóki będzie tam chociażby jeden chrześcijanin. Dopiero z ostatnim z nich gotów był opuścić jezuicką placówkę na Bustan Diwan.

Opowiadano mi, że każdej niedzieli schodzili się do ojca Francisa wszyscy chrześcijanie, jacy tam jeszcze byli, obojętnie, jaki Kościół reprezentowali. Wszyscy uczestniczyli we Mszy św., którą on odprawiał i wszyscy przystępowali do Komunii św., pomimo tego, że w większości byli prawosławnymi. Były wśród nich reprezentowane wszystkie niemal ryty, od bizantyjskiego poczynając, przez syriacki, ormiański, maronicki, byli też protestanci i tylko kilku przedstawicieli obrządku łacińskiego, czyli tego, w jakim odprawiał Msze święte ojciec Francis.

Można powiedzieć, że zupełnie paradoksalnie, właśnie w tym miejscu i w tym czasie, tam gdzie wspólnota chrześcijańska była najbardziej zagrożona w swoim istnieniu, realizowała się najpełniej idea upragnionego przez Chrystusa zjednoczonego Kościoła. Zapewne zjednoczenie to miało wady formalne, ale nie można chyba tych ludzi obwiniać o to, że pragnęli być blisko Chrystusa sakramentalnego, w którego wierzyli i który był dla nich jedyną nadzieją wobec stałego zagrożenia życia i pogłębiającej się nędzy materialnej. Dla jasności dodam, że nie było wówczas w całej zajmowanej przez rebeliantów enklawie żadnego innego czynnego kościoła, ani też nie było żadnego innego kapłana. Czy w imię szacunku dla prawa kościelnego należało pozbawić ludzi tego, co w ich sytuacji najbardziej się liczyło? Czy dobrem byłoby pozbawienie ich żywej, sakramentalnej obecności Chrystusa, skoro On właśnie po to ją dał, aby życie mieli i mieli je w całej pełni?

Ojciec Francis nie miał żadnych wątpliwości, że to, co robi, jest prostym odruchem wiary w miłosierdzie Boże i Kościół jako matkę. Wierzył, że nie tylko może, ale jest wręcz zobowiązany do tego przez samą istotę przesłania ewangelicznego, którym jest przecież Miłość Boża. Taką samą wiarę posiadali wszyscy uczestnicy Eucharystii i dlatego tak bardzo się cieszyli, że mogli być na niej umocnieni słowem, wspólną obecnością braterską i Komunią świętą.

Po Mszy niedzielnej następowała agapa. Dawała okazję do wspólnego spotkania, posiłku składającego się ze wspólnych darów, wymiany informacji, rozmów duchowych, wzajemnego dodawania sobie otuchy.

Ojciec Francis zginął na krótko przed zawarciem rozejmu przez walczące strony i uwolnieniem enklawy chrześcijańskiej od obecności rebeliantów. Pochowano go w naszym klasztornym atrium, albo lepiej powiedzieć: w naszym ogródku, charakterystycznym dla dawnych domów arabskich, gdzie owo atrium to rodzaj maleńkiego podwórka, ogródka i jednocześnie werandy. Nie było zresztą wówczas innego wyjścia, jak pochować go właśnie w tym miejscu. Dzisiaj uznano, że to najlepsze rozwiązanie, również na chwilę obecną, bowiem stale przychodzą tutaj ludzie i modlą się przy jego grobie.

Szalony pianista w pustym kościele

Jak wyżej wspomniałem, wróciwszy z Mar Musa, usadowiłem się w swoim pokoju, szczęśliwy, że nikt mnie nie widział i że mogę w spokoju dysponować czasem wolnym. Zdjąłem koszulę i położyłem się wygodnie na łóżku, ciesząc się „kradzionym" trochę relaksem. Stopniowo zaczęła jednak narastać we mnie świadomość, że z kościoła dochodzą jakieś dziwne odgłosy. Nie były to odgłosy Mszy św., nie był to głos magnetofonu. Dźwięki zaczęły narastać, potem przycichły trochę, potem znów wybuchły z jeszcze większą siłą. Co to są za odgłosy? – zastanawiałem się. Wiedziałem, że jeśli nie rozstrzygnę tego problemu, nie będę mógł spokojnie odpoczywać.

Zorientowałem się, że ktoś gra na pianinie jakąś obłędną kompozycję, albo... jest to halucynacja. W każdym razie od dawna niczego podobnego nie słyszałem. Nie było można tego spokojnie słuchać. Było zbyt gwałtowne, zbyt drapieżne... Kaskada dźwięków sukcesywnie narastała, jakby wspinając się pod górę, aby potem rozpłynąć się łagodnie w delikatnych, lirycznych tonach. Potem

znów zerwała się, niczym ptaki do lotu, albo samolot do wykonania bojowego zadania, wznosząc się coraz wyżej w niebo i zamieniając się w krzyk dzwonnic i meczetów, krzyk, który mnie na wskroś przenikał.

Nie potrafiłem dłużej czekać. Wstałem i udałem się korytarzem w kierunku drzwi prowadzących na chór. Były otwarte, dlatego tak wyraźnie słyszałem ów koncert w swoim pokoju. Jakie było moje zdziwienie, gdy przy pianinie zobaczyłem kilkunastoletniego chłopca, całkowicie pochłoniętego grą w pustym kościele!

Nikt go nie słuchał, ale on wyraźnie nie koncertował dla ludzi. Miałem wrażenie, że on w ogóle nie koncertował. On grał... Bo musiał coś z siebie wykrzyczeć. Robił to całym sobą, w sposób, który tylko Bóg mógł zrozumieć. To było jak modlitwa, bo w prawdziwej modlitwie człowiek sam siebie nie analizuje ani nie przedstawia Bogu z góry przygotowanych kwestii, ale otwiera się na Jego miłość, a Bóg uwalnia go z jego tęsknoty. Jedynie Bóg go w pełni rozumie, bo również On zna to, co niewyrażone, wszystkie przemilczenia i nieumiejętności, i wszystkie przyczyny, z jakich one wystąpiły, włącznie z tą najważniejszą, że nie było nikogo, kto mógłby go wysłuchać i zrozumieć.

Jego gra była skargą i pełnym pasji świętowaniem. On znalazł Tego, który go słuchał i rozumiał. Na sposób wschodni, kochając się w ukazywaniu kontrastów i niemożliwej do pojęcia ich jedności, raz grzmiał całą siłą wszystkich głosów pianina, melodią, która przypominała dziką erupcję wulkanu, innym razem jego głos perlił się niczym krople cichej fontanny.

Chłopak angażował w tę grę wszystkie siły, całą swoją wyobraźnię artysty i całą uczuciowość. Zwierzał się i jednocześnie

walczył na śmierć i życie. Czuło się wyraźnie, że jest po stronie życia. Czekałem w bezruchu, w otwartych drzwiach, patrząc na małego pianistę jak na objawienie i teraz, gdy przez ziemię syryjską przewala się fala przemocy, lepiej rozumiem to, co dostrzegłem w jego grze. Ten kilkunastoletni chłopak, grający na pianinie w pustym kościele na Bustan Diwan, był dla mnie swego rodzaju prorokiem – zapowiadał to, co miało się stać i co dzisiaj się dzieje oraz to, w jaki sposób reaguje na to wrażliwa dusza człowieka. Upiłem się jego grą. Powiódł mnie gdzieś daleko i dzisiaj rozumiem gdzie. Nie klaskałem mu. Wycofałem się po cichu tak, żeby mnie nie widział.

Wróciłem do swego pokoju i straciłem ochotę na odpoczynek. Założyłem koszulę, ubrałem sandały i udałem się do ogródka, gdzie zazwyczaj wszyscy zbierali się po Mszy świętej.

Przechodząc koło drzwi chóru znów zajrzałem do środka kościoła. Pianino stało na swoim miejscu, pod ścianą, zaciągnięte ciemnym suknem, jak gdyby chciało mi powiedzieć, że jest zwykłym pianinem, w którego życiu nigdy nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Pewnie było to dyskretne pouczenie, abym się zbytnio nie egzaltował, bo prawdziwy koncert, jak wszystko, co jest w życiu prawdziwe, to nie tylko emocje uwolnione na chwilę, ale wybór i zobowiązanie wobec życia, żeby w centrum stawiać człowieka, oraz by w Kościele pozwolić mu być sobą, nie zmuszać go do niczego ani nigdy nie egzekwować u niego pożądanych ról.

Szalona agapa

Zszedłem do ogródka, gdzie powitało mnie serdecznie kilku znajomych. Powitał mnie też szereg serdecznych uśmiechów osób, których nie znałem, choć niemal siłą zmuszali mnie do tego, abym

sobie przypomniał, że spotkaliśmy się na rekolekcjach albo w Mar Musa.

W pewnym momencie zrozumiałem skąd ta nachalność, niecodzienna nawet jak na miasto Homs. Okazało się, że – to na szczęście nie moja pamięć jest tak przerażająco krótka – są oni kolejnymi ofiarami często powtarzającej się pomyłki; po prostu wzięli mnie za *abunę* Paolo. Kiedy dziesięć lat młodszy ode mnie o. Paolo został ozdobiony siwizną, podobną do mojej, i obaj nosiliśmy takie same bujne brody, mylono nas jeszcze częściej. Podejrzewam jednak, że miał w tym również swój udział element – nazwijmy go – „rasowy". Podobnie jak nam się wydaje, że każdy Chińczyk jest niemal sobowtórem innego Chińczyka, również i my, jako cudzoziemcy, byliśmy tak postrzegani. W dodatku obaj posiadaliśmy charakterystyczną dla cudzoziemców deformację językową, obaj byliśmy księżmi, obaj jezuitami...

Inne spostrzeżenie dotyczyło osób znajdujących się w ogródku. Po raz pierwszy miałem wrażenie, że znajduję się na planie jednego z filmów kręconych przez Luisa Bunuela, tak bardzo niezwykłe wydawało mi się to towarzystwo. Tak się złożyło, że prawie każda z tych osób była dotknięta jakąś wadą, którą trudno mi było zindywidualizować. Ktoś miał coś dziwnego we wzroku, ktoś inny w sposobie mówienia, czasem w zachowaniu. Dziwne było to wrażenie, tym bardziej, że były to osoby kulturalne, z wyższym wykształceniem, a trójka z nich była lekarzami. Cóż jednak mogłem poradzić na to, że miałem nieodparte wrażenie, że wszyscy noszą ślady stosowania leków psychotropowych. Było to zresztą do pewnego stopnia zrozumiałe, bo o. Francis jako psycholog bardzo często gościł osoby przeżywające problemy

w sferze psychicznej i utrzymywał z nimi kontakty, starając się, aby były akceptowane w grupach, które prowadził. Traktował to jako pewnego rodzaju naturalną terapię.

Rozmawiając z tymi ludźmi odkryłem zupełnie przypadkowo kim był ów szalony muzyk, którego słyszałem i widziałem w kościele. Spotkałem jego ojca, który się okazał stałym bywalcem tych spotkań, zarówno na Mszy św. jak i w ogródku. Dowiedziałem się, że jego syn koncertuje tak samotnie w każdą niedzielę. Wszyscy się do tego przyzwyczaili i na nikim nie robiło to wrażenia. Ojciec był młodym jeszcze mężczyzną, lekarzem stomatologiem. Był – moim zdaniem – człowiekiem jeszcze bardziej szalonym niż syn, z którego był bardzo dumny. Dowiedziałem się też, że syn nauczył się gry na pianinie stosunkowo niedawno i jest praktycznie samoukiem. Tylko na początku, przez krótki czas, pomagał mu pasjonat muzyki, cudzoziemiec, Rosjanin. Widząc, że jestem tematem bardzo zainteresowany, powiedział, iż pewnego razu jego syn miał występ w szkole na okolicznościowej akademii. Został po niej zaproszony na konkurs muzyczny do Damaszku. Zajął tam trzecie miejsce i otrzymał 4000 lirów syryjskich nagrody (niecałe sto dolarów). Drugie miejsce zajął i nagrodę w postaci nowego pianina otrzymał ktoś, kto przez komisję kwalifikacyjną nie został nawet dopuszczony do konkursu, ale potem został wkręcony, jak to zwykle bywa, dzięki *łosta*, czyli poparciu ludzi wpływowych. Podobnie rzecz miała się ze zdobywcą pierwszej nagrody, która już tradycyjnie nie mogła być przyznana nikomu innemu, jak dziecku najwyżej postawionych w hierarchii władzy rodziców. „Zdobywca" pierwszego miejsca został wytypowany do wzięcia udziału w stażu muzycznym w Wielkiej Brytanii.

Mój rozmówca, mówiąc o tym, wcale się nie żalił i to mnie najbardziej dziwiło, bo sądziłem, że cały czas zmierza właśnie do tego. Tymczasem on ciągle robił wrażenie, jak gdyby opisany stan rzeczy był dla niego normalny. Sądziłem, że to jego poza, i że zaraz zacznie rozwijać wątek krzywdy i braku sprawiedliwości w kraju. Wydawało mi się to tym bardziej oczywiste, że był pasjonatem gry swojego syna, widział jego talent i bardzo pragnął, by syn mógł go rozwijać. Chciał nawet wziąć kredyt, aby móc zrealizować jego marzenia.

Nie mogłem wprost uwierzyć w to, że jest taki pogodzony z sytuacją. Nie mogłem pozbyć się podejrzenia, że to, co mówi, nie jest szczere. Jak można opowiadać o niesprawiedliwości losu tak spokojnie?

Wtedy wróciło do mnie przekonanie, że rzeczywiście mam do czynienia z ludźmi szalonymi, tym razem z ojcem, który jest szalony moralnie albo raczej duchowo. A może to ja uległem jakiejś duchowej dewiacji? Bo przecież to, co mówił ten człowiek (i jak mówił) korespondowało w sposób autentyczny z przesłaniem Ewangelii. Przecież sam nieraz w tym duchu ją komentowałem. Skąd zatem to niedowierzanie?

Co innego jednak komentowanie, a co innego dostrzeżenie tego ducha w rzeczywistości – niejako dotknięcie go materialnie w konkretnym zachowaniu człowieka o bardzo skromnym wyglądzie, naturalnego, serdecznego i pogodnego. Nie krył w sobie wściekłości na reżim, nie był przecież człowiekiem naiwnym i wiedział dobrze, co jest złem, a co dobrem.

Zło jednak nie owładnęło jego duszy. Był człowiekiem wolnym. Umiał się zdobyć nawet na żarty. Miał dobry humor, chociaż przed

chwilą opowiadał mi, jaka krzywda spotkała jego syna. Powtarzam, nie był pozbawiony wrażliwości moralnej i nie był pozbawiony ambicji, miał jednak nadzwyczajną łaskę od Boga, dającą mu umiejętność godzenia się ze złym, niesprawiedliwym losem. Pewnie miało to związek ze wschodnią duchowością, kultywującą cierpliwość jako główną cnotę. Dla mnie był to wyraz wiary w Bożą sprawiedliwość, której należy oddać wszystkie sprawy, ufając, że ona nie zawiedzie człowieka, bo „Bóg jest miłosierny i kocha człowieka". Tym bardziej było to godne podziwu, że oprócz dwóch synów, z których starszy był owym wirtuozem, posiadał jeszcze najmłodsze dziecko, ośmioletnią córeczkę, która zachorowała w wieku trzech lat w wyniku źle podanego zastrzyku i nagle przestała mówić. Teraz nie tylko z nikim nie rozmawia, ale prawie się nie komunikuje. Chodzi wprawdzie do szkoły specjalnej, ale to niewiele jej pomaga.

Nie mogłem nie przyjąć zaproszenia, które na koniec rozmowy skierował do mnie, aby odwiedzić jego rodzinę. Zapraszał tak usilnie, i tak szczerze, że znów wydawało mi się to niewiarygodne. Poparł go zresztą syn, który w pewnym momencie się do nas przysiadł. Mówiłem sobie w duszy: przecież na nic nie mogą z mojej strony liczyć poza tym, że spędzę u nich pół godziny i wspólnie wypijemy kawę. Dla nich musiało to jednak znaczyć dużo więcej. Nie dość tego, obiecali, że przyjdą po mnie, bym się nie zgubił po drodze, chociaż ich dom był na sąsiedniej ulicy. Po tym spotkaniu nie można było chyba nie znać odpowiedzi na pytanie: na czym polega prawdziwe szaleństwo?

Miał na imię Mark

Poznałem go w Damaszku. Należał do grupy studentów naszego duszpasterstwa akademickiego, prowadzonego przez jednego z ojców. Miał przyjemną prezencję, był bardzo inteligentny, towarzyski, uśmiechnięty, zawsze ciekawy nowych kontaktów, znający języki i bardzo przywiązany do duszpasterza, zupełnie jakby ten był jego rodzonym ojcem lub bratem.

Mieszkałem wówczas w Homs, do Damaszku zaglądałem więc rzadko, głównie na spotkania z grupą rekolekcyjną. Widywałem zatem Marka przelotnie i pamiętam, że wywarł na mnie bardzo dobre wrażenie. Później zauważyłem, że mieszkał jakiś czas u nas. Miał kłopoty ze studiami, ze stancją i chyba również trudności finansowe. Po jakimś czasie dowiedziałem się, że już u nas nie mieszka. Znalazł sobie stancję. Ale krótko potem zaczęły dochodzić mnie głosy, że widuje się go chodzącego bez celu po ulicach, że się bardzo zaniedbał, że chodzi brudny i obdarty, chociaż co jakiś czas kupował sobie nowe ubranie. Nosił je aż do momentu, gdy przestawało być zdatne do użytku, wówczas zakładał drugie. Zwykle przychodził do nas, aby dokonać tej właśnie ubraniowej transformacji, przy tej okazji brał kąpiel w naszej łazience. Trwało to parę godzin. Po kąpieli wychodził odnowiony, świeży,

uśmiechnięty, ale ten odnowiony wygląd nie trwał długo, jako że często sypiał poza domem, w różnych niezbyt przyjaznych miejscach. Stopniowo stawał się coraz mniej komunikatywny, coraz bardziej wyabstrahowany z rzeczywistości. Opowiadał znajomym i obcym ludziom niestworzone historie, z takim bogactwem faktów i takim przekonaniem, że często łapał słuchaczy w potrzask ich własnej ciekawości. Śmiał się, gdy udało mu się długo bajdurzyć, a oni wytrzeszczali oczy i przytakiwali.

Mnie też nabrał kiedyś w Mar Musa, kiedy rano zapytał mnie, i jeszcze kilka osób, głosem bardzo zaaferowanym, czy słyszeliśmy w nocy warkot helikoptera. Zdziwił się, że z nas takie śpiochy, przecież wylądował tuż obok na małym kamiennym poletku. Z helikoptera wysiadło czterech oficerów w obcych uniformach. Jeden z nich zapytał po rosyjsku „czto eata za strana?".

Zobaczyłem w pobliżu ojca Paolo, który mrugnięciem oka dał mi znak, że Mark znów fantazjuje. Dyskretnie wycofałem się wówczas z grupy słuchających, ale on ciągnął dalej swoją opowieść, podpierając ją kilkoma zwrotami rosyjskimi, które robiły duże wrażenie na słuchaczach, dodając wiarygodności temu, co przekazywał.

Za pierwszym razem Mark był w Mar Musa tylko przejazdem, ale po jakimś czasie przyjechał tam ponownie, aby pozostać dłużej. W Damaszku, w normalnym życiu, nie mógł już dłużej funkcjonować. Nie miał nikogo, kto mógłby mu pomóc. Jego matka, Francuzka, po rozstaniu z mężem, Syryjczykiem, wróciła do Francji. Wysyłała synowi od czasu do czasu jakieś pieniądze. Ojciec natomiast, podobno wielki bogacz, wyparł się go. Twierdził, że Mark jest zdrowy, ale się na niego uwziął i dlatego robi ten cały

teatr, udając pomylonego, bo chodzi mu o to, aby skompromitować ojca. Ojciec nie chciał łożyć na jego leczenie, broniąc się przed „manipulacją" ze strony syna, który chciał go wmanewrować w ubliżającą jego honorowi grę. Nie dawał też żadnych pieniędzy, by zmusić syna do skończenia z tą komedią.

O dziwo, Mark w Mar Musa odnalazł się całkiem dobrze. Powierzono mu wypas kóz i owiec. Wychodził z nimi i psami na ubogie pastwiska położone na okolicznych stokach górskich i tam przesiadywał. Patrzył się na zwierzęta, czasem coś im tłumaczył, nieraz nawet do nich przemawiał, najczęściej w obcych językach. Niektóre ze zwierząt honorował specjalnymi odznaczeniami, którymi były kolorowe tasiemki. Nadawał je w uznaniu szczególnych zasług, o których tylko on wiedział. Gdy ktoś go o nie pytał, wówczas jak zwykle chętnie udzielał informacji, tylko że za każdym razem była to zupełnie inna opowieść.

Mark brał czasem udział w wieczornych modlitwach, z których jedną sobie dobrze zapamiętałem, bo wiele się od niego wówczas nauczyłem, chociaż mocno się wtedy zdenerwowałem.

Jak zwykle siedzieliśmy wszyscy razem w głębokim skupieniu. W małym kościółku panowała kompletna cisza. W półmroku majaczyły postaci siedzące na ziemi. Nastrój medytacji podkreślały ogniki zapalonych świec, które od czasu do czasu ktoś przybliżał sobie do twarzy, aby odczytać medytowany tekst Pisma Świętego.

Nagle rozległy się kroki nadchodzącego Marka. Prysnęło z miejsca moje skupienie. Mark specjalnie szurał butami. Doszedłszy do progu, przystanął, zasalutował najpierw, a potem – jak wszyscy – zdjął i pozostawił buty za progiem. Następnie, z podniesioną wysoko głową, złożonymi i lekko wyciągniętymi do

przodu rękoma, jak żaglowiec po morskich falach, powstając i przykucając na przemian, wpłynął do wnętrza kościoła, kierując się ku ołtarzowi. Tam się zatrzymał. Stanął na baczność i znów, jak żołnierz, oddał honor wojskowy Panu Jezusowi. Żeby jego wejście było jeszcze bardziej efektowne, nisko skłonił się przed ołtarzem, z przyklęknięciem, które pewnie znał z francuskich filmów kostiumowych. Następnie, jak wykwintny dworzanin albo paź królewski, wykonał kilka wahadłowych ruchów kapeluszem, który trzymał w ręce, zamiatając nim podłogę. Po skończonym rytuale kapelusz ulokował na głowie i pożeglował w głąb kościoła.

Oczywiście wśród obecnych powstało małe poruszenie. Niektórzy zaczęli rozglądać się dookoła, jak gdyby chcieli się upewnić, czy nic im nie zagraża. Sporo osób uśmiechnęło się porozumiewawczo do siebie. Inni byli zgorszeni. Jeszcze inni udawali, że nic nie widzieli albo też chcieli po prostu pokazać, że to, co się stało, to drobiazg, nad którym trzeba przejść do porządku dziennego i zająć się na powrót medytacją. Tymczasem Mark zaszył się w swoim kącie i nikogo już nie niepokoił, ale dla mnie to jego „nic nie robienie" było wielce denerwujące. Zastygł bez ruchu, ale nie było to naturalne zachowanie. Wyraźnie kogoś imitował i byłem pewny, że zaraz coś się stanie.

Mark przez dłuższy czas wydawał się być w ekstazie, jakby nikogo nie widział, nie słyszał i nie wiedział, co się wokół niego dzieje. Powiedziałbyś, że nie jest to żywa postać, ale monument jakiegoś klęczącego pielgrzyma, dziwnego trochę, bo w kapeluszu i z wyrazem twarzy człowieka tak bardzo spiętego wewnętrznie, że zapomniał nawet oddychać. Wydawało się, że za chwilę musi dojść do rozładowania tego napięcia, które było w nim

skumulowane, bo inaczej nastąpi psychiczna eksplozja. Samo patrzenie na niego po prostu bolało, a on ani drgnął, jak zahipnotyzowany, nie ruszając nawet powieką i nie zmieniając ułożenia wyciągniętych do przodu rąk. Trwał w tej pozycji minutę, dwie, chyba z dziesięć i kiedy już powoli zacząłem przyzwyczajać się do jego widoku i zapominać o jego obecności, właśnie wtedy, nagle, z miejsca gdzie klęczał, dał się słyszeć wybuch głośnego jak rżenie osła śmiechu. Ten śmiech zmroził wszystkich w jednym momencie. Niektórzy odruchowo skłonili nawet głowy, jak gdyby coś mogło im, nie wiadomo dlaczego, spaść z góry. Ciarki przeszły mnie po plecach. Wybuch tego śmiechu nie trwał jednak długo. Ani się spostrzegłem, gdy Mark, w trochę zmienionej pozie, znów podjął się medytacji, zamieniając się, jak poprzednio, w słup soli. Znów był nieruchomy i skoncentrowany do granic ludzkiej wytrzymałości. Również i tym razem, po kilku minutach, nastąpiło takie samo jak poprzednio rozładowanie, polegające na gardłowym, przerażającym śmiechu. Opuszczając kościółek Mark nie czynił już żadnych teatralnych gestów. Szedł z nisko spuszczoną głową.

Trudno mi było dojść do siebie po tym wydarzeniu. Czy powinienem zrobić coś określonego w tej sytuacji? Co? Jak to przyjęli ludzie znajdujący się w kościele? Co *abuna* Paolo uczyniłby w tym wypadku? Zadawałem sobie wszystkie te pytania, a właściwie one same przychodziły mi do głowy i nie znajdowałem na nie jednoznacznej odpowiedzi. Mark był chory i potrzebował pomocy. Ludzie odwiedzający Mar Musa byli na ogół bardzo dla niego wyrozumiali. Wielu szczerze go lubiło i okazywało mu wyrazy swojej sympatii. Poza Mar Musa nie było dla niego

schronienia. Była nadzieja na to, że wypasanie owiec i życie we wspólnocie coraz to nowych ludzi, którzy nie byli nim jeszcze znudzeni, może być skuteczną terapią, tym bardziej, że były tego wyraźne i nadzwyczaj obiecujące oznaki. Potem jednak przychodził kryzys i znów oddalała się nadzieja, że Mark będzie mógł wrócić do normalnego życia.

Tego dnia, gdy rozważałem wszystko, co się w nim wydarzyło, doszedłem do wniosku, że zdarzenie z Markiem w roli głównej miało dla mnie duże znaczenie. Mark w istocie papugował mnie i nas. Ośmieszył to, co w nas jest godne śmiechu. Czy my nie wchodzimy do kościoła podobnie, jak on to uczynił i czy przypadkiem, jak on nabożnie, nie żeglujemy po nim zamiast po prostu chodzić? Czy nie robimy tego, bo czujemy na sobie wzrok innych? Czy nie robię tego dlatego, że jestem księdzem i do tego cudzoziemcem? Nie mam wprawdzie kapelusza na głowie ani w ręce, ale wszyscy przecież wiedzą, że jestem *abuna min Bolonia*, czyli „ojcem z Polski", a kto by nie wiedział to i tak zaraz się dowie, gdy zobaczy mnie przy ołtarzu.

Mark sprowokował mnie do zadania sobie pytania, czy ja klękam przed Panem Bogiem, czy czasem, przynajmniej w jakiejś mierze, robię to ze względu na ludzi? Może zresztą nie o samo klękanie chodzi, ale o to, jak ja to robię, i na ile robię to dla Boga, na ile zaś dla ludzi albo dla siebie samego, aby być z siebie zadowolony.

Chodzi też o to, jak się ubieram do Mszy świętej, jak czytam, jak mówię, jak śpiewam... Czy nie ma w tym zbyt wiele teatralności? Choćby w tym na przykład, że przesadnie zależy mi na naturalności? Czy w mojej modlitwie nie ma przypadkiem zbyt wiele koncentracji i samokontroli? Może za bardzo dbam

o perfekcyjność gestów, słów i czynności? Czy to wszystko nie oddala mnie od autentycznego spotkania z Bogiem?

Czy nie robię tego wszystkiego, wprawdzie na Jego cześć, ale nie dla Niego? Czy nie robię tego dla siebie, po to, aby być dostrzeżonym, dobrze ocenionym, zyskać uznanie u ludzi i zaskarbić sobie ich szacunek?

Czy nie przysłania to mi służenia Bogu? Zastanawiałem się też, czy nie towarzyszy temu gwałtowne odreagowywanie z mojej strony, głośne i budzące strach, jak Marka ryczący śmiech?

A moja modlitwa, czy nie kończy się smutnym opuszczeniem nisko głowy i wycofaniem się z kaplicy z poczuciem zniechęcenia i zdegustowania?

Beduińska delikatność o. Paolo

Po lodowatej nocy w Homs, podczas której starałem się, jak mogłem, rozgrzać szofretką elektryczną i chuchaniem w prześcieradło, wczesnym ranem podjęliśmy podróż do Nebek. Nikt nie spodziewał się, że będzie ona tak gwarna i huczna, i że Luis dwa razy nie zauważy próbującego go wyprzedzić samochodu, dwa razy unikając kolizji nie bez pewnego szczęścia. Tak bardzo byliśmy zajęci dyskusją, że nie było nawet czasu, aby skomentować te wydarzenia.

Przyjemnie było stwierdzić po wjeździe na pustynię, że wielkie usypisko śmieci, które na przestrzeni kilku kilometrów ciągnęło się kiedyś przy drodze, zostało zlikwidowane i nie ma już fruwających plastikowych worków, nie ma zgłodniałych watah dzikich psów i przykrego zapachu, który kiedyś towarzyszył przemierzaniu tego odcinka.

Po dwudziestu kilometrach jazdy pustynią skręciliśmy w szeroką, dobrze utrzymaną szosę – hojny dar syryjskiego prezydenta. U podnóża góry wysiedliśmy z samochodu i musieliśmy się piąć po kamiennych schodkach w kierunku rysującego się wysoko na szczycie skał klasztoru Mar Musa, gdzie zostaliśmy powitani kawą i herbatą.

Trzy godziny na słońcu nie tylko okazało się przyjemnym odrobieniem strat energii cieplnej po zimnej nocy, ale były również dla nas wszystkich niezwykle owocne merytorycznie; poruszyliśmy wiele spraw, które były na wokandzie dzisiejszego spotkania i udało nam się również podjąć co do nich konkretne decyzje, ku zadowoleniu każdego z nas.

Pomimo chwilami gorącej nawet wymiany zdań, nie było upartego bronienia swoich racji. Udało nam się dojść w ten sposób do porozumienia co do letniej „karawany", czyli „Jezuickich Dni Młodzieży" dla gości z całego Bliskiego Wschodu.

Niezapomniany pozostanie obiad, który ukoronował naszą wspólną pracę. Paolo przeszedł samego siebie. Pierwszy raz w życiu jadłem *kabse*, czyli ryż w różnych przyprawach, na nim osadzony był pieczony w całości baran, którego przyrządził kucharski mistrz, Fadi.

Przybył on do Mar Musa z Damaszku, aby się duchowo umocnić po nagłym odkryciu, że jego ciało toczy złośliwy nowotwór i czeka go gehenna żmudnego leczenia. Wino zostało przywiezione z naszej „domeny" koło Homs, która nazywa się Al Arad, czyli po prostu „Ziemia". Od paru lat w rankingu win produkowanych w Syrii zajmuje czołową lokatę.

Biesiadowanie było głośne, jak przystało na beduińską grupę, odbywało się w wielkim namiocie, gdzie siedzieliśmy „po turecku" na ziemi. Trochę miałem kłopot z kotem, którzy nachalnie wpraszał się na ucztę i to akurat w miejscu, gdzie się znajdowałem. Nie mogłem go skutecznie odpędzić i za każdym razem pojawiał się to z jednej, to z drugiej strony, raz wyglądając spod łokcia, a raz znad kolana. Szczytowym momentem uczty było zajęcie się *abuny*

Paolo baranim łbem. Wyciągnął z niego tryumfalnym gestem jedno oko i rozglądając się po obecnych, uszczęśliwił nim delegata naszego regionu, Francisa, na co ten odpowiedział nieco trwożnym śmiechem, ale za to głośniejszym niż zwykle podziękowaniem. Drugie przypadło pewnemu mężczyźnie, naszemu znajomemu z Damaszku, który – trzeba powiedzieć – po męsku przyjął to wyróżnienie i skonsumował oko, jakby to był jego największy przysmak. *Clue* programu stanowił język, który Paolo zgrabnie wydobył z baraniej szczęki i obdarował nim najbardziej zasłużonego z wszystkich dobroczyńców, pana Abu Bassama. Barani mózg powędrował w najdalszy kraniec namiotu, gdzie siedzieli goście z Aleppo.

Mnie ominęły specjalne wyróżnienia podczas tej uczty, ale w najmniejszym stopniu nie czułem się z tego tytułu nieszczęśliwy. Wprost przeciwnie, czuję się bardzo zobowiązany wobec Paolo, za jego beduińską delikatność.

Pokonać pustynny ziąb

Popołudniową modlitwę zacząłem Psalmem 23, z którego pozostał mi w pamięci wiersz szósty: „niech łaska Twoja napełnia szczęściem wszystkie dni mojego życia w Twoim domu, Panie, tak jak teraz, tak i na wieki wieków. Amen".

Werset ten stał się duchowym mottem całego wieczoru. Prawdy, o której on mówi, doświadczyłem w sposób nadzwyczajny, a jednocześnie bardzo normalny, właśnie tutaj i właśnie dzisiaj, w drugi dzień moich rekolekcji odprawianych samotnie, w wielkim klasztorze – zamczysku. Zbudowany na pustyni, z ciemnego, bliskiego czerni kamienia, wyrasta wprost z dzikich skał i wspina się po zboczu martwej, bo pozbawionej wszelkiej roślinności góry, aż na sam jej szczyt.

Do tego zamczyska nie było żadnej drogi, i żeby się do niego dostać, trzeba było pokonać najpierw długie podejście z wielką liczbą kamiennych stopni, robiąc dziesiątki zakoli we wszystkich kierunkach, by dojść w końcu do starego *deir* Mar Musa.

Kto miał zamiar odbyć tutaj rekolekcje, musiał przejść jeszcze wiszącym mostem na drugą stronę *wadi* i znów piąć się po kamiennych schodach aż pod sam próg domu rekolekcyjnego,

wybudowanego w taki sposób, że wydaje się on również pochodzić z dawnych czasów.

Po przekroczeniu progu tego wielkiego zamczyska, liczącego sobie pięć pięter, wchodzi się na korytarz, który prowadzi do wielkiej sali konferencyjnej z kabinami dla tłumaczy i różnych mniejszych sal. W ten sposób dochodzi się do olbrzymiego tarasu, z którego roztacza się malowniczy widok na górskie zbocza, odległą nizinę, a za nią kolejne łańcuchy gór.

Kiedyś na tym tarasie odbywaliśmy co rano wstępną medytację, która polegała na stopniowym wchodzeniu w misterium spotkania z pustynią, tak aby nie tylko widzieć ją wzrokiem, ale również czuć ją oddechem i wszystkimi zmysłami, z krótkimi, biblijnymi sugestiami odnoszącymi się do stworzenia i do opieki Boga nad światem.

Na pozostałych kondygnacjach znajdowały się pokoje dla rekolektantów, małe kuchenki oraz dwie kaplice, z których jedna miała zupełnie szczególny charakter. Można się było do niej dostać idąc stworzonym przez naturę wąskim i niskim korytarzem, znajdującym się, jak sama kaplica, w litej skale. Była to grota, a więc wytwór natury, która zamieszkiwana była w ciągu wieków przez kolejnych pustelników. Była to ta sama grota, w której swoje pamiętne rekolekcje odbył o. Paolo, spadając z niebezpiecznego podejścia. Teraz stała się ona częścią tej wielkiej budowli, stanowiąc jedną z jej kaplic, szczególnie lubianą przez rekolektantów. Grota Hajek, bo to o nią chodzi, kiedyś będąca samotną jaskinią, dzisiaj stała się wewnętrzną kaplicą wielkiego domu rekolekcyjnego.

Tytułem wyróżnienia *abuna* Paolo oddał do mojej dyspozycji, najbardziej reprezentacyjny pokój, zwany „biskupim". Po jednym dniu jednak, a właściwie jednej nocy, zrezygnowałem z tego wyróżnienia. Doświadczyłem, co to znaczy w tych górach zimową porą mieszkać w pokoju, który ma wprawdzie piec – i to bardzo ozdobny – ale kapryśnie działający i nieszczelny, gdyż wyciekał z niego mazut. Dodatkowym argumentem za zmianą pokoju była dla mnie inna niedogodność – w jednym z okien brakowało fragmentu szyby, który zastąpiono kawałkiem plastikowej folii. Cóż z tego, że była w pokoju łazienka, prysznic i ubikacja, jeśli pomimo sterty koców całą noc nie spałem, trzęsąc się z zimna? Chcąc chronić swoje zdrowie i ratować rekolekcje nie miałem innego wyjścia, jak tylko znaleźć sobie inne, lepiej chroniące przed zimnem miejsce. Tak się właśnie stało.

Otrzymałem tym razem małą izdebkę, zaopatrzoną w niewielkich rozmiarów żelazny piecyk, w rodzaju naszej powszechnie znanej „kozy". Piecyk funkcjonował bez zarzutu i wystarczył całkowicie, aby tak nagrzać klasztorną celę, że mogłem w niej siedzieć w samej tylko koszuli, mimo, że na zewnątrz panował straszny ziąb. Jaka to było ulga, może docenić tylko ten, kto doświadczył uroków bezsennej nocy spędzonej w lodowatym wnętrzu pokoju „biskupiego", po którym hulał zimny wiatr, a od jego ścian ziało tak przejmujące zimno, że wydawało mi się, iż jestem w zamrażalniku.

Oto jak mogą mylić pozory. Dzieje się tak przecież w wielu dziedzinach naszego życia. Człowiek kieruje się atrakcyjnym opakowaniem i wydaje się mu, że czekają go, jeśli kupi reklamowany towar, jakieś rajskie delicje, a potem okazuje się, że

chodzi o to, aby uwieść klienta i zarobić na nim pieniądze. Oczywiście ta refleksja nijak się ma do intencji *abuny* Paolo i całego klasztornego zespołu. Z pewnością nie są aż tak wielkimi antyklerykałami, nawet jeśli weźmiemy fakt, że chodzi tutaj o pokój „biskupi".

Ten dzień był pomyślny dla mnie nie tylko z powodu pieca, który dobrze się spisywał. Doświadczyłem też mocnego duchowego przeżycia, które pozwoliło mi odczuć radość z rekolekcji i to już na samym ich początku.

Najpierw muszę stwierdzić, że nie po raz pierwszy zaskoczyła mnie pustynna cisza i niezwykłość pustynnego wieczoru, który szybko przekształcił się w ciemną noc. Tym razem obserwowałem szybkie wycofywanie się światła dziennego na „ekranie" mojego klasztornego okna. Siedziałem wpatrzony w nie i rejestrowałem wszystkie malujące się w nim zmiany, a także te we mnie, chociaż nie było to moje główne zajęcie, gdyż wraz z każdym oddechem powtarzałem bezgłośne wołanie: „Niech łaska Twoja napełni szczęściem wszystkie dni mojego życia w Twoim domu, Panie".

Moja cela pogrążała się w coraz głębszym mroku, z każdym momentem zapadając się weń coraz głębiej. Znikały stopniowo z nieba wszystkie białe chmury przyjmując najpierw tylko na obrzeżach kolor czerwony, potem nasycając się nim coraz mocniej, aż stały się krwisto czerwone. Ale potem kolory zaczęły więdnąc i blednąć, pozbywając się jednocześnie trójwymiarowości, aż w końcu zamieniły się w ciemniejącą brudną plamę. Na koniec niczego już za oknem nie było widać. Nic tylko czerń, gdyż tej nocy nie było księżyca ani gwiazd, co zdarza się na pustyni tylko zimą.

Wiatr po zapadnięciu ciemności stał się natychmiast jakiś inny. Zaczął wiać gwałtowniej, zupełnie jakby ktoś go uruchomił przyciskiem elektrycznym. Stał się głośniejszy i jakiś bardziej groźny. Tym bardziej, że oprócz jego powiewów, przechodzących czasem w głośne wycie, pojawiać się zaczęły również jakieś dziwne uderzenia, jakby ktoś walił do drzwi z wielką siłą, chcąc się dostać do wnętrza domu. Był to pewnie jakiś kawałek blachy albo rury, która gdzieś wystawała i uderzała o kamienną ścianę klasztoru. Głos był jednak nieprzyjemny, a jego efekt potęgowały jeszcze momenty ciszy, które następowały od czasu do czasu. Wtedy słychać było tylko stękanie poczciwego, żelaznego piecyka, który nie tylko dbał o ciepło w mojej celi, ale dodawał mi również ducha swoją wierną, przyjazną obecnością.

Tej nocy w całym tym zamczysku oprócz mnie jednego nie było żadnej żywej duszy. W jego mrocznym cielsku paliło się tylko jedno jedne światło – którym było okno mojej celi, zawieszonej nad przepaścią.

Stopniowo jednak, czułem to wyraźnie, następował jakiś przypływ ciepła, jakby efekt cichej melodii, która pojawiła się w mojej świadomości nie wiadomo skąd i uwalniała mnie od wewnętrznego napięcia. Zaczął mnie ogarniać pokój. Moja samotność przestała być dramatyczna czy groźna. Pojawiła się nawet jakaś dziwna radość, podobna do mistycznego uniesienia. Zostałem przeniesiony w jakiś nowy wymiar egzystencji, którego inność polegała na odczuciu Bożej obecności, jak łagodnego powiewu, który nie wiadomo skąd przyszedł i dokąd się udaje, ważne jest, że mnie nawiedził i mnie nie porzucał. Przyszedł, aby pozostać ze mną, a wraz z nim wszystko się zmieniło, chociaż

materialnie przecież wszystko było takie samo. Za oknem była ciągle ciemność, a w szybach pobłyskiwało światło mojego piecyka. Wiatr zrywał się raz po raz, ale jego odgłosy nie były przeze mnie odbierane jak poprzednio. „Jeśli Bóg z nami, to któż przeciwko nam?" – przyszło mi na myśl pełne wiary stwierdzenie świętego Pawła. Miałem wrażenie, że, jak ptak, siedzę w bezpiecznym gnieździe, na bardzo wysokim drzewie. Mogłem znów powtórzyć wielokrotnie dzisiaj recytowany w duszy werset: „Niech łaska Twoja napełnia szczęściem wszystkie dni mojego życia w Twoim domu, Panie". Stało się tak, jak mówi ten werset – zdałem sobie z tego sprawę z całkowitą pewnością. Dusza moja była pełna pokoju i wdzięczności za to, że znajduje się w domu Pańskim.

Siedząc w ciemnym pomieszczeniu, w którym widać było tylko błyski, dobywające się z drzwiczek żelaznego piecyka, czułem w duszy pogodną światłość, jaką pewnie czuje niemowlak wtulony w ramiona troskliwej matki albo – idąc za skojarzeniem wziętym z dzisiejszej medytacji z „Pieśni nad Pieśniami" – jak oblubieniec, opierający swoją głowę na łonie ukochanej. Nie wiem, jak długo trwał ten stan wewnętrznego uniesienia i pogodnej, cichej radości napełniającej moją duszę w tak kompletny, obejmujący wszystko, i wszystko przenikający sposób. Ważne, że nie było to tylko ulotne odczucie, pewien stan psychiczny wynikający z określonego działania, ale stan duszy i klimat wewnętrzny, który miał związek z modlitwą. Najlepiej odpowiada temu, co przeżyłem, określenie *zijara*, czyli po arabsku „odwiedziny".

Był to dla mnie znak tym bardziej wymowny, że pojawił się w niemal niedostrzegalny początkowo sposób i z całą łagodnością

wszystko zmienił. Ciemność zamienił albo raczej wzbogacił o świetliste błyski, które tak bardzo harmonizowały z ciepłem klasztornej izby, samotność zamienił w czar łagodnego, pełnego miłości nawiedzenia. Cela olbrzymiego i pustego klasztoru stała się chwilą spełnienia, szczęściem odwiedzin, które niczego ode mnie nie chciały, do niczego mnie nie zobowiązywały, cieszyły się tym, że są dostrzeżone. Tak byłem z tego powodu zadowolony, że nie umiałem niczego powiedzieć, poza szeptem: „Niech łaska Twoja napełnia szczęściem wszystkie dni mojego życia w Twoim domu, Panie".

Czy to było szczęście? Nie wiem. Nie lubię wszystkiego nazywać i szukać odpowiednich definicji, bo wygląda to wówczas trochę tak, jakby zamiast przeżywać, podjęło się próbę zawłaszczenia tego, co piękne. Najczęściej burzy się wówczas delikatną harmonię piękna. Lepiej jest wtedy podziękować życiu, tak po prostu, tak niezbyt wylewnie, aby nie zamieniło się to w komplement albo próbę uzyskania czegoś więcej. Dziękuję. Życie nie lubi zbyt wielu pytań i niepotrzebnego mnożenia analiz. Życie nas przekonuje przeżyciem, a przeżycia są po to, abyśmy nie zdradzili życia, ale abyśmy mu dochowywali, po przyjacielsku, wierności.

Pamiątką po tych rekolekcjach jest następująca notatka, którą znalazłem w swoich zapiskach:

20 stycznia 2010

Swojska domowość

Mam ochotę pisać teraz radosne poematy, dąć dźwięcznie w trąby, śpiewać hymny, wznosić gromkie pochwały na cześć...„kozy", która się teraz szlachetnie przede mną pali spokojnym, monotonnym płomieniem, raz żółtym, a raz błękitnym, na zmianę, co kontempluję z ogromną przyjemnością, obserwując

krągłe szkiełko jej wziernika. Ileż radości daje człowiekowi ten widok! Ileż duchowego ciepła wnosi ten płomień – dzięki fizycznemu ciepłu, które się od niego rozprzestrzenia po klasztornej celi, robiąc z niej całkiem przytulne mieszkanie.

Cały ten mój entuzjazm pojąć może tylko ten, kto odbył pokutę w reprezentacyjnym apartamencie biskupim nowego budynku klasztornego Mar Musa, gdzie nocą odlicza się godzinę za godziną, a czasem nawet minutę za minutą, szczekając zębami w oczekiwaniu bladego porannego świtu i marząc o jakimś rajskim kącie na ziemi, nadającym się do zamieszkania, gdzie człowiekowi nie dzwonią zęby jak blacha na wietrze i reumatyczne bóle nie przechadzają się po górnych kończynach z wyraźną chęcią nawiedzenia również kończyn dolnych, czyli po prostu o kącie, gdzie człowiekowi będzie cieplej. No i teraz sobie leżę, niedaleko żelaznej „kozy", w której ogień się pali jednostajnym, spokojnym płomieniem, gojąc moje rany psychiczne otrzymane podczas nocnego „czuwania na biegunie polarnym". Nie trzeba było wiele. Chodziło tylko o małe fizyczne przenosiny i zgodę na dokonanie pewnego cywilizacyjnego przeskoku – z biskupiego apartamentu do małej celi zakonnej. Wprawdzie apartament posiadał trzy szerokie okna, ciekawą architekturę, dużą kubaturę, finezyjne zdobienia ram okiennych, obrazy na ścianach, salon, łazienkę i elektryczny system cieplny, ale po co to wszystko człowiekowi, gdy system ten przestaje funkcjonować? Wówczas rajem staje się zwykła klasztorna cela z piecem żelaznym, który normalnie i po prostu: grzeje. Nie jest absolutnie przeszkodą ani małe okno, ani brak ozdób i chociaż przez okno widać tylko brunatną skałę górskiego zbocza, to najważniejszą zaletą tego wnętrza jest prosty fakt, że można w nim zamieszkać.

Żelazna „koza" uratowała od fiaska moje tegoroczne rekolekcje i umocniła we mnie przekonanie, że w życiu najważniejsze jest to, co proste i naturalne.

Próżne i zawodne są wszystkie zabiegi o jak największe życiowe „kubatury", o najwyższe wzorce światowego komfortu i wyśrubowane standardy konsumpcyjne, bo jeśli zabraknie prądu, okaże się wówczas, że cały ten wysublimowany splendor cywilizacyjno-kulturowy jest wydumany,

niepotrzebny, przesadzony, że piękne jest to, co proste, co zwyczajne, niewyszukane, swojsko-domowe.

V
Wojna

Proroctwo

pasą się gęsi na łąkach
bocian majestatycznie na gnieździe stoi
śpią żaby w sadzawce
okno domu otwarte
jak w każdy pogodny dzień letni
nikt proroctw nie traktuje poważnie
nie pyta Lota, dlaczego zarzucił tobołek na plecy
czas, który się toczy normalnie
wbrew pozorom nie śpi
ale oczekuje odpowiedzi
dobru tylko pozornie się nie śpieszy

Ostatnie rekolekcje

Rekolekcje nie mogły się odbyć w Mar Musa. Koło Homs i w samym mieście zaczęło być niespokojnie. Nie można było z Aleppo dojechać wygodnie, jak kiedyś, w pobliże klasztoru pociągiem, bo tory zostały zniszczone przez rebeliantów. Przeniosłem zatem rekolekcje w okolice, gdzie było bezpieczniej, do naszego domu rekolekcyjnego w Tufaha. Pamiętam pierwszą noc tych rekolekcji, wydawałoby się, podobną do dziesiątek i setek innych nocy, które tutaj przeżyłem przez te wszystkie lata, a jednak była ona zupełnie wyjątkowa.

Wprawdzie jak zawsze, gdy księżyc jest w pełni, wygląda on jak dostojny pan nocy, powolny, spokojny, opanowany. Patrzy na wszystko z góry swoim chłodnym wzrokiem, a na ziemi po staremu, życie się kłębi, całe w spazmach nocnych nawoływań, miłosnych śpiewów ptaków, nagłych śmiechów i pojedynczych okrzyków, bliskich i dalekich. Jednym słowem trwała niczym nie zmącona, odwieczna magia letniej nocy, całkowicie poddana rytmicznemu muzykowaniu cykad i świerszczy. Ich gra wywołuje takie drganie uczuć, że aż w głowie się człowiekowi kręci. Nawet księżyc, znany z ascetycznych manier, nie wiadomo kiedy i jak dał się wciągnąć w ten oszałamiający taniec – początkowo trochę

sztywny, jakby się krępował, z wolna, krok za krokiem nabierający rozpędu, tulący swój biały policzek do ciemnego granatu nieba, mrugający zawadiacko do gwiazd, jakby wina sobie dolewał...

...A niedaleko stąd, wszystkiego ze sto kilometrów, tam gdzie na co dzień mieszkam, w Homs teraz jest wojna i ludzie kryją się w mieszkaniach, gasząc światła, jakby światło prowokowało mroczne siły zła do ataku. Oni tej nocy nie siedzą na tarasach i balkonach, zza zamkniętych żaluzji nie widzą księżyca ani gwiazd i słuchają innej już muzyki – odgłosów wybuchów i strzałów.

Rekolekcje, na które tutaj przyjechałem, stanowią dla mnie jednocześnie zakończenie roku szabatowego. Nigdy nie przypuszczałem, że odbywać się będą w takim klimacie. Na czterdzieści cztery zapisane osoby przybyły tylko trzy. Ludzie boją się opuszczać domy, boją się podróżować, boją się oddalać od swoich rodzin. Chcą być razem, czują się wtedy pewniej. Słyszałem nieraz stwierdzenie: „lepiej jest umrzeć razem".

Byłem bliski odwołania mojego wyjazdu, bo w chwili, gdy wybierałem się na stację, zaczęła się strzelanina w Homs. Nie mogłem już liczyć na autobus miejski. Zdecydowałem się na taksówkę. Szoferem był młody „kamikaze", który twierdził, że walczył będzie do końca, że się nikogo nie boi, że zakosztował wolności i teraz już z niej nie zrezygnuje. Musi być przeprowadzona w ich kraju operacja, wrzód musi zostać usunięty, może to trochę potrwać i operację być może będzie trzeba powtórzyć kilka razy, ale dla niego jest jasne, że dotychczasowy reżim musi oddać władzę, bo wszelki dialog z reżimem jest tylko stratą czasu. W wiadomościach o godz. 16.00 podano informację o zabiciu w starciach ulicznych trzydziestu osób ze strony

rządowej, czyli wojska i służby bezpieczeństwa. Nie słyszałem, ilu było zabitych po drugiej stronie, w każdym razie było to dla mnie potwierdzenie, że ludzi tak zdeterminowanych jak mój szofer jest dużo i... że nie rzucają słów na wiatr.

Gdy dotarłem do domu rekolekcyjnego w Tufaha, spotkałem tam jeszcze ten dawny świat, dobrze mi znany od trzydziestu lat – zielony, pachnący jaśminami, kwitnący klombami wzdłuż alei, pełen rozwrzeszczanej wesoło dzieciarni, która przyjechała tutaj na wakacje i korzysta z nich jak tylko może najradośniej. Nie ma tu bowiem jeszcze żadnych znaków zagrożenia, nie ma obawy... jeszcze nie ma. A może zagrożenie już jest odczuwalne, a tylko nie chce się tego okazać, dlatego właśnie pozwala się dzieciakom na wszystko, jak gdyby ich radość mogła odczarować czarną chmurę strachu, jaka nadciąga nad tę spokojną wioskę ze wszystkimi ponurymi zapowiedziami nieuchronnej tragedii. Przecież sporo młodych mężczyzn z tej okolicy zostało już wezwanych do wojska. Przecież dzisiaj, w samym tylko Homs zginęło do godziny szesnastej trzydziestu spośród nich...

Ale dom rekolekcyjny jest wciąż tym samym domem, co zawsze, bo na posterunku stoi Berta. Jak to jest, że prawie wszystkie Berty na świecie są duże? Ta nasza jest ogromną i tak dziecinnie niewinną kobietą z zawsze zdziwionymi oczami, że aż chce się śmiać. Jest naszą kucharką, ale lepiej byłoby powiedzieć kucharką-niańką, tak bardzo chciałaby wszystkim dogodzić. Cieszy się nie tylko wówczas, gdy słyszy od jedzącego, że bardzo mu jadło smakuje, ale również samym podaniem do stołu, tym, że gotuje a goście jedzą z apetytem. Wielka Berta ma bardzo zdziwione oczy, gdy się jej dziękuje i śmieje się jak mała dziewczynka –

zawstydzona i szczęśliwa zarazem. Wielka Berta nie umie ludzi traktować inaczej niż jak swoich bliskich, dlatego z domu rekolekcyjnego jako duszpasterskiej instytucji, nie wiedząc o tym, Berta czyni prawdziwy, normalny dom.

Berta musiała nas opuścić i udać się do swojej rodziny. Dojechała tylko do Safita. Szwagier zadzwonił do niej, gdy tam utknęła na stacji autobusowej, żeby się absolutnie nie ruszała z miejsca. On przyjedzie samochodem, aby zabrać ją stamtąd do domu. Nie posłuchała go, udało jej się zdobyć taksówkę i powiadomiła rodzinę, że jest właśnie w drodze, prosząc, aby szwagier się nie fatygował, bo zaraz będzie na miejscu. Wyjaśniła potem komuś znajomemu, że jest panną i jakby ją zabito, to byłaby to znacznie mniejsza strata, aniżeli śmierć szwagra, który ma trójkę dzieci.

Znalazłem zapiski mówiące trochę o atmosferze, w jakiej żyliśmy wtedy w Syrii, a w nich natrafiłem na następujący passus:

Jedziemy wygodną szosą, którą podarował wspólnocie Mar Musa syryjski prezydent (wiele klasztorów otrzymało od niego takie pożyteczne podarki). Dojeżdżamy do podnóża góry, na której szczycie wznosi się kamienny „Watykan" małych domków wchodzących sobie w cudownym porządku w stada kóz, które wchodzą razem do zagrody. W środku starożytna bryła klasztoru i za wiszącym mostkiem ponad przepaścią, klasztor nowy... Trzeba to zobaczyć... No, ale żeby zobaczyć, nawet jeśli już się tam dojechało, to jeszcze trzeba się wspiąć... Czasem są z tym kłopoty...

Mar Musa wrócił do swej prehistorii, bo jest tam cicho, pusto, a zatem więcej jest też skupienia i więcej życia wspólnotowego. Wspólnota daje sobie radę, ale jak będzie później? Dla nich to konkretne życie jest egzaminem, który jest dzisiaj bardzo surowy. Nie tylko dla nich zresztą. Ujawnia on podstawy – na jakich wartościach nasze życie się opiera i tak jak mówi dzisiejsza Ewangelia: KOGO WYBRAŁEM? Boga czy Mamonę? Dwom panom nie da się służyć, chyba, że chce się uprawiać hipokryzję, ale tak czy inaczej, prędzej czy później, każde

zakłamanie kończy się skandalem i bolesną nauczką. Sporo ludzi w Syrii, zdaje egzamin z człowieczeństwa. Obyśmy umieli wykorzystali ten moment my, chrześcijanie.

Była to pierwsza niedziela dla wspólnoty Mar Musa bez abuny Paolo i bez Mszy św. Pewnie dlatego bardzo się ucieszyli, gdy zobaczyli mnie w progach ich klasztoru...

Dziwnie się czułem odprawiając te Msze św. Miałem żywo w pamięci Msze św. sprzed 30 lat, kiedy byłem młodym księdzem, świeżo przybyłym z Polski, a Paolo nie miał jeszcze wtedy święceń kapłańskich. Dookoła nas były same ruiny i tu gdzie dzisiaj jest ołtarz ustawiliśmy kilka kamieni. Na nich odprawiliśmy Msze św.

Wczoraj czułem, jakbym odprawiał Mszę św. pośród ruin znanego na cały świat Mar Musa z powodu nieobecności Paolo (został wydalony z kraju). Uczucie to towarzyszyło mi jednak tylko na samym początku. Potem ono ustąpiło i zrobiło miejsce uczuciu pokoju i nadziei.

Drugi zapisek, z 23 lutego 2012 roku, brzmiał następująco:

Bardzo trudno jest przyzwyczaić się do świata, który wyraźnie pogrąża się w bałaganie, w którym coraz więcej rozprzężenia, w którym kierowcy przestają tolerować czerwone światła – jeszcze ostrożnie, ale spotyka się już coraz więcej „śmiałków". Policjanci stają się figurantami, którzy, pogwizdując, dodają sobie samym animuszu i dają w ten sposób znać światu, że są na codziennej służbie, ale coraz mniej się ich respektuje, a oni wiedzą, że mają coraz mniej władzy i wolą z nikim nie zadzierać. Wczoraj wspólnota Mar Musa miała wizytę „powstańców" szukających pieniędzy. Nikomu ze wspólnoty nic się nie stało i tylko jeden komputer został zniszczony, ale kolejny próg rozpadu porządku publicznego został przekroczony. Świat rozpada się na Bliskim Wschodzie i jednocześnie jego rozpadanie się ma dzisiaj wymiar globalny. Coraz bardziej pasują do niego słowa Apokalipsy i dlatego tym większy ma sens trzymanie się Chrystusa, naszego Zbawiciela.

Ukryty bohater

Mówiąc o „ukrytym bohaterze” bynajmniej nie mam na myśli kogoś, kto się ze swoim bohaterstwem ukrywa. Wręcz przeciwnie, człowiek, o którym tutaj piszę, mówi o swoim bohaterstwie całkiem otwarcie, ale jest ukrytym bohaterem, bo wcale nie wie, że nim jest. Opowiadał o zdarzeniach tamtych dni, ponieważ taki był temat. Dorzucił do wspólnej rozmowy to, co miał do powiedzenia i na tym koniec. Tym czymś były jego przeżycia, jako księdza na linii frontu, która tędy właśnie przechodziła. Tędy, to znaczy przez miasteczko, w którym od wielu lat duszpasterzował. Mam na myśli ojca Jihada, który miał pod swoją opieką parafię i tych, którzy do niego przychodzili z bliższego i dalszego sąsiedztwa, w tym również muzułmanów.

Miał on również pieczę nad klasztorem św. Eliana, który pięknie, z wielkim poświęceniem i pietyzmem remontował. Co tydzień ojciec Jihad udawał się zakonną półciężarówką do *deir* Mar Musa, którego jest członkiem od samego początku jego istnienia. Po latach życia w klasztorze – a przez jakiś czas również w pustelni – został oddelegowany przez przeora do pracy w Karjatejn, utrzymując jednak stałą więź z Mar Musa.

Efekt jego pobytu w Karjatejn jest widoczny zarówno od strony duchowych więzi z mieszkańcami tego miasteczka, jak również w jego dokonaniach materialnych, związanych z wykopaliskami, które zainicjował, sprowadzając kompetentną ekipę naukowców, rekonstruując zrujnowany klasztor, budując nowe pomieszczenia dla stałych mieszkańców *deir* Mar Elian – bo tak oficjalnie nazywa się jego placówka na pustyni.

Deir Mar Elian leży na dalekich obrzeżach miasta, praktycznie już na pustyni. Jest podziwiany jako zielona oaza z winnicami i sadem, znajdującym się wprost na piasku, gdzie każde drzewo jest podlewane dzięki systemowi plastikowych węży, czerpiących wodę ze studni głębinowej. Wystarczy odwiedzić *deir*, aby się przekonać, kim jest ojciec Jihad, i że posiada on wschodnią duszę poety, która kocha się w bogactwie form architektonicznych, mnóstwie dekoracji, tak niesamowitych, iż wydają się być dziecięcą fantazją.

Wystarczy spojrzeć na fasadę kościoła, na jego wieże, zdobienia, łuki okien, załamujące się płaszczyzny murów, aby dostrzec, że mając bardzo ograniczone środki, potrafił wyczarować na pustyni oazę architektoniczną, która łączy piękno z funkcjonalnością, pozwalając w ten sposób poznać jeszcze inną prawdę: o. Jihad troszczy się o mieszkańców a nie tylko o efekty architektoniczne. Widać to bardzo dobrze w pokoju, który zamieszkuje. Jest to niewielka izba o kamiennych ścianach, z bardzo prostym i niezbędnym tylko wyposażeniem. Najbardziej jednak jest to widoczne w jego serdecznym i pełnym radości podejmowaniu gości. Ma dla nich wielką wyrozumiałość. Istotne jest to, że mimo ogromu zajęć i obowiązków, które na nim ciążą, nie zrezygnował

z najważniejszego, to jest z modlitwy. Stanowi ona centrum jego dnia codziennego i centrum jego posługi jako proboszcza i przeora klasztoru Mar Elian.

Ktokolwiek do niego przybędzie, prędzej czy później zostanie wciągnięty do rozmowy o Bogu i o tym, co znaczy prawdziwa religijność. Każdego chętnie też zaprowadzi do grobu świętego, którego imię nosi *deir*, czyli Mar Elian. Był to człowiek modlitwy i asceta żyjący w IV wieku. Przypisuje mu się wiele cudów, które czynił za życia i po śmierci. Zgodnie z jego wolą, jego zwłoki zostały położone na wozie ciągniętym przez woły. W miejscu, w którym woły się zatrzymają, miał powstać jego grób. Nad nim został potem zbudowany klasztor Mar Elian. Po dziś dzień znajduje się tam grobowiec ascety i nadal dzieją się tam cuda za jego wstawiennictwem.

Do klasztoru wiedzie obecnie wygodna asfaltowa szosa, która dochodzi do obrzeży gruntów należących do *deir*. Postawiono tam wielką cementową bramę, rodzaj wielkiego łuku, opierającego się na filarach ustawionych po obu bokach szosy. Następnie trzeba pokonać kilkadziesiąt metrów wzdłuż wysokiego kamiennego muru, przypominającego konstrukcje obronne zamku albo fortecy. U podnóża muru leżą większe lub mniejsze fragmenty starożytnych kolumn i bloków kamiennych, rozrzucone bez ładu i składu. Są tam, bo zawsze tam były i już. Gdy słońce minie zenit i robi się cień u podnóża muru, można na tych kolumnach i kamieniach wygodnie sobie usiąść.

W murze osadzona jest potężna brama, przez którą wchodzi się na dziedziniec kościoła. Prowadzi do niego aleja przecinająca mały, przykościelny cmentarz, na którym w jednej linii, po wojskowemu,

rozdysponowane są jednakowej wielkości i jednakowego kształtu mogiły. Towarzyszy im równy szpaler drzew, rosnących po obu stronach chodnika, wykonanego z jasnych kamiennych płytek, utrzymywanych we wzorowej wprost czystości. Tak dochodzi się do głównego wejścia do kościoła.

Bezsprzecznie jednak, najbardziej interesujący i niezwykle funkcjonalny jest zespół parterowych izb, przylegających ściśle do siebie tak, że praktycznie tworzą jeden budynek uformowany na kształt czworoboku, do którego przylega prezbiterium i zakrystia kościoła. W przeciwległym do kościoła skrzydle czworoboku usytuowana jest główna brama wjazdowa, przez którą wjeżdża się na obszerny, wewnętrzny dziedziniec klasztorny z małą fontanną na środku. Jako że w fontannie permanentnie brakowało wody, została ona zmieniona w olbrzymi wazon, w którym zieleni się sporych rozmiarów drzewko, stanowiące na tym pustynnym obszarze radosny symbol życia.

Czworobok klasztorny robi wrażenie wojskowego fortu, z maleńkimi okienkami w zewnętrznym murze, podobnymi do strzelnic. Opatrzone są one gęstą siatką chroniącą przed wężami i skorpionami. Od środka zaś, to znaczy od strony dziedzińca, zauważamy duże okna. Każda część tego domostwa miała swoje konkretne przeznaczenie, począwszy od izby przeora i stałych mieszkańców *deir*, przez pomieszczenia gospodarcze, aż po izby przeznaczone dla gości. Przyjeżdżali oni modlić się u grobu świętego Eliana, albo po to, aby przeżyć kilka dni rekolekcyjnego skupienia.

Ojciec Jihad chętnie przyjmował gości i nigdy nie mówił nic o opłatach. Goście sami wiedzieli, że trzeba go wspierać i jeśli ktoś

wrzucił do puszki niewiele, to ktoś inny wyrównał jego rachunek i dołożył sporo ponad to, co wypada.

Przeor bardzo się cieszył, że kult świętego Eliana ożywił się ostatnimi laty, ale – prawdę mówiąc – nie było czemu się dziwić, skoro przy jego grobie działy się cuda. Opowiadanie, które za chwilę przytoczę, a które usłyszałem z ust samego ojca Jihada, podczas naszego ostatniego spotkania w Bejrucie, w siedzibie katolickiego biskupa rytu syriackiego, jest świadectwem cudownych zdarzeń, których on był cichym bohaterem.

Najpierw jednak należy umiejscowić te zdarzenia. Chodzi zatem o region i miasteczko Karjatejn, a więc również o *deir* Mar Elian i *deir* Mar Musa. Chodzi też o pierwszą fazę wojny domowej, kiedy region ten został opanowany przez syryjskich rebeliantów. W większości pochodzili oni z tego miasteczka albo gdzieś z jego okolic. Na początku w szeregach rebeliantów mało jeszcze było cudzoziemców, dopiero później stali się oni tak liczni, że w niektórych regionach zaczęli dominować, a nawet i walczyć z tubylcami jako swymi politycznymi rywalami. Ponieważ wszyscy znali osobiście ojca Jihada, albo przynajmniej o nim słyszeli, nie był z ich strony zagrożony. Szanowali go od dawna i szanowali *deir*, którego był przełożonym. Czasem zwracali się do niego bardziej urzędowo, używając słowa *kys*, w odróżnieniu od *churi*. Oba słowa tłumaczyć można jako ksiądz, ale *kys* odnosi się na ogół do księży europejskich albo do syryjskich mających europejską formację. Najczęściej jednak zwracano się do niego: *abuna*, czyli „ojcze”, a więc formułą, która jest najbardziej swojska i najlepiej przyjęta, zwłaszcza gdy chodzi o zaznaczenie pewnej więzi duchowej i emocjonalnej. To określenie pasowało do niego, Syryjczyka

z dziada pradziada, być może nawet od czasu pierwszej wspólnoty chrześcijańskiej znanej nam z Dziejów Apostolskich.

Wracajmy jednak do opowiadania. Miasteczko Karjatejn zostało otoczone przez wojska rządowe, szykujące się do decydującego ataku na pozycje rebeliantów. Los tych ostatnich wydawał się być przesądzony. Nie zamierzali jednak tanio sprzedać swojej skóry, tym bardziej, że wojskom rządowym zależało na tym, aby jak najszybciej tę skórę kupić. Trzeba jednak było zapłacić za to walkami w mieście, gdzie pośród gęstych zabudowań starcia są niezwykle krwawe i niszczycielskie.

Liczono się z wielką liczbą ofiar po obu stronach. Podczas tych walk uległyby również zniszczeniu domy i znajdujące się w nich mienie. Mieszkańcy miasteczka, wiedząc o tym, w popłochu je opuścili i koczowali rozproszeni na pustyni. Wielu uciekło do *deir* Mar Elian, przyjęci przez *abunę* Jihada. Znalazło się wówczas w klasztorze i na jego zapleczu około dwóch tysięcy ludzi. Zdecydowaną większość stanowili muzułmanie, co jest normalne, biorąc pod uwagę proporcje chrześcijan i muzułmanów zarówno w Karjatejn, jak i w całej Syrii. Było to jednak niezwykłe, bo przecież chodziło o chrześcijański klasztor i katolickiego księdza zakonnego.

Już sam ten fakt czynił z *abuny* Jihada osobę wyjątkową. Oczywiście nie był to ślepy odruch. Ojciec Jihad był dobrze znany, szczególnie od momentu wybuchu wojny domowej, bo troszczył się z wielką gorliwością o mieszkańców Karjatejn, szczególnie tych najbardziej dotkniętych przez walki i związaną z tym biedę. A Syria była państwem, które dotąd nie znało ani jednego człowieka, który nie miałby dachu nad głową albo kawałka chleba do zjedzenia.

Abuna Jihad zajmował się z wielkim oddaniem wszelkiego rodzaju pomocą: żywnościową, ubraniową, szkolną i lekarską, pozostając w serdecznych stosunkach nie tylko z chrześcijańskimi organizacjami charytatywnymi, szczególnie zaś z jezuitami (o. Zjadem z Homsu, który podróżował po Europie i zbierał środki na pomoc dla Syrii), ale również z duchownymi muzułmańskimi. Nie było to dla nikogo zaskoczeniem, bo utrzymywał z nimi dobre relacje na długo przed wybuchem wojny. Była to zatem kontynuacja tych więzi. Teraz zyskały one, z racji wojennych warunków, nową intensywność i wyraziły się w konkretnych gestach solidarności.

To wszystko pozwala zrozumieć, dlaczego w czasie walk o Karjatejn, *abuna* Jihad spontanicznie został wybrany przez miejscową ludność jako pośrednik pomiędzy siłami rebeliantów i wojskiem. Mieli do niego zaufanie zarówno jedni, jak i drudzy. Prowadzono wówczas rozmowy dotyczące honorowej kapitulacji rebeliantów i oszczędzenia w ten sposób miasteczka. Szczególnie dramatyczne było nocne spotkanie, które miało zadecydować o tym, czy dojdzie do porozumienia między obiema walczącymi stronami, czy też ostatecznie o wszystkim zadecyduje rozstrzygająca bitwa. Pertraktacje ciągnęły się długo i były bardzo męczące. Kilkakrotnie dochodziło już do porozumienia, a potem nagle wszystko się rwało i miast uścisku ręki pojawiało się wzajemne obrzucanie klątwami i groźbami. Ojciec Jihad przejmował wtedy inicjatywę, wkładając w nią cały swój spryt i energię oraz całą swoją wiarę, używając również w swojej argumentacji odniesienia do Boga. Jego argumenty musiały mieć siłę, skoro ostatecznie udało się osiągnąć kompromis.

Zadecydowano, że nie będzie konfrontacji zbrojnej w miasteczku, że rebelianci z niego wyjdą jeszcze tej samej nocy, spokojnie, wraz z bronią, którą posiadają.

Ojciec Jihad był szczęśliwy, że mógł zanieść dobrą wiadomość mieszkańcom Karjatejn. Ich domy zostaną uratowane. Jutro będą mogli wrócić do siebie. Skończyło się zagrożenie zniszczenia dorobku całego ich życia, a najważniejsze, że uratowane zostaną w ten sposób od śmierci liczne istnienia ludzkie po obu stronach konfliktu. Sądził przy tym, że wpłynie to jakoś na ogólną atmosferę, na obniżenie poziomu wzajemnej pogardy i nienawiści.

Uczynię w tym opowiadaniu jedną uwagę. Otóż podczas nocnych uzgodnień pełnych napięcia, dramatycznych krzyków raz z jednej, raz z drugiej strony, kiedy wydawało się, że do żadnego porozumienia nigdy nie dojdzie, ojciec Jihad nie rezygnował. Wzywał do cierpliwości, a jak było trzeba, to czynił to również dosadnie, nikomu nie starając się przypodobać. Wówczas to, podczas jakiejś krótkiej przerwy, spotkał się z dziwną propozycją ze strony szefa rebeliantów. Podszedł on do niego i bardzo dyskretnie wykonał gest, którego ojciec Jihad się zupełnie nie spodziewał. Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i ofiarował mu go. Kiedy ten się zawahał i powiedział, że ma swój telefon, który całkowicie zaspokaja jego potrzeby, szef rebeliantów odparł, że na ten telefon „na pewno odpowie". Innych telefonów być może nie odbierał, aby strona przeciwna nie mogła go zlokalizować albo dlatego, żeby się chronić przed rozmowami, których sobie nie życzył. Na ten jednak – „na pewno odpowie". Dodał jeszcze: „Weź, może ci się przydać, nigdy nic nie wiadomo. Ja nie wiem, dlaczego ci ten telefon daję, ale Bóg wie to na pewno".

Ojciec Jihad nie opierał się dłużej i schował telefon do kieszeni. Schował i... całkowicie o nim zapomniał. Szczęśliwy, choć krańcowo zmęczony, wrócił do *deir* nad ranem i położył się spać. Nie spał jednak długo. Godzinę albo dwie. Obudziły go strzały i dzwonek telefonu. Donoszono mu ze wszystkich stron, że nagle rozgorzała walka. Porozumienie, jakie osiągnięto, okazało się próżną gadaniną, a wszystkie ustalenia przekreślono nagłą strzelaniną.

Ubrał się błyskawicznie i skoczył do samochodu. Jadąc, cały czas rozmawiał to z jednymi, to z drugimi. Nic jednak z tych rozmów nie mógł zrozumieć i nic nikomu nie był w stanie wyjaśnić. Jak to zwykle dzieje się w takich przypadkach, jedni oskarżali drugich o złamanie umowy. Jedni i drudzy byli rozsierdzeni i nie chcieli już dłużej o żadnej cierpliwości słuchać. Czas na pertraktacje skończył się dla nich definitywnie. Nie mieli ani odrobiny zaufania do siebie nawzajem. Jedyne, co było dla nich teraz ważne, to zniszczyć oponenta, który nie jest nawet godny, aby go traktować jak przeciwnika, a jedynie jak podłego zdrajcę i kłamcę, którego wrogiem jest sam Bóg.

Abuna Jihad mówił mi, że sam nie wie, skąd znalazł w sobie tyle odwagi i siły, aby się nie poddać i nadal telefonować, chociaż czuł, że coraz mniejszy miało to sens. Jego wołanie: „przecież dali słowo" i „ogień trzeba wstrzymać" wydawało się coraz bardziej groteskowe. Nikt go już nie chciał słuchać. Dziwne, a jednak zauważył, że ogień zaczął tracić na intensywności. Oczywiście, zdawał sobie sprawę z tego, że nie działo się to z powodu jego telefonicznych interwencji.

Nie wiedział dlaczego, ale walka stała się mniej zacięta i wyraźnie malało natężenie ognia. Może chodziło o to, że nie było żadnego wyraźnego ataku, żadnych ruchów wojskowych, że każdy strzelał z ukrycia i w związku z tym nikt nikogo w szczególny sposób nie prowokował. Może obie strony ochłonęły nieco po pierwszym zwarciu, zastanawiając się nad tym, jaki powinien być następny krok.

W tym właśnie momencie, zadzwonił do niego jeden z oficerów wojsk rządowych, który uczestniczył w nocnej naradzie rozjemczej. Przekazał ojcu Jihadowi wiadomość, że ma żołnierza w swoim oddziale, który jest ciężko ranny. Pytał, czy ojciec może znaleźć lekarza, aby ten przyszedł i opatrzył rannego. Ojciec Jihad natychmiast się zgodził, nie radząc się i nie pytając nikogo o zgodę. Zdecydował się nie tyle wysłać lekarza, ale pojechać z nim i z pielęgniarzem, aby ich obu chronić swoim statusem oficjalnego mediatora.

Dotarli samochodem do pierwszego posterunku wojskowego i udali się do budynku, w którym znajdował się ów oficer i ranny żołnierz. Lekarz po pierwszych oględzinach zajął się interwencją medyczną, której wymagał ranny. Nagle zaczęło się wokół nich piekło.

Wybuchła strzelanina. Prowadziła ją strona rebeliancka. Kule waliły w budynek, który miał betonową konstrukcję i betonową podbudowę. Wszyscy przylgnęli do ziemi. Nie było mowy o tym, aby się wyprostować. *Abuna* Jihad mówił mi, że nigdy jeszcze nie był tak blisko śmierci jak wówczas. Nie rozumiał, co się stało. Nie wiedział, dlaczego do nich strzelano. Może uznano jego miłosierny krok za zdradę? A może po prostu puściły im nerwy, gdy zobaczyli,

że ojciec Jihad poszedł leczyć wrogów i to jeszcze z lekarzem, który został wzięty z ich strony.

Ogień był iście huraganowy. Myśląc, że są to jego ostatnie chwile, modlił się do Boga, mówiąc, że najbardziej mu przykro, iż zupełnie niechcąco, bez jakiejkolwiek złej intencji z jego strony, stanie się przyczyną śmierci lekarza i pielęgniarza. I właśnie w tym momencie przypomniał sobie o telefonie, który otrzymał w nocy. Sprawdził kieszeń. Poczuł, że telefon jest tam, gdzie go wczoraj włożył. Połączył się szybko z szefem rebeliantów. Nic mu nie tłumaczył. Krzyknął tylko: „na miłość Boską, wybaw mnie".

Nie tłumaczył mu dlaczego się znajduje na posterunku wojsk rządowych, nie mówił, że chce ocalić nie tylko swoje życie, ale jeszcze bardziej chciałby uratować życie lekarza i pielęgniarza. Rozmówca wcale nie oczekiwał od niego żadnych wyjaśnień, nie zadawał mu żadnych pytań, nie stracił ani sekundy drogocennego czasu. Ufał mu i to wystarczyło. Powiedział krótko, że wstrzyma ogień, ale może to potrwać jeszcze kilka minut, zanim jego rozkaz dotrze do każdego dowódcy oddziału.

Rzeczywiście, ogień powoli zaczął gasnąć aż ustał zupełnie. Nastąpiła głucha cisza. Posterunek wojskowy nie został „zmieciony z powierzchni ziemi", jak to sobie przyrzekali rebelianci. Nikt nie wiedział o tym, że *abunę*, a wraz z nim i innych, uratowała jedna krótka rozmowa telefoniczna, a właściwie to, co ją poprzedziło i co miało miejsce w nocy. „Bóg to wyjaśni". Teraz stało się to jasne i *abuna* Jihad nie miał wątpliwości, jaką nazwę nadać całemu zdarzeniu. Dla niego był to ewidentny cud. Przypisuje go również, całkiem naturalnie, wstawiennictwu

i opiece świętego Eliana, bo to niemożliwe, aby nie było go przy Jihadzie w tej najbardziej krytycznej dla jego życia chwili.

Jak już wspomniałem, ojciec Jihad traktował swoją opowieść jako jedną z wielu opowieści wojennych, które krążą dzisiaj po Syrii. Nie czynił się bohaterem i to mnie chyba najbardziej uderzyło. Dlatego właśnie był nim naprawdę.

Jeszcze jedno w tej historii jest dla mnie ważne, a mianowicie – sposób odnoszenia się *abuny* Jihada do świętego Eliana. Nie miał wątpliwości, że jego przyjaciel pomógł mu w życiowej opresji i był mu za to wdzięczny. Wdzięczności tej nie manifestował głośno i wylewnie, bo prawdziwą przyjaźń pielęgnuje się w sercu, a nie wymachuje się nią przed oczyma innych. Był mu wdzięczny, bo święty mu pomógł i kwita. Kiedy trzeba, to o tym mówi, ale nie szuka okazji do tego, aby się tym popisywać.

Dobre układy z władzami

Przez cale trzydzieści lat funkcjonowania coraz bardziej popularnego i stale rosnącego w znaczenie ośrodka Mar Musa, stosunki z władzami państwowymi układały się dobrze. Ojciec Paolo otrzymywał bez przeszkód *ikame*, czyli wizę pobytową i bez jakichkolwiek przeszkód, jak każdy cudzoziemiec, otrzymywał jej przedłużenie. Wspólnota Mar Musa, jak już wspomniałem, była międzynarodowa i jednocześnie bardzo płynna, ponieważ sporo osób angażowało się tylko czasowo w życie klasztoru, by po odbytym „stażu" wrócić do normalnego życia.

Była to wspólnota bardzo mobilna, bo jej członkowie dużo podróżowali, zarówno po Syrii, jak i po sąsiedzkich krajach, głównie zaś po Libanie. Nie słyszałem, aby kiedykolwiek mieli jakieś kłopoty formalne w tym kraju, w którym inwigilacja policyjna była tak bardzo rozwinięta. Ci, którzy się starali o dłuższy pobyt, występowali o stosowne zaświadczenie podpisane przez przeora klasztoru do biskupa Nebek, nie napotykając na żadne komplikacje urzędowe.

Mar Musa było jednym z najbardziej uczęszczanych miejsc przez cudzoziemców w tym kraju. Dodajmy do tego, że było to miejsce,

gdzie zatrzymywali się oni często na kilka dni, a czasem i na dłużej. Swobodnie spotykali się tutaj z Syryjczykami. Rozmawiali, uczestniczyli w liturgii i wspólnie pracowali. Poznawali się wzajemnie, a czasem rodziły się również przyjaźnie. Mimo to funkcjonowanie klasztoru nie napotykało na trudności ze strony władz. Władze administracyjne i odpowiednie resorty rządowe ułatwiały nawet rozwiązywanie różnych problemów materialnych, nie stwarzając kłopotów i nie mnożąc przeszkód biurokratycznych. Budowa „miasteczka" Mar Musa obyła się niemal bez ingerencji państwowej. Domki były budowane nieustannie, jeden po drugim, powstało olbrzymie zamczysko domu rekolekcyjnego, *mazar*, domek pustelnika, garaże, budynki gospodarcze, zakład produkcji sera, kilka napowietrznych linii przenoszenia towarów tak zwany *teleferik*, mostek metalowy nad *wadi* i tamą, a potem jeszcze zbudowano sanitariaty u podnóża góry i halę przyjęć dla wycieczek i turystów. Na zbudowanie tego wszystkiego wystarczało sumaryczne pozwolenie na działalność ośrodka, nikt nie robił problemu z finansowaniem prac, kontrolą środków itd. Co więcej, *deir* Mar Musa otrzymał w darze od syryjskiego prezydenta Baszara al Asada szeroką, asfaltową drogę, stanowiącą odnogę głównej szosy z Nebek.

Z całą pewnością przychylność okazywana działalności *deir* Mar Musa nie tyle wynikała ze szczególnych walorów osobowości *abuny* Paolo, ile z ogólnej atmosfery życzliwości i zaufania dla tego wszystkiego, czym się zajmował i co czynił Kościół w Syrii, włączając w to pamiętną wizytę papieża Jana Pawła II. Była ona wielkim wydarzeniem, spotkaniem głowy Kościoła katolickiego z narodem syryjskim, a nie tylko z chrześcijanami. Po raz pierwszy,

w ramach przygotowań do tej wizyty, szeroko i systematycznie mówiono bardzo pozytywnie w mediach państwowych o chrześcijanach, podkreślając, że Syria jest ziemią początków Kościoła, a chrześcijaństwo przetrwało tutaj przez wszystkie okresy burzliwej historii tego regionu, dużo wniosło do skarbca kultury zamieszkujących te ziemie ludzi i nadal wiele wnosi. Papież był nadzwyczaj serdecznie witany, jako *baba romani*, czyli „ojciec rzymski", albo raczej „tatuś", bo *baba* to zdrobnienie od „ojciec" (*al ab*). Pewnie również z tej przyczyny było bardzo dużo „rodzinności" w spotkaniach z Janem Pawłem II, co bardzo pozytywnie odróżniało je od wszystkich innych wizyt oficjalnych gości.

Napięcie

Abuna Paolo stał się znaną osobistością i to nie tylko w Syrii i na całym Bliskim Wschodzie, ale również na arenie międzynarodowej. Stało się tak z powodu Mar Musa oczywiście, ale również dzięki jego działalności naukowej i publicystycznej, dzięki licznym konferencjom i spotkaniom, i to w bardzo różnorodnych gremiach. Najbardziej jednak pociągały go kontakty ze światem muzułmańskim i trzeba przyznać, że miał do tego doskonałe przygotowanie oraz talent. Jego publikacje były bardzo dobrze przyjmowane nawet przez bardzo wybredne środowiska intelektualistów francuskich. Prawdziwym tryumfem był podwójny honorowy doktorat uniwersytetu w Lovanium. Największe echo przyniosła mu książka *Amoureux de l'islam, croyant en Jesus* (*Zakochany w islamie, wierzący w Jezusa*), chociaż spotkała go za nią również krytyka. W bardzo błyskotliwy i teologicznie głęboki sposób mówił ojciec Paolo o swoim dylemacie, który polega na fascynacji islamem, oraz pełnej apostolskiej pasji wierze w Jezusa Chrystusa, obecnego w Kościele. Co prawda, bardzo błyskotliwie ten dylemat godził przez dialektykę „zakochania" i „wiary", ale ta dialektyka budzi również, przynajmniej u niektórych, opór i wydaje się im nieszczera.

Jedni podejrzewają go o stanowisko krypto muzułmańskie, inni natomiast oskarżają go o „jezuicką" taktykę rozbrajania przeciwnika, aby przeciągnąć go potem na swoją stronę.

Zdaje się, że ten ambiwalentny stosunek do misji pełnionej przez o. Paolo nie tylko zawsze mu towarzyszył, ale w miarę jej rozwoju, zwiększyło się również owo napięcie, przybierające czasem postać formalnych zarzutów, na które zawsze odpowiadał z wielką swadą urodzonego polemisty.

Wywierano na niego również presję, aby wypowiadał swoje zdanie w różnych kwestiach, które odbiegały od problemów *stricte* teologicznych. Coraz częściej były to uwagi odnoszące się do sytuacji międzynarodowej i do tego, co się dzieje w Syrii. Orientował się też dobrze, że po śmierci prezydenta Hafeza al Asada, za rządów jego syna Baszara, nastąpiła pewna liberalizacja życia gospodarczego i politycznego. Niewątpliwie w jego sposobie patrzenia na problemy społeczne odgrywała jakąś rolę słynna zasada, przyjęta na jednej z kongregacji generalnych przez jezuitów, że cała ich misja ma się ogniskować wokół promocji wiary i służby sprawiedliwości.

Istotne były też pewne zdarzenia, takie jak konflikt o. Paolo z pewnym wpływowym hierarchą Kościoła i napięcia z niektórymi wysoko postawionymi urzędnikami państwowymi, czego rezultatem był zakaz budowy rozpoczętego już schroniska dla pielgrzymów i nowoczesnego centrum spotkań u podnóża góry Mar Musa. Zabroniono też potraktowania klasztoru jako stacji międzynarodowej pielgrzymki abrahamicznej, z miasta Ur do Jerozolimy. Zdjęto również z programu kilka sympozjów i konferencji, które się miały odbyć w *deir* Mar Musa. Najboleśniej

został dotknięty o. Paolo decyzją cofnięcia autoryzacji dla stworzenia ekologicznej strefy ochronnej, obejmującej szerokie tereny pustynne wokół klasztoru. Stworzyło to zagrożenie zagospodarowywania i zabudowywania terenów w pobliżu klasztoru przez różne podmioty prywatne, co mogło kolidować z funkcją, jaką spełnia klasztor. Do tego zaczynały dochodzić coraz mocniej głosy o „wiośnie arabskiej", burząc zwyczajne życie mieszkańców Syrii.

Dojrzewanie konfliktu

Wydarzenia nagle przyspieszyły z nastaniem „arabskiej wiosny". Poglądy mieszkańców Syrii zaczęły się szybko radykalizować. Ruszyła niespotykana dotąd machina propagandowa. Prym wiodła mająca szeroką oglądalność telewizja Al Jazira, ale nie ustępowała jej również BBC, ani treściowo, ani poziomem prowadzenia medialnej kampanii. Wspierał je światowy *mainstream* opiniotwórczy.

Telewizji syryjskiej zamknięto dostęp do komunikacji satelitarnej. Twierdzono, że jest to sankcja za jej jednostronność, czyli brak demokracji. Ojciec Paolo znalazł się w oku medialnego cyklonu. Najpierw reagował ostrożnie, nie chcąc nikogo prowokować. Stanowił ważne odniesienie krytyczne, szczególnie za granicą, gdzie był znany z różnych forów, na których występował jako przeor Mar Musa oraz sztandarowa postać dialogu z islamem. Był do tego przygotowany, powiedzielibyśmy, profesjonalnie, ale ważną rolę odgrywały też jego walory osobiste.

W Syrii klasztor Mar Musa był znany z wrażliwości na głosy ze świata, szczególnie zaś te, które dotyczyły kwestii niesprawiedliwości, a więc prześladowań, wyzysku i wojen. Modlitwy w Mar Musa nie były nigdy rutynowym wznoszeniem

pokojowych intencji, ale jednocześnie informowały o zdarzeniach i formułowały opinię na ich temat. Uwrażliwiało to uczestników modlitwy na wydarzenia światowe, budziło pytania i rodziło refleksje. W naturalny sposób tworzył się klimat sprzyjający dialogowi i rzeczywiście miał on miejsce w Mar Musa.

W związku z sytuacją na Bliskim Wschodzie, a głównie z wydarzeniami w Syrii, dialog stał się potrzebą chwili. Znamienne było dla mnie przeżycie, którego doświadczyłem na jednym z europejskich lotnisk transferowych. Po raz pierwszy usłyszałem wówczas prawdziwą debatę polityczną Syryjczyków. Młody chłopak odważnie wyrażał swoje poglądy, nie bojąc się starszych od niego dyskutantów, pomimo tego, że wyglądali oni na oficjalne osobistości. Ciekawe, że nie szukali oni argumentów siłowych, mogących go zastraszyć, ale operowali argumentami, w które wierzyli. To nie była próba indoktrynacji partyjnej i nie była też próba spacyfikowania przeciwnika. Widziałem, że zależało im na tym, aby chłopak ich zrozumiał, a nie uciszył się i przestał odzywać. Oni rzeczywiście traktowali poważnie to, o czym mówił. Starali się być rzeczowi. Obie strony słuchały się wzajemnie, a nie tylko atakowały. Nie ukrywałem tego, że ich słucham. Nie musiałem. Zorientowali się, że znam język arabski, i że ich rozumiem, a mimo to nie wyczuwałem z ich strony żadnego skrępowania. Prowadzili swoją dyskusję nadal. Aż trudno mi było uwierzyć w to, co widziałem i słyszałem. Tyle optymizmu dało mi to zdarzenie.

Niestety, taka pokojowa wymiana poglądów była czymś rzadkim. Nie udało się w Syrii zaproponować formy dialogu, który miałby szerszy zasięg społeczny. Doszło od razu do konfrontacji. Na atak

odpowiadano atakiem, na propagandę – propagandą. Szybko też „zadbano" o to, aby polała się krew i niestety usłużnie udzielono pomocy w tym względzie Syryjczykom, a nawet bardzo chętnie zaczęto ich w tym wyręczać, w efekcie zaczęła oddalać się coraz bardziej możliwość pojednania narodowego.

Każdy dzień niósł ze sobą mnóstwo nowych tragicznych faktów i całą masę komentarzy. Coraz wyraźniej jawiła się konieczność jakiegoś intelektualnego ich uporządkowania, aby móc zająć właściwą postawę wobec tego, co się działo. Tym bardziej, że zglobalizowana, medialna propaganda działała jak walec drogowy. Nie wiadomo było, kto mówi prawdę, a kto kłamie, jakie fakty są prawdziwe, a jakie są przejawem manipulacji.

Zamiast szukać prawdy i na niej budować spojrzenie na rzeczywistość oraz opierać wszelkie działania, przyjęto propagandową zasadę, że najważniejsza jest opcja polityczna i dopiero w oparciu o nią ustala się, co jest prawdziwe, a co nie. Prawda stała się instrumentalna. Nie pełniła roli arbitra potrzebnego do tego, aby w sposób obiektywny uporządkować rzeczywistość i przygotować grunt do porozumienia, stała się ona prywatną własnością określonej ideologii, służąc skutecznej walce z przeciwnikiem i zjednywaniu sobie jak największej liczby sprzymierzeńców. W ten sposób, stopniowo głównym problemem przestało być to, w jaki sposób kraj ma być urządzony, ale to, kto będzie go urządzał.

Kiedy polała się krew, doszło już nie tylko do dalszej polaryzacji stanowisk, ale też do ostrych podziałów społecznych, a krytyka czy kontestacja przybrały formę wrogości i przeszły w stadium otwartej wojny. Ohyda niewiarygodnych wprost aktów terroru

sprawiła, że wrogość przerodziła się w nienawiść i wolę nie tyle pokonania, co eksterminacji znienawidzonego przeciwnika.

Na szczęście nie odnosiło się to do ogółu ludności. W dalszym ciągu istniały regiony, gdzie przedstawiciele walczących ze sobą stron mieszkali razem, dbając o to, aby nie dopuścić do konfliktu. Sunnici, alawici, druzowie, Kurdowie i chrześcijanie mieszkają tam razem, to znaczy po sąsiedzku, wspólnie pracują, korzystają z komunikacji miejskiej, urzędów i placówek handlowych. Oczywiście ten kontakt stał się dużo mniej spontaniczny, bo jest w nim więcej dystansu i nieufności.

Stoimy dzisiaj przed bardzo istotnym pytaniem: jak mocna i jak szeroka jest wiara Syryjczyków w możliwość osiągnięcia pojednania narodowego i w jakim stopniu są oni zdolni do przeciwstawienia się logice wyniszczającej wojny teraz, gdy ona rozwija się z tak przerażającą siłą? A wojna domowa, to wojna między sąsiadami. Oznacza piekło nieustającego zagrożenia i ciągłych ofiar. Ofiary domagają się bowiem zemsty, a zemsta pomnaża liczbę ofiar, domagając się krwawego odwetu, odwet zaś produkuje nowe ofiary i to na ogół wśród niewinnych... aż do zniszczenia ostatniego wroga, czyli do całkowitej eksterminacji. Taka jest logika bratobójczej walki.

Trzeba zauważyć również inne postawy, które świadomie ignoruje bezwzględny etos wojny, i o których nie mówi się w polityce. Te postawy jednak są i wcale nie wynikają ze strachu przed represjami. Polegają one na sięgnięciu do głębi duszy człowieka, do samych korzeni jego człowieczeństwa, aby dzięki temu oprzeć się bezwzględnej nienawiści i nie zburzyć ostatnich mostów ludzkiej solidarności i wzajemnego szacunku. Pośród tej

burzy krzywd i nieustannego strachu o siebie i bliskich, odzywa się bowiem w człowieku mroczna i zabójcza siła nienawiści, ale budzi się też jakieś fundamentalne pragnienie, jakieś zupełnie podstawowe przeświadczenie moralne, że nienawiść nie powinna zapanować nad człowiekiem, że nie można jej ulec bez reszty, bo choć podsyca ducha bojowego, to jednak jej trucizna zabija serce wojownika i czyni go pokonanym, chociażby militarnie wygrał.

Czasem, w tych okropnych okolicznościach wojny, człowiek zaczyna rozumieć, że właśnie w ten sposób oddaje w sposób najbardziej autentyczny cześć prawdziwemu Bogu. To On przecież obdarował go zmysłem moralnym i żadne racje ideologiczne nie mogą tego w człowieku zniweczyć bez targnięcia się na suwerenny autorytet Boga. Nawet odwołanie się do nakazu wiary, wyrażone formalnym wezwaniem duchownego, nie może zmienić tego stanu rzeczy. Co więcej, byłaby to próba nie tylko nieposłuszeństwa wobec Boga, ale wręcz zamach na Jego Bóstwo. Byłby to akt bluźnierstwa. Postawienie się ponad Bożym majestatem i posłużenie się Jego świętym Imieniem dla realizacji celów człowieka. Realizowana byłaby wówczas nie Jego Boska wola, ale dano by ten autorytet ludziom zepsutym, chciwym bogactw i władzy. Inspirowanie i popieranie takich ruchów to wszczynanie i popieranie herezji, a właściwie apostazji.

Takie jest właśnie oblicze Antychrysta, który działa na świecie, podając się za wiernego sługę Boga i wybawiciela ujarzmionych. Symulowane posłuszeństwo Bogu i pozorowane posłuszeństwo Jego woli jest gorsze od jawnej rebelii. Wymuszanie zaś posłuszeństwa, jest szatańskim aktem gwałtu zadawanego duszy ludzkiej i pozbawianiem jej wolności wewnętrznej, która stanowi

istotę człowieka. Nie ma zbrodni większej nad tę, gdy się zabija nie tylko człowieka, ale dąży się do zabicia również jego człowieczeństwa. Sądzę, że na tym właśnie polega dzieło Antychrysta...

Katastrofy

Zanim niepokoje społeczne przyjęły formę wojny domowej, utrzymywała się atmosfera niepewności. Rzutowało to na życie w Mar Musa. Przestały pojawiać się wycieczki, przestali odwiedzać klasztor turyści i mało było przychodzących tutaj pielgrzymów. Zniszczono linię kolejową, która biegła przez pustynię a ruch na drogach stał się niebezpieczny. Ciągle słychać było o nowych porwaniach osób i olbrzymich sumach, które trzeba było płacić za ich uwolnienie, przy czym nie zawsze zwracany był zakładnik, a nieraz powracał on chory, poraniony, zmaltretowany psychicznie. Mówiło się o przypadkach, gdy zwracano rodzinie trupa albo inkasowano pieniądze i na tym kończyła się cała sprawa.

Paradoksalnie, w czasie, w którym Mar Musa pogrążył się w milczeniu, wiodąc samotne życie na pustkowiu gór Kalamun, *abuna* Paolo intensywnie spotykał się z różnymi gremiami i osobami, które chciały włączyć się w przemiany, jakie zapowiadała rozpoczynająca się rewolucja. Był dyskutowany dość szeroko w Syrii zarys reform politycznych, których autorem był *abuna* Paolo. Starał się połączyć demokrację z realiami trybalności społeczeństwa syryjskiego. Jego profil polityczny zaczął się coraz wyraźniej plasować po stronie *muaridin*, czyli przeciwników

oficjalnego rządu w Damaszku i w miarę rozwoju wypadków stawał się coraz bardziej wyraźnie związany z opozycją.

Jednocześnie jego wypowiedzi i stanowisko kontrastowały coraz bardziej ze stanowiskiem biskupów syryjskich. Miało też jakiś wpływ na oficjalne stanowisko jezuitów pracujących w Syrii, którzy wydali komunikat solidaryzujący się z ogólnym dążeniem Syryjczyków do opanowania korupcji w kraju i do większego demokratycznego otwarcia. Komunikat ten był bardzo dobrze przyjęty przez chrześcijan, włącznie z hierarchią kościelną, i przez szerszą opinię publiczną w kraju, gdyż dystansował się od wiernopoddańczych aktów całkowitego poparcia dla aktualnej władzy, podkreślając jednocześnie konieczność reform. Nie było to jednak pełne opowiedzenie się po stronie „rewolucji", która od pierwszego momentu swego istnienia stawiała warunek ustąpienia prezydenta Baszara al Asada ze stanowiska jako wstęp do dalszych rozmów na temat demokratycznych zmian w kraju, co samo w sobie było mało demokratycznym stanowiskiem. Było to stałe żądanie wysuwane pod adresem Syrii przez Zachód.

Komunikat jezuitów dawał chrześcijanom pewną swobodę manewru. Manifestował ich gotowość do przyjęcia tych rozwiązań, które uznają za słuszne sami Syryjczycy, nie wiążąc się na śmierć i życie z prezydentem Baszarem, ani też nie żądając jego ustąpienia jako wstępnego warunku do wprowadzenia przemian politycznych w Syrii. Opowiadali się za zmianami, ale przeprowadzanymi w sposób pokojowy.

Stanowisko ojca Paolo było jednak znacznie bardziej przesunięte w kierunku poglądów politycznych reprezentowanych przez tak zwaną opozycję demokratyczną, a potem przez zbrojną rebelię.

Było ono nagłaśniane przez media zachodnie, gdyż korespondowało doskonale z wizją polityczną „wiosny arabskiej", którą popierał Zachód.

Ojciec Paolo został wezwany przez władze zakonne do ograniczenia swojej działalności, ale już wtedy był osobistością tak znaną, że nawet gdyby posiadał szczere pragnienia wycofania się z działań publicznych, trudno byłoby mu to uczynić z powodu nacisków współpracowników. W końcu doszło do tego, że otrzymał ultimatum ze strony władz państwowych, zobowiązujące go do przerwania aktywności politycznej, a w przypadku braku porozumienia w tej sprawie, ojciec Paolo musiałby opuścić Syrię. I tak się właśnie stało. Posiadał już wówczas olbrzymią popularność wśród syryjskich sunnitów, a więc znacznej większości muzułmańskiej w tym kraju. Stał się również gwiazdą medialną na Zachodzie, gdyż oprócz tego, że był znanym przedstawicielem opozycji syryjskiej, to jeszcze księdzem, przeorem klasztoru Mar Musa. Jak już wspomniałem, jego twierdzenia różniły się zasadniczo od tego, co mówili biskupi syryjscy. W pewnym sensie *abuna* Paolo był człowiekiem, dzięki któremu łatano dziurę powstałą w wyniku mało demokratycznego ignorowania przez media zachodnie głosu biskupów syryjskich.

Chętnie zapraszano go na różne spotkania i chętnie przeprowadzano z nim wywiady, ponieważ jego głos dobrze pasował do poprawnej politycznie opcji zachodnich mediów. Oczywiście nie było celem ojca Paolo, aby popierać te media czy te opcje. W jego przekonaniu korzystał on ze sposobności, jaką dawał mu dostęp do światowych mediów, aby słuszną sprawę

rozwiązania konfliktu syryjskiego skutecznie doprowadzić do szczęśliwego finału.

Polityka jest jednak zawsze wielowarstwowa i nie wszystko w niej jest widoczne od razu. Niektóre jej warstwy specjalnie się wycisza albo wręcz ukrywa, eksponując inne, które w danym momencie stają się bardziej wygodne. Trudno albo wręcz niemożliwe jest, aby wszystko przewidzieć i to, kto kogo wykorzystał, zwykle okazuje się znacznie później. W każdym razie ojciec Paolo, jako ważna postać opozycji syryjskiej, zapraszany był na główne spotkania opozycji organizowane przez Zachód, który chciał stworzyć z niej zwartą siłę polityczną. Opozycja jednak szybko skłóciła się wewnętrznie i stała się raczej fantomem aniżeli realną siłą polityczną, szczególnie gdy pojawiły się obce bojówki a potem szersze siły rebelianckie działające na terenie Syrii. Grupa tych polityków straciła wówczas wszelkie znaczenie, bowiem wojskowi zupełnie się z nimi nie liczyli.

Ojciec Paolo dotarł nawet do ONZ i tu złożył deklarację o godziwości i potrzebie interwencji wojskowej w celu zakończenia konfliktu w Syrii. W tym czasie cała jego działalność i reprezentowane przez niego poglądy boleśnie rozminęły się z poglądami i stanowiskiem biskupów syryjskich oraz zdecydowanej większości syryjskich chrześcijan. Nie pomogła jego kampania humanitarna organizowana w obozach uchodźców i transmitowana przez prywatne kanały telewizji, gdzie słuchał ich smutnych opowieści, i gdzie próbował goić rany społecznych rozdarć. Chrześcijanie nieufnie odtąd patrzyli na postać ojca Paolo i zapytywali: co się stało i dlaczego on zajmuje takie stanowisko?

Zbyt mało jest to zrozumiałe dla mnie samego, aby występować teraz w roli analityka jego postaw. Wydaje mi się, że jeden element jest decydujący: powołanie ojca Paolo i jego misja skoncentrowana na dialogu z islamem. Wszystko, co robił, podporządkowywał temu celowi. Nawet budowę *deir* Mar Musa i formowanie zakonnej wspólnoty. Cały ten projekt podporządkowany był owemu principium, stanowiącemu zasadniczy element jego zakonnej tożsamości. Dawał temu wyraz niemal w każdym oficjalnym działaniu i w kontaktach o charakterze prywatnym. O tym mówiły jego publikacje naukowe i jego książki, odnoszące się do duchowości. Tym elementem przesiąknięta była jego działalność duszpasterska i spotkania z jezuitami. Dialog z islamem to jego powołanie i jego nieustające marzenie, które starał się zrealizować. Zgodnie ze swoją naturą robił to z gwałtownością pasjonata, z wielką odwagą i poświęceniem.

Dialog z islamem to dla niego przede wszystkim relacje z sunnitami, choćby dlatego, że jest ich w Syrii znakomita większość, około 70% ogólnej liczby ludności, podczas gdy muzułmańskich alawitów jest zaledwie jakieś 10%. Ojciec Paolo miał bardzo dobre kontakty z duchowną i świecką elitą sunnicką. Dawał temu wyraz przez częste wizyty, które czasem odbywały się również w meczetach, a także w swoich publikacjach, zawsze bardzo życzliwych islamowi. Ukazywały one jego głęboką znajomość tej religii, jej prawa, teologii, mistyki. Najbardziej wymowne będzie tutaj zacytowanie tytułu jego książki, co już wcześniej uczyniłem: *Zakochany w islamie, wierzący w Jezusa*. W pewnym sensie stanowi to hermeneutyczne motto dobrego rozumienia osobowości ojca Paolo.

Trzeba jednak uważać, by nie skrzywdzić ojca Paolo łatwymi sądami – jeśli chodzi o kwestie wiary i moralności zawsze był on wierny nauczaniu Kościoła. Kontynuując swoją myśl, chciałbym dodać, że ojciec Paolo, jako gorący zwolennik inkulturacji, propagował ją nie tylko słowem, ale również i czynem. Chciał być blisko Syryjczyków w tym, co robili, z czym się zmagali, co chcieli zbudować. Krąg bliskich mu osób to w dużej mierze muzułmańscy sunnici. Spotykał się z nimi i dzielił wespół z nimi troskę o przyszłość Syrii. Ich poglądy w dużej mierze pokrywały się z tym, co na Zachodzie nazywa się demokratyzacją, prawami człowieka, wolnością osobistą i innym szlachetnymi ideami.

Domagał się zatem sprawiedliwości społecznej wspólnie z przyjaciółmi sunnitami, starając się w ten sposób dać dowód swojej lojalności i swojej szczerej troski o przyszłość ich kraju. Pomagał im, jak umiał najlepiej. Poświęcił się tej działalności całkowicie, jako chrześcijanin i jako zakonnik, sądząc, że daje w ten sposób szansę większego zaakceptowania Kościoła przez islam i dostrzeżenia w nim swego sprzymierzeńca.

Postawa ta nie mogła nie zradykalizować się w miarę rozwijania się konfliktu i komplikowania teatru działań wojennych.

Niewątpliwie wielkim zaskoczeniem było utrzymanie się przy władzy prezydenta Baszar al Asada. Sądzono, że podobnie jak prezydent Mubarak w Egipcie czy Kadafi w Libii, również prezydent Syrii w krótkim czasie zostanie zmieciony ze sceny politycznej przez większość sunnicką dzięki pomocy, jakiej udzielał jej Zachód przez propagandę medialną, finanse i broń. Nie podejrzewano pewnie, że Rosja okaże się na tyle silna, by – mając poparcie Iranu i Chin – skutecznie wspierać reżim syryjski. Teatr

działań bojowych w Syrii zaskoczył zróżnicowaniem etnicznym, wielkim udziałem bojowników z zagranicy. Nikt chyba nie przypuszczał, że wkrótce dominującą rolę zaczną odgrywać fundamentaliści islamscy, nie reprezentujący tak zwanej opozycji syryjskiej i nawet nie usiłujący się z tym kamuflować. Wraz z ustanowieniem Państwa Islamskiego stało się to nad wyraz widoczne.

Ojciec Paolo wspierał opozycję syryjską i jej zbrojne ramię, Wolną Armię Syryjską. Po zdobyciu przez nią miasta Rakka, położonego nad Eufratem, zaczęto w nim instalować nową, rewolucyjną władzę. Został tam zaproszony również ojciec Paolo, jako honorowy gość. Wtedy przyszła zaskakująca wiadomość. Paolo został uprowadzony przez zbrojną bojówkę i wszelki ślad po nim zaginął. Ucichł jego telefon komórkowy, skończyły się nagle jego maile do przyjaciół. Od tej chwili zapadło głuche milczenie.

Nikt nie wie, ani kto go uprowadził, ani dokąd został uprowadzony. Pojawiło się mnóstwo różnych teorii. Według jednych został zabity, a według innych jeszcze żyje. Różnorodne spekulacje zamiast rozświetlić sprawę, spotęgowały tylko zaistniały chaos.

Podobnie rzecz ma się z uprowadzeniem dwóch biskupów prawosławnych w okolicach Aleppo przed dwoma laty. Macierzysty zakon *abuny* Paolo wydał komunikat stwierdzający tylko fakt jego uprowadzenia i na tym koniec. Żadnych sugestii odnośnie tego, kto mógł tego dokonać.

Zwraca jednak uwagę pewna okoliczność. Ojciec Paolo był zaproszony przez władze miasta Rakka jako ich oficjalny gość, nie pojechał tam jako prywatna osoba. Był zatem „na widoku

publicznym” i w interesie publicznym powinno być uchronienie go przed ewentualnością porwania, a jeśli do niego doszło – podjęcie kroków w celu uwolnienia uprowadzonego. Jak to zatem możliwe, że nie wszczęto dochodzenia w tej sprawie? Dlaczego nie wytłumaczono tego światu, który znał o. Paolo i który się o niego upominał? Dlaczego zapanowało wokół jego porwania tak głębokie milczenie? Jeżeli jakimś nieprawdopodobnym sposobem uczynili to agenci prezydenta Baszara, to przecież stanowiłoby to doskonalą okazję, aby go zdyskredytować i wygrać politycznie na tym zdarzeniu, pokazując światu brutalne zachowanie znienawidzonego tyrana. Milczenie władz miasta Rakka każe przypuszczać, że do tego milczenia zostali zmuszeni, a uczynić to mógł tylko ktoś, kto jest od nich silniejszy i posiada odpowiednio duży autorytet, aby to uczynić. Ponieważ Rakka została włączona przez fundamentalistów islamskich do nowego tworu politycznego, noszącego nazwę Państwa Islamskiego, wydaje się, że tam należy szukać wiedzy o tym, co stało się z ojcem Paolo.

Opuścić czy pozostać?

Tytuł tego rozdziału pochodzi z listu dr. Nabila Antaki, który został opublikowany w znanym dzienniku bejruckim „L'Orient-Le Jour", 4 września 2014 r. Doskonale przedstawia on zasadniczy dylemat, przed którym stoją teraz chrześcijanie syryjscy, chociaż nie jest to wyłącznie ich dylemat. Doświadcza go również wielu muzułmanów. Wielu Syryjczyków już opuściło kraj albo starają się to uczynić, jeśli tylko znajdzie się ku temu sposobność. Chrześcijanie i inne mniejszości religijne mają szczególne ku temu powody, z uwagi na barbarzyństwo terrorystów Państwa Islamskiego.

Posługuję się listem dr. Nabila Antaki, gdyż znam go osobiście i cenię jako dobrego lekarza, ale przede wszystkim jako znanego działacza społecznego, który ze swoją żoną, w sposób zorganizowany i we współpracy z dużą rzeszą wolontariuszy, zajmował się niesieniem pomocy ubogim mieszkańcom Aleppo. Teraz, w czasie wojny, ta sfera ich działalności stała się o wiele bardziej rozległa. Jest on również cenionym konferencjonistą, który niezmordowanie przypomina rzeszom słuchaczy historię, artystyczne piękno i powołanie miasta Aleppo.

Lettre d'Alep: quitter, rester?

par Nabil Antaki

in L'Orient-Le Jour des 4 et 5 septembre 2014

Pozostać czy opuścić kraj? Jest to centralny dylemat, przed którym stoją obecnie Syryjczycy, a szczególnie mieszkańcy Aleppo. Co robić? Przeciwstawić się presji? Pozostać pomimo tego wszystkiego, co się dzieje wokół nas? Pozostawić wszystko, co się posiada i zacząć życie od zera?, ale gdzie?, ale jak? (...).

Dla wielu osób nie jest ważne to, gdzie się udadzą. Ważne, aby mogli tam bezpiecznie dotrzeć i żyć w pokoju. Cierpliwość ludzka jest bowiem na wyczerpaniu. Minęły już trzy lata, jak trwa konflikt syryjski (192 tysiące zabitych i miliony bezdomnych i uciekinierów) i nie widać na horyzoncie żadnego rozwiązania. Kolejność zdarzeń jest taka, że najwięksi nawet optymiści tracą nadzieję. Szczególnie ciężkie okazało się kilkutygodniowe oblężenie miasta przez rebeliantów, związane z całkowitym odcięciem dopływu wody, które trwało przez ponad dwa miesiące i dla odmiany, z deszczem pocisków z haubic i moździerzy, który siał śmierć wśród cywilnej ludności i mnożył rannych...

Najgorszy jednak jest strach, który wywołuje banda dzikusów, którzy zawładnęli terytorium wschodniej Syrii i północnego Iraku, w celu zaprowadzenia tam rządów państwa kierującego się prawem muzułmańskim, które nie ma nic wspólnego z islamem. Jest to banda w dużej mierze złożona z cudzoziemców, z którymi nasi muzułmańscy współobywatele wcale się nie identyfikują, banda, która ludziom podrzyna gardła, odcina im głowy (nie tylko dziennikarzom amerykańskim), krzyżuje, aby umierano w strasznych agoniach, kamienuje tak zwane kobiety cudzołożne, wymierza karę chłosty (na przykład palącym papierosy), grzebie żywych ludzi w ziemi, sprzedaje kobiety w niewolę... Lista wszystkich tych barbarzyństw i okrucieństw jest zbyt długa, aby mogła zostać wyliczona w tym liście w całości. Całkowitą katastrofą dla nas jednak okazał się los chrześcijan mieszkających w Mosulu i Quaraqosh, oraz los innych „mniejszości" religijnych (takich samych Irakijczyków jak muzułmanie iraccy, na przykład jazydów). Głównie te wydarzenia sprawiły, że Syryjczycy zdecydowali się opuścić ich kraj rodzinny. Postawieni przed wyborem: przejść na islam albo ponieść śmierć, wielu wybrało trzecie rozwiązanie, to znaczy ucieczkę, opuszczając ziemię ich przodków, ziemię, gdzie są ich wiekowe korzenie, ziemię

ich historii, nie mogąc przy tym niczego zabrać ze sobą, nawet pierścionka ślubnego i choćby małej sumy pieniędzy. Zabijani byli podczas ich ucieczki, podobnie jak to miało miejsce w roku 1915, podczas otomańskiej rzezi dokonanej na Ormianach (...).

Sprawujący władze w krajach zachodnich uznali obcięcie głowy dziennikarzowi amerykańskiemu za akt barbarzyński. Trzeba im jednak przypomnieć, że wszystkich zbrodni, które dzieją się u nas, dopuszcza się ta sama dzicz, która była przez nich i ich politycznych wspólników wspierana, finansowana i chroniona, pod pretekstem niesienia Syryjczykom wolności i zaprowadzenia demokratycznych rządów w ich państwie. Czyniono to w kontekście bardzo romantycznego planu politycznego, nazwanego „wiosną arabską", która była poprzedzona hasłami „konstruktywnego chaosu" i „nowego Bliskiego Wschodu". Zadziwiające, że owa dzicz, gdy dokonywała swych zbrodni w Syrii była określana przez Zachód jako powstańcy albo bojownicy wolności. Dopiero, gdy niektórzy z nich przekroczyli granicę Syrii i znaleźli się w Iraku, dokonując tam zbrodni, dopiero wtedy otrzymali miano barbarzyńców i terrorystów (...).

Zasadnicze pytanie jest następujące: jaka jest przyszłość chrześcijan w Iraku? Należy ich wygonić z tego kraju czy zlikwidować? Ich pielgrzymka i ich droga krzyżowa zapowiada się na długą, a ciężar, który dźwigają, jest ogromny. Skandalem jest to, co dzieje się z chrześcijanami irackimi. Brakuje jedynie obozów koncentracyjnych, aby plan wykorzenienia chrześcijaństwa z tego regionu sięgnął diabolicznej pełni. Gdy delegacje polityczne i kościelne zbierają się na narady, wygonieni ze swoich domów chrześcijanie iraccy nocują w namiotach albo na placach publicznych. Pomimo wszystkich dramatycznych apelów, które są czynione, sytuacja uciekinierów się nie zmienia. Nadal nie mają schronienia ani opieki. A teraz, proszę zamienić słowo Irak na Syria, oraz Irakijczycy na Syryjczycy i wówczas wszystko zrozumiecie. Niniejszy list posiada datę 1 września. Jest to szczególne święto dla Syryjczyków, to dzień świętego, którego czci się tutaj wyjątkowo uroczyście. Chodzi o świętego Szymona Słupnika, który w V wieku żył 42 lata siedząc na szczycie 18-metrowej kolumny. Wybrał taki żywot, jak głosi tradycja, aby być bliżej Boga. Oby nasza ofiara i nasza kalwaria nie trwały tak długo.

Czytając ten list mam wrażenie, że dotykam jakiegoś absurdu czegoś nierzeczywistego, jakiejś parodii rzeczywistości. Pamiętam przecież miasto Aleppo dobrze. Mieszkałem w nim ponad 10 lat. Pracowałem tam i mam po dziś dzień wielu przyjaciół. Niektórzy z nich zostali zmuszeni przez warunki wojenne do ucieczki z miasta, szczególnie chodzi tu o ludzi znanych i zamożnych, gdyż im i ich rodzinom szczególnie zagrażały bandy porywaczy, chcące się bogacić żądaniami okupu od rodziny za darowanie życia. Często okup jest rujnujący, szczególnie w warunkach, gdy rynek kupna i sprzedaży nie funkcjonuje normalnie. Często wymaga to wielkiej ofiary całej rodziny, aby zadowolić chciwość porywaczy, a nigdy nie ma pewności, że po zapłaceniu wymaganej sumy pieniędzy, ofiara zostanie rzeczywiście zwolniona. Zdarzało się, że owszem, zwracano osobę, ale była ona martwa, albo chora, wyniszczona przez warunki jej przetrzymywania. Czasem była torturowana, aby móc przesłać nagranie z jej krzykiem rodzinie. Były też przypadki pozostawienia trwałej pamiątki po porwaniu, polegającej na wstrzyknięciu w ciało ofiary ropy naftowej.

Pamiętam dawną żywotność tego miasta, ulice pełne samochodów i przechodniów, sklepy przepełnione towarami wychodzącymi na ulice. Pamiętam kawiarnie i restauracje pełne klientów, i to nawet wtedy, gdy zaczęła się już wojna i wiadomo było o tragedii chrześcijan w Homs. Nawet wtedy moi chrześcijańscy przyjaciele przekonywali mnie, że mamy do czynienia z fenomenem o zasięgu tylko lokalnym, i że w krótkim czasie porządek zostanie przywrócony. Twierdzono powszechnie, że w Syrii wojna jest niemożliwa, bo siły bezpieczeństwa są doskonale zorganizowane i bardzo skuteczne, a ponadto wszyscy

Syryjczycy widzieli, co się stało z Irakiem, przecież ponad milion uciekinierów z tego kraju znalazło schronienie w syryjskich miastach. Nikt w Syrii nie życzył sobie powtórzenia tego samego scenariusza. Wydawało się, że ich opinie są słuszne, patrząc na żywotność gospodarczą tego miasta pomimo zachodniego embarga ekonomicznego.

W Aleppo ciągle budowano nowe domy i nowe drogi. Bezrobocie miało relatywnie małe rozmiary, a co za tym idzie, nie było konieczności ekonomicznej, aby przyłączyć się do rozruchów, które wiązały się z gratyfikacjami pieniężnymi. Protest, który media światowe nazywały pokojowym, od początku finansowany i sterowany był przez wielką politykę. Stanowił tylko wczesną fazę znacznie szerszego planu, który miał w swojej perspektywie również działania zbrojne. Wykorzystany też został idealizm, szczególnie młodego pokolenia, tak chętnie eksponowany przez media, aby przekonać światową opinię publiczną do poparcia prowadzonej tam polityki. Jak zwykle, dały o sobie znać również różne fobie i awersje społeczne, które były skutecznie pompowane w celu doprowadzenia do konfliktu i do takiego okrucieństwa, by żadna myśl o pojednaniu nie była już możliwa.

Aleppo pełniło zawsze ważne miejsce na mapie Kościoła w Syrii, bo są tutaj obecne wszystkie główne ryty istniejące na Wschodzie. Miasto to jest stolicą siedmiu biskupstw. Kościoły te były nad wyraz żywotne. Nieustannie odbywały się w nich, oprócz liturgii, spotkania różnych wspólnot, grup i ruchów.

Bardzo dbano o świątynie, o ich wystrój i wyposażenie, tym bardziej, że państwo opłacało rachunki za wodę i elektryczność wszystkich budynków sakralnych, zarówno muzułmańskich, jak

i chrześcijańskich. Korzystanie z energii elektrycznej było darmowe, nic zatem dziwnego, że często instalowano w nich urządzenia grzewcze i klimatyzacyjne.

Świątynie cieszyły się zawsze wielką frekwencją wiernych, a chrześcijanie z dumą nosili krzyżyki na piersi, nie będąc z tego powodu obrażani czy dyskryminowani.

W miesiącu maju w dzielnicach chrześcijańskich widać było mnóstwo kobiet, które ubierały się w strój Najświętszej Marii Panny, jakim zwyczajowo była niebieska długa suknia z niebieską chustą na głowie. Wyglądało to jakby nagle na ulicach miasta pojawiło się całe mnóstwo sióstr zakonnych, jakiegoś dziwnego zgromadzenia, w którym oprócz dojrzałych matron alepińskich było bardzo dużo młodych dziewczyn a czasem również małych dziewczynek. Strój ten wiązał się na ogół z jakąś szczególną intencją, z jaką podejmowana była modlitwa za wstawiennictwem Maryi.

Każdego dnia nabożeństwa maryjne gromadziły tłumy wiernych a kościół drżał w posadach, gdy wszyscy w kościele śpiewali *Ja um Allah*, czyli „O Matko Boża". Każdego dnia inna solistka prowadziła śpiew w oryginalny, niepowtarzalny sposób, będący jej osobistym majstersztykiem.

Polacy, którym przypadło uczestniczyć w takim nabożeństwie, niezmiennie doświadczali wielkiego wzruszenia, bo nawet jeśli nie rozumieli słów, to mogli uczestniczyć przecież w Różańcu w ojczystym języku, a pieśni nie potrzebują tłumacza, jeżeli się je bezpośrednio słyszy i czuje żar religijny tych, którzy je wykonują z całego serca. A gdy na dodatek palą się dziesiątki świec i obraz albo statua Maryi tonie w powodzi kwiatów...

W mieście Aleppo było najwięcej w Syrii szkół, szpitali i instytucji charytatywnych prowadzonych przez Kościół. Jestem przekonany, że nie ma dzisiaj żadnego miasta w Europie, które miałoby większą ilość chórów, koncertów muzycznych i występów wokalnych, zarówno pojedynczych solistów jak i grup muzycznych, niż w tym relatywnie małym Kościele alepińskim.

Od trzech lat miasto to jest nękane ostrzałami, głównie z moździerzy. Pociski spadają na domy mieszkalne, na ulice, kościoły, szpitale. Wybuchają, gdzie bądź i w czasie trudnym do przewidzenia. Rebelianci zajęli połowę miasta. Przeszli swobodnie przez granicę turecką. Chcą opanować Aleppo, tak jak wcześniej opanowali tereny na północ od niego, a wśród nich piękne, położone wśród sadów oliwnych i drzew owocowych wsie chrześcijańskie.

Miasto wyludnia się systematycznie, ale w dalszym ciągu jest tam około dwóch milionów ludzi. Codziennie są nowe ofiary śmiertelne i nowi ranni. Za każdym razem, kiedy ktoś opuszcza dom, idąc na przykład do pracy, do kościoła albo na zakupy, nie wie, czy powróci do domu i spotka się z rodziną.

W każdym momencie może spaść pocisk i dokonać dzieła zniszczenia i śmierci. Mieszkańcy wzajemnie się wspierają. Wiedzą, co dzieje się w sąsiedztwie i spieszą na pomoc temu, kto poniósł straty czy odniósł obrażenia.

Pomimo wojny, która miała być tylko „międzymuzułmańską", chrześcijanie są teraz ciężko doświadczani. W niektórych przypadkach, jak na przykład w Iraku i pewnych miastach Syrii opanowanych przez ekstremistów muzułmańskich, stali się oni przedmiotem eksterminacyjnych ataków, porównywalnych

z histerią nazistów wobec Żydów w czasie II wojny światowej. Mimo tego w Aleppo istnieje solidarność pomiędzy chrześcijanami i muzułmanami. Każdy ośrodek pomocy ofiarom wojny prowadzony przez Kościół udziela jej również muzułmanom i w każdej szkole chrześcijańskiej uczą się również muzułmańskie dzieci. Jedni i drudzy cierpią w katastrofalnych warunkach bytowych.

Dwa miliony ludzi pozbawianych jest systematycznie energii elektrycznej, wody i mazutu. Żywność podrożała wielokrotnie. Wartość pieniądza, w porównaniu do dolara, zmalała. Brakuje pracy a więc i zarobków, dlatego rodziny muszą dzielić się z tymi, którym brakuje środków do życia. O każdy przeżyty dzień trzeba walczyć, martwiąc się o swoich bliskich i obawiając się okrutnej armii Państwa Islamskiego, która jest tuż obok, i na której nie robią specjalnego wrażenia bombardowania samolotów amerykańskich.

W prowokacyjny sposób morduje się publicznie kolejnych zakładników, a Zachód, który był u początków tej zawieruchy, nie chce albo nie umie interweniować w sposób, który niósłby ludziom polepszenie losu. Chaos cały czas się pogłębia. O co w tym wielkim bałaganie chodzi? Dlaczego niewinnych ludzi spotyka tak ogromna krzywda? Za mało było ludzkości zbrodni hitlerowskich i krwawego porządku zaprowadzanego przez Stalina? Dlaczego chrześcijanie traktowani są z taką nienawiścią? Dlaczego Zachód nie tylko się o nich nie upomina, ale jest głuchy na ich wołanie o pomoc? Dlaczego wykonuje się tylko wymuszone gesty, żeby uspokoić protesty ze strony światowej opinii publicznej, której coraz trudniej jest się mobilizować? Dlaczego w głównym nurcie medialnym ucisza się temat chrześcijan i Kościoła na Bliskim

Wschodzie, jakby ten problem nie istniał albo jego istnienie było dla światowych decydentów sprawą drugorzędną?

Zakrawa wręcz na okrutny żart, że atak na Kościół nastąpił niemal nazajutrz po zakończeniu Nadzwyczajnego Synodu Biskupów, który odbył się na Cyprze w 2010 roku i poświęcony był Kościołowi na Bliskim Wschodzie. Głównym rezultatem tego spotkania biskupów było uświadomienie sobie i ogłoszenie, że Kościół bliskowschodni, jako ten, który narodził się u początków chrześcijaństwa, należy otoczyć szczególną troską. Tutaj historycznie znajdują się materialne i duchowe korzenie naszej wiary. Tutaj również na świat przyszedł Chrystus i tutaj miała miejsce Jego Pascha. Z tych wszystkich powodów Kościół na Bliskim Wschodzie jest ważny, chociaż nie posiada wielkiej liczby wiernych. Jest on świadkiem tradycji, która wciąż żyje. Powinniśmy o ten Kościół dbać i go wspierać.

Kiedy Synod Biskupów ogłosił swoją deklarację, ten bliskowschodni Kościół został zaatakowany. Wierzymy jednak, że chociaż krzyżowany jest jak jego Założyciel, to tak samo jak Jego Założyciel – zmartwychwstanie. Podobnie jak Chrystus jest on niesprawiedliwie oskarżany i skazany na śmierć za „bluźnierstwo" przez oficjalne elity religijne, wespół z władzą świecką.

Kościół na Bliskim Wschodzie jest systematycznie prześladowany, dziesiątkowany i niszczony. Staje się coraz bardziej widoczne, że naprawdę chce się go całkowicie w tym regionie unicestwić. Chce się wymazać jego imię z tej ziemi, gdzie się narodził i skąd udał się na cały świat z misją ewangelizacyjną.

Niszczy się jego materialne pamiątki, eksterminuje się albo wypędza ludność chrześcijańską, dając do zrozumienia, że źródłem

zła i korupcji są tak zwane kraje chrześcijańskie, robiąc aluzje do świata zachodniego. Chrześcijanie na Bliskim Wschodzie widziani są jako rodzaj konia trojańskiego w regionie muzułmańskim. Podobnie jak w przypadku Piłata, który umył ręce i zgodził się na egzekucję Jezusa, panuje cicha zgoda świata na to, by ten Kościół przestał istnieć. Cóż więc pozostaje? Tylko wiara, że Bóg nie opuści go w tym cierpieniu.

Bóg będzie z nim, jak był z Chrystusem. Tak jak On zmartwychwstał, tak odrodzi się on z mocą i zadziwi świat swoją żywotnością. Niektórzy mówią, że stanie się to wraz z powtórnym przyjściem Chrystusa, który nadejdzie, aby ten świat nękany przez zło uratować. Kościół jest przecież sakramentem zbawienia. Musi się jednak uzbroić jednością. Od czasu Ostatniej Wieczerzy jest to jego największe zadanie, bo nie ma miłości bez jedności, a tylko ona, tylko Miłość, zbawi ten świat.

VI
Dialog i konfrontacja

spojrzeć sobie w oczy

przyjaciele drodzy
tyleśmy już lat świetlnych razem przewędrowali
uszliśmy taki kosmiczny kawał drogi
tyle burz piaskowych przewaliło się nad naszymi głowami
i tyle wojen gwiezdnych przeżyliśmy wniebogłosy
że dzisiaj byłoby absurdem

nie móc spotkać się spokojnie
by spojrzeć sobie w oczy

Multikulturowość

Kultura i tradycja religijna Bliskiego Wschodu jest specyficzna, nie tylko występują tutaj obok siebie judaizm, chrześcijaństwo i islam, ale wszystkie te trzy monoteizmy na tym obszarze się narodziły, i zarówno ich wroga konfrontacja, jak i dobre sąsiedzkie współistnienie stanowią osnowę historii tego regionu.

Dzisiaj przeżywa on nową dramatyczną ewolucję bratobójczych wojen i przelewu krwi, niestety również w imię Boże. Znów jesteśmy świadkami bolesnej zdrady sąsiedzkiego zaufania, butnego fanatyzmu, instrumentalnego traktowania religii przez wielką i małą politykę.

Trzeba jednak pamiętać, że właśnie tutaj mamy też budujące przykłady prawdziwie pokojowego współistnienia, opartego na wzajemnym szacunku, w tym również szacunku dla odmienności wiary i tradycji. Prawdziwe spotkanie szanuje wszystkie realia drugiej strony, nie zamykając na nie oczu i nie ignorując niczego. Dopiero harmonia wzajemnych stosunków, w realnym ujęciu, zasługuje na miano pokojowej.

Cywilizacja zachodnia traktuje religię jako rodzaj instytucji użytku społecznego, przyznając jej status prawny, oparty na

zasadzie rozdziału religii od państwa, regulując jej działalność kultową i charytatywną, starając się jednocześnie o to, aby wiara i jej praktykowanie przez każdego indywidualnego obywatela stanowiły dyskretną domenę życia prywatnego.

W ten sposób problem harmonii społecznej w odniesieniu do religii sprowadzono w dużej mierze do respektowania prawa, które ustaliła władza państwowa, zarówno w stosunku do całej instytucji, jak i pojedynczych jej członków, dążąc do jak największego ograniczenia sfery jej manifestacji publicznych. Z tego samego powodu tolerancja religijna pomiędzy wyznawcami różnych religii często miała charakter wzajemnego ignorowania tego ważnego wymiaru ich egzystencji, eliminując w pewnym sensie możliwość rzeczywistego spotkania i dialogu.

Ten stan rzeczy został dodatkowo jeszcze pogłębiony tendencjami laicyzacyjnymi, które z dużą siłą dały o sobie znać w XX wieku. System ten przeżywa jednak obecnie coraz bardziej widoczny kryzys. Przyczyną tego z pewnością jest zmiana warunków życia w erze mondializacji.

Dużej ewolucji podlega samo przeżywanie religii i jej rozumienie. Skończyły się bowiem czasy, gdy każda religia miała swój geograficznie określony zasięg. Dzisiaj niewiele jest obszarów monowyznaniowych na naszym globie, a nawet tam, gdzie one występują, zwykle mamy do czynienia z głębokimi wewnętrznymi podziałami w łonie tej samej społeczności ludzi wierzących, odnoszącymi się nie tyle nawet do kwestii dogmatycznych, ile do ich stanowiska względem oficjalnych struktur religijnych oraz sposobu i intensywności praktykowania wiary.

Najważniejszy jest jednak olbrzymi, nieznany wcześniej, medialny impakt spotkania się ze sobą odmiennych kultur. Wywołuje on nieraz pozytywne przemiany mentalności, idące w kierunku większej otwartości i respektowania prawd i wartości inaczej rozumianych aniżeli jest się do tego przyzwyczajonym, obracając się pośród rodzimych modeli kulturowych. Nie zawsze jednak tak się dzieje. Nieraz wywołuje to napięcia i spotyka się z wrogimi reakcjami, co może być łatwo wykorzystane politycznie, uruchamiając w ten sposób albo kanalizując wielkie energie społeczne dla określonych celów politycznych, posługując się przy tym różnego rodzaju formami manipulacji.

Z tego między innymi powodu religia znów zaczyna bardzo interesować polityków i staje się coraz bardziej widoczna na forum publicznym, pomimo przelewającej się przez nasz glob olbrzymiej fali laicyzacji.

Polityka sprawia, że polaryzuje się stosunek do religii, zależnie od aktualnego układu i przebiegu gry politycznej. Można zatem zaobserwować zarówno postawy wyraźnego jej popierania, czasem nawet do apoteozy religii włącznie, jak również postawy bezpardonowej krytyki, bliskiej fanatyzmowi antyreligijnemu.

W tym kontekście należy powiedzieć o jeszcze jednym bardzo ważnym zjawisku, a mianowicie o rosnącej autonomii i coraz większym dystansowaniu się ludzi wierzących wobec stanowiska hierarchii religijnej i w ogóle duchowieństwa w zakresie spraw, które ogólnie można określić jako polityczne, ale również i innych, dotyczących moralności wyborów i decyzji, a nawet co do twierdzeń dogmatycznych. Wiąże się to w jakimś stopniu, w ramach religii chrześcijańskiej, z przyjętym przez Kościół

stanowiskiem zachowywania neutralności w sprawach dotyczących polityki i nie utożsamiania się z żadną z sił politycznych. Znajduje to formalny wyraz w odpowiednich ustaleniach prawa kanonicznego, chociaż problem ani nie jest taki oczywisty co do słuszności tego rozwiązania, ani tak prosty jeśli chodzi o rozgraniczenie „czystego" problemu politycznego od problemu posiadającego ważny aspekt moralny, wobec którego hierarchia i duchowieństwo nie tylko nie mogą zachowywać neutralności, ale wręcz mają obowiązek interweniować, wyrażając publicznie swoje zdanie.

Istnieje również nowy element, którego nie można ignorować, jest nim pojawienie się i stale rozrastająca się obecność religii muzułmańskiej w Europie, dla której nie do przyjęcia jest rozdział religii od polityki, bowiem religia obejmuje tu całość egzystencji człowieka i dlatego powinna regulować całokształt życia, zarówno jego sferę indywidualną, jak i społeczną.

Takie podejście skutecznie wyprowadza religię z getta kultycznego, w jakim znajduje się dzięki koncepcji oddzielenia religii od państwa, ale z drugiej strony grozi upolitycznieniem religii aż do potraktowania jej jako ideologii dążącej do stworzenia państwa teokratycznego włącznie; usprawiedliwiającej rozwiązania bliskie ekskluzywizmowi religijnemu czy nawet rasizmowi.

Jak już to zostało powiedziane, lansowana na Zachodzie koncepcja rozdziału religii od państwa napotykała i nadal napotyka na duże problemy. Nie powiodła się również oparta na ignorowaniu religii koncepcja multikulturowości, idąca za sugestią wiary laickiej, że religijność to fenomen życia prywatnego, który

powinien być dyskretnie (czytaj: wstydliwie) zamknięty w przestrzeni życia prywatnego, czy wręcz intymnego.

Okazało się jednak, że teoretycy kultury pobłądzili, tak samo zresztą jak ekonomiści, którzy ogłosili erę globalnego dobrobytu materialnego. Podobnie błądzili utopijni politycy, którzy przyrzekali, że po II wojnie światowej już więcej żadnych wojen nie będzie. Aż tu nagle staje się dla nas palącym zadaniem szukanie jakichś nowych rozwiązań dla świata, w którym żyjemy, i który stacza się w coraz bardziej widoczny kryzys.

Trudno oczekiwać rozwiązania od Zachodu, który ciągle jeszcze z uporem deklaruje swoje korzenie oświeceniowe i swoją racjonalną wiarę w człowieka, pomimo tylu historycznych katastrof, których ta wiara była przyczyną, posiadających zupełnie irracjonalny charakter nazistowskiego szaleństwa nienawiści i bolszewickiej żądzy niszczenia.

Trudno, aby przyszło to rozwiązanie ze Wschodu, który w przeciwieństwie do Zachodu, deklaruje głośno i tryumfalnie swoją wiarę w Boga jako podstawową zasadę cywilizacyjną, ale również tutaj, zupełnie jak na Zachodzie, prym wiedzie polityka. Zamienia ona religię w ideologię, namaszczając ją religijnie i udzielając jej w ten sposób atrybutu boskości. Wschód, zamiast duchowej otwartości na żywe słowo żywego Boga, zasklepił się w obronie i w narzucaniu innym „jedynie słusznych" pojęć i twierdzeń, skodyfikowanych i zorganizowanych w system prawny, który ma posiadać Bożą pieczęć prawdziwości i nieomylności. Zamienia żywego Boga na martwy kodeks z komentarzami, które pochodzą od człowieka i nie są w stanie przecież tego, co Boskie, ożywić.

Idąc zaś za logiką posiadania „jedynie słusznych" rozwiązań dla świata, w którym żyjemy, łatwo popaść w absolutyzm ideowy i w praktyczny totalitaryzm. Łatwo o traktowanie zarówno rozwiązań politycznych, jak i stosowanie policyjnej przemocy, jako przejawu cnotliwej uległości wobec nakazów Boga.

Opierając się zaś na przekonaniu o niezmienności Bożej prawdy, jedyne, co pozostało człowiekowi czynić w tym wypadku, to zmieniać rzeczywistość tak, aby była ona zgodna z doktryną i eliminować wszystko, co od tej doktryny odbiega. Polityka powinna tu zatem zmierzać nie tyle do budowy nowego, sprawiedliwego świata, ile do nawrócenia starego, czyli przywrócenia mu autentycznego oblicza, według zasad, które dyktuje doktryna religijna. Według niej, ludzkość na ziemi osiągnie upragniony stan harmonii i pokoju tylko wtedy, gdy tym prawom się całkowicie podporządkuje.

Na tym polega święta wojna, którą według niektórych należy podjąć, i w której trzeba uczestniczyć w imię szczęśliwości człowieka przepisanej mu przez Boga. Kto tej misji się sprzeciwia, jest godzien potępienia, a każdy, kto chciałby zmienić jej formułę, staje się zdrajcą i odszczepieńcem. Kto jej nie przyjmuje jest *kafer*, czyli niewierny. Jest nim, bo albo ma w tym jakiś interes, którego nie chce poświęcić dla prawdziwie cnotliwego życia, albo brak mu do tego wystarczającego zrozumienia. W obu wypadkach jest to człowiek kaleki i niepełny. Nie mogą tacy ludzie nie budzić pogardy, skoro są ewidentnie gorsi z powodu upośledzenia ich woli albo rozumu.

Normalną zatem konsekwencją tego stanu rzeczy jest surowe odnoszenie się do „niewiernych". Społecznej nierówności winne są

same ofiary, bo przecież to one nie przyjęły „prawdziwej wiary", która została im ofiarowana. Odrzucając ją, odrzucili nie tylko to, co prawdziwe, ale skazali się jednocześnie na konsekwencje tego odrzucenia. Gdyby nie byli takimi fanatykami w swoim oporze, cieszyliby się pełnią praw ludzi wierzących. Nie dać im odczuć tego, że popełnili wielki życiowy błąd, znaczyłoby w tym błędzie ich utwierdzać i narazić na zepsucie innych, prawych. Tym bardziej, że złe konsekwencje tego błędu dotyczą nie tylko życia doczesnego, ale mają przełożenie na życie wieczne. Złe traktowanie „niewiernych" jest zatem rodzajem świadczenia im dobra, otwiera bowiem ich oczy na prawdę i jest próbą ratowania ich od piekła.

Rozumowanie to posiada jedną zasadniczą wadę: jest zimne jak spojrzenie sędziego, skazujące na śmierć oskarżonego, zanim jeszcze rozpoczął się proces. Rozumowaniu temu brakuje szacunku dla ludzkiej wolności i miłosierdzia dla jego ułomności. Posługuje się zatem hasłem sprawiedliwości, ale zapomina, że najwyższą jej formą jest przecież sprawiedliwość miłosierna, bo takim jest sam Bóg.

Zachód i Wschód chorują zatem na tę samą chorobę pychy i zawężenia Bożej prawdy do ideologii politycznej. Sprawia to, że zamiast wiary w Boga mamy do czynienia z wiarą w bożka. Jest nim albo ubóstwiony rozum, albo ubóstwione prawo i w ten sposób, nie przyznając się do tego formalnie, człowiek zawłaszcza sobie Boży autorytet.

Jedna i druga postawa jest tragiczna w skutkach. Obie są totalitarne i obie pogardzają zwykłym człowiekiem, zmuszanym do tego, aby im służył.

Świat musi znaleźć inną drogę zbawienia, aniżeli ubóstwiony przez samego siebie człowiek czy prawo. Świat potrzebuje prawdziwego Boga, gdyż tylko On zna tajemnicę człowieka i ma pieczę nad nim oraz nad całym stworzeniem, tylko On jest mocen tego dzieła dokonać. On, Bóg-Zbawiciel, Bóg, który stał się człowiekiem, aby przemówić do człowieka jego głosem, w jego konkretnej ludzkiej kulturze i historii.

Bóg Wcielenia jest jednak tak bliski człowiekowi, że czasem aż... niezauważalny. Tak bardzo różni się od czysto ludzkich wyobrażeń o Bożej potędze i wielkości, że się Go ignoruje. Pokora i służba – istota Miłości, postrzegane są jako słabość w odniesieniu do Boga i zdają się być zupełnie nieadekwatne do Niego, który jest przecież Miłością.

Z tego właśnie powodu człowiek, mając oczy, nie dostrzega Boga i – szukając Go – przechodzi obok Niego, nie widzi Jego znaków, z których centralnym jest Krzyż.

Kościół ten znak rozumie i strzeże go, gdyż on stanowi fundament jego tożsamości, będąc jednocześnie podstawą jego misji, która dotyczy zbawienia człowieka, a więc obejmuje cały świat. Bardzo źle się dzieje, gdy znak ten staje się mało czytelny.

Deir Mar Musa chciał być czytelnym znakiem Kościoła w jego fundamentalnej misji, czyli misji zbawienia. Istotą znaku jest to, że o czymś mówi, coś komunikuje, zaprasza do myślenia, rozmowy, dialogu.

Deir Mar Musa chciał być oazą na pustyni, znakiem nowego życia, braterskiego, ludzi wierzących w Jednego Boga, również WIERZĄCYCH INACZEJ, aby ich wiara nie była agresywna, aby nie

usposabiała ludzi wrogo do siebie, aby była otwarta na wyrażanie sobie szacunku i na porozumienie, właśnie dlatego, że jest wiarą W TEGO SAMEGO BOGA, chociaż wyraża się inaczej. Nie wynika to bynajmniej i nie wyraża postawy lekceważenia Boga, ale przeciwnie, towarzyszy tej postawie pragnienie dochowania wierności Bogu i pełnego respektowania Jego woli. Więcej, jest to jedyna postawa godna człowieka prawdziwie wierzącego, ponieważ nawrócenie nie jest dziełem ludzkiej mądrości ani siły, ale jest przejawem tryumfu Bożego miłosierdzia, posługującego się prawdą i miłością.

Wzajemny szacunek ludzi wierzących, również dla tych, którzy wierzą w odmienny od mojego sposobu, jest przejawem prawdziwego szacunku do Boga, któremu się powierzam, powierzam siebie i innych, a nie uzurpuję sobie prawo, którego nie posiadam, do tego, żeby w Jego imię administrować kimś innym. Wyraża to w sposób znacznie dojrzalszy moją wiarę, gdyż ostatecznie nie ja czynię siebie podmiotem nawrócenia, ale składam tę sprawę w Boże ręce. *Deir Mar Musa* podjął się tej misji i dlatego od początku, oprócz Eucharystii, w centrum duchowego życia wspólnoty stał braterski dialog z muzułmanami.

Zaczęło się od pojedynczych wizyt, od sąsiadów, mieszkańców Nebek, ale potem ten fenomen rozrósł się bardzo i stał się niesłychanie zróżnicowany: osobistości, dyplomaci, politycy, ludzie kultury i osoby poszukujące Boga, aż po światowe meetingi i sympozja, w których uczestniczyły znane postaci, reprezentujące obie religie, a czasem również inne religie.

Szukanie znaków

Nadszedł czas, aby zamknąć rozważania odnoszące się do Mar Musa jako fenomenu oryginalnego, niepowtarzalnego w historii posoborowego Kościoła na Bliskim Wschodzie... Może zresztą nie chodzi o mnożenie przymiotników. Ocena należy do Was, bo przecież sporo udało się tu przekazać na jego temat. Tak jak się spodziewałem, była to dla mnie okazja, aby jednocześnie jakoś się „rozliczyć" z okresem ponad trzydziestu lat spędzonych w Syrii. Nie jest to wiele, jeśli mówi się o historii w ogóle i nie jest to wiele, jeśli chodzi o historię Kościoła w tym regionie. Jest to jednak niemal całe aktywne życie kogoś, kto pojechał tam z misją ewangelizacyjną w wieku lat trzydziestu siedmiu.

Dzięki tej książce odbyliśmy razem drogę do biblijnej ziemi, naznaczonej obecnością Apostołów i również samego Chrystusa, na przykład w Cezarei Filipowej, gdzie św. Piotr w imieniu całej grupy apostolskiej złożył wyznanie wiary w Pana Jezusa jako Mesjasza i Syna Bożego. Tutaj stał się on „opoką" Chrystusowego Kościoła. Dzięki tej książce staliście się świadkami moich odkryć, spostrzeżeń, uwag, natchnień... i w jakimś sensie może nawet

uczestnikami tej niespodzianej misji, jaką przyszło mi wykonywać na Bliskim Wschodzie, mimo że nigdy jej nie planowałem.

Podobnie zresztą wyglądał mój powrót do Polski, on też nie był zaplanowany i odbył się tak nagle jak i sam wyjazd przed trzydziestu laty. Książka była dla mnie okazją, aby – poruszając się po szlakach retrospekcji – odbyć z Wami wspólną podróż, biorąc za hasło naszej wędrówki: „*deir* Mar Musa". Stało się to dla mnie okazją do wspólnego kontemplowania życia, po prostu. Aby dostrzec w nim, przez konkretne wydarzenia, sens różnych zbiegów okoliczności, wydarzeń i spotkań. Czasem patrzymy na nie jak na znaki, niektóre zrozumiałe dopiero po przejściu określonej drogi i po opowiedzeniu jakiejś historii.

Oczywiście nie o moją historię tu chodziło i nawet nie o historię *deir* Mar Musa, ale znacznie szerzej, o aktualną historię Kościoła na Bliskim Wschodzie. To w ten kontekst wpisane były wszystkie opisane doświadczenia, w nim odnajdują one swój właściwy sens i wymowę. Patrząc na nie, starałem się obserwować je nie tylko moimi oczami i oceniać je bez używania wyłącznie moich osobistych kryteriów, ale pragnąłem, aby było to poszukiwanie duchowe, odwołujące się do prawdy wiary w Boga i Jego obecności duchowej w świecie materialnych zdarzeń, prawdy głębszej aniżeli mechaniczny tylko związek wątków materialnych, socjologicznych, czy psychologicznych.

Wątek kontemplowania historii tak, aby znaleźć w niej wolę Bożą, był charakterystyczny dla metodologii, obranej przez ojców soborowych *Vaticanum II*. Sobór ten szukał w naszej najnowszej historii, po II wojnie światowej, jakichś znaków szczególnych, charakteryzujących naszą epokę, by znaleźć następnie adekwatną

na to odpowiedź pastoralną. Chodziło o znalezienie i zrozumienie tak zwanych znaków czasu. Stały się one sztandarowym hasłem tego soboru i oczywiście nie tylko hasłem, ale ważnym punktem odniesienia dla zrozumienia tego, co konkretnie oznacza wola Boża dla współczesnego Kościoła. Nie chciano odnosić się w sposób abstrakcyjny do niezmiennych Bożych prawd wiary. Nie chciano produkować abstrakcyjnych dokumentów, tak jakby chodziło o abstrahowanie od realnego życia i realnych ludzi z ich realnymi problemami. Nie chodziło ojcom soborowym jedynie o aspekt urzędowy Kościoła jako instytucji, w jego wydaniu doktrynalnym i prawnym, ale wybrali oni podejście pastoralne, obserwując wszystkie zmiany cywilizacyjne i starając się zrozumieć, w jaki sposób powinno się dokonać *aggiornamento*, czyli dostosowanie form apostolskiego działania do współczesnej kultury i mentalności (podkreślam: środki, a nie treść nauczania). Chodziło zatem o wychwycenie cech charakterystycznych współczesnej cywilizacji, aby móc na nie, jako na znaki czasu, odpowiedzieć po Bożemu właściwie, ale również po ludzku odpowiednio.

Mar Musa jako znak

Sporo już powiedzieliśmy o specyficznej misji klasztoru Mar Musa i działalności ojca Paolo. Nadal żyje tam wspólnota mnichów i mniszek, prowadząc klasztorne i apostolskie życie. Dojrzewa ich doświadczenie teraz, w czasie wojny, dojrzewa rozumienie ich misji, wracając w pewnym sensie do początków, do czasów, kiedy mieszkało tam tylko parę osób w bardzo prymitywnych warunkach.

Dzisiaj są oni pozbawieni ich charyzmatycznego lidera, ojca Paolo, ale z jego charyzmatem przecież się zżyli. Inspiruje ich on, gdyż stał się ich charyzmatem zbiorowym, charyzmatem wspólnoty, która przechodzi trudny czas wierności i oczyszczenia. Mają oni ciągle nadzieję, że pewnego dnia okaże się, iż ojciec Paolo nie został zabity i że do nich powróci.

Z pewnością nie będzie on już tym samym przeorem, co kiedyś i wspólnota też nie będzie ta sama. Ona już jest inna, bo zmieniły ją przeżycia wojny domowej, tak zresztą jak stało się to z wszystkimi Syryjczykami i całą Syrią. Taka jest filozofia ludzkiego życia. Człowiek jest wędrowcem – *homo viator* – który bardziej przechodzi przez życie aniżeli się w nim instaluje. Ten, któremu towarzyszy w tej wędrówce wiara w Boga, ten staje się

pielgrzymem wiary, a jego życie zamienia się w pielgrzymkę do Boga. Dotyczy to oczywiście nie tylko pojedynczych osób, ale również wspólnot.

Do często używanych określeń Kościoła należy mówienie o nim jako „pielgrzymującym ludzie Bożym", zmierzającym do Nieba. Dzisiaj wspólnota zakonna Mar Musa przeżywa bardzo ważny etap swojej pielgrzymki, tak samo zresztą jak cały Kościół syryjski. Historia tego regionu w tym momencie ujawnia całemu światu tragiczną prawdę konfliktu wielkich interesów, który jest morderczy dla zamieszkujących tu ludzi, siejąc pośród nich śmierć, wyganiając ich z domów, rozrywając więzy rodzinne i sąsiedzkie, oraz niszcząc mienie.

Historia ta jest opowiadana przez media całemu światu, w sposób bardzo jednostronny. To jest jeszcze jeden znak, bardzo widoczny. Żyjemy w czasach niesłychanego postępu w dziedzinie środków komunikacji, dlatego również manipulacja ludzkimi poglądami jest o wiele łatwiejsza i o wiele bardziej skuteczna aniżeli kiedyś.

Mówienie o faktach, sposób ich przedstawiania oraz towarzyszące temu komentarze są tym skuteczniejsze, im bardziej są medialnie rozpowszechnione. W pewnym sensie determinują sposób postrzegania świata przez ludzi i ocenę tego, co się na nim się dzieje.

Mają one również tym bardziej przekonującą wartość, a więc są tym skuteczniejsze, im szerzej są odbierane i im bardziej robią wrażenie obiektywności i uczciwości dziennikarskiej.

Liczy się również wyrażenie empatii, a więc to, że informacje przekazywane są w sposób sugerujący głębokie współczucie dla

ludzkiej tragedii, która jest przedmiotem informacji. Pokazuje się dramat cierpienia w sposób spektakularny, aby zwiększyć przez to jego impakt emocjonalny i uzyskać pożądaną reakcję.

Media, biorąc udział w wojnie, pełnią rolę wojennego narzędzia, są podporządkowane logice zabijania i niszczenia i są też odpowiedzialne za zbrodnie wojenne. Działają podobnie jak bomby i karabiny, mają swoich generałów i swoich żołnierzy, mają rozkazy, alarmy i tajne służby.

Zło wojny polega na tym, że człowiek traktowany jest przez nią instrumentalnie. Przestaje być podmiotem, a staje się przedmiotem manipulacji propagandowej i narzędziem, którym trzeba się tak posługiwać, by osiągnąć zamierzone cele polityczne, gospodarcze, ideologiczne, wojskowe. Wielkie strategie wojenne konstruuje się bowiem po to, aby pokonać przeciwnika a nie po to, aby służyć człowiekowi.

Liban misją i zadaniem

Sądzę, że powyższy tytuł nie brzmi tak bardzo pretensjonalnie, jak mogłoby to mieć miejsce, gdyby zacytować słynne stwierdzenie Jana Pawła II, wypowiedziane podczas jednej z jego pielgrzymek na Bliski Wschód. Powiedział wówczas, że „Liban to przesłanie dla świata". Papieżowi chodziło o to, że Liban, stanowiąc jeden naród i jedno państwo, składa się z różnorodnych wspólnot określających swoją tożsamość przez przynależność do określonej religii. Tworzą one razem – i to jest właśnie ów światowy ewenement – dość harmonijną wspólnotę polityczną i kulturową.

Wyjątkowość tego kraju polega na tym, że nie usiłuje się w nim regulować kwestii pluralizmu religijnego i pokoju społecznego silną ręką dzierżyciela władzy politycznej, czego przykładem są kraje posiadające na przykład baasistowski (od partii Baas) rodowód polityczny. W Libanie podmiotem władzy są poszczególne wspólnoty wyznaniowe, działające przez ich reprezentantów, pozostające w stałym strukturalnym dialogu między sobą, który jest gwarantowany przez samą strukturę władzy państwowej, a więc przez strukturę podejmowania decyzji państwowych i ich egzekucji.

Liban nie poszedł zatem za fałszywymi przesłankami laickiej ideologii liberalnej, która zdobyła sobie prymat w Europie. Oparła się ona na przekonaniu, który jest rodzajem laickiego wyznania wiary, że fenomen religijności jest czasowy i zniknie on w nowoczesnym społeczeństwie, a przynajmniej jego egzystencja nie będzie miała wymiaru publicznego. Wierzono, że bez żadnych specjalnych zabiegów, fenomen ten sam z siebie zaniknie w procesie laicyzowania się społeczeństwa. Wystarczy tylko zamknąć go w rezerwacie życia prywatnego i bardzo ograniczonej przestrzeni życia publicznego, rugując religię z instytucji publicznych, z publicznej przestrzeni medialnej i fizycznej oraz symbolicznej obecności w miejscach publicznych. Wówczas problem religii zostanie sam przez się rozwiązany. Stwierdzenie „sam przez się" jest użyte w tym wypadku bardzo perfidnie, bowiem poprzedza je nakaz rugowania religii i zamknięcia jej w ścisłym rezerwacie, co stanowi przejaw drastycznego ograniczenia wolności konstytucyjnej i poważną deformację prawdziwej demokracji. Paradoks jest tym większy, że właśnie takie rozwiązanie uznawane bywa za autentyczny przejaw wolności, a nawet jako jej fundament.

Liban jest zatem pod tym względem znakiem pozwalającym nam głębiej zrozumieć naszą własną sytuację w tak ważnej dziedzinie jak podstawowe prawa człowieka i demokracja. Warto przyjrzeć się temu znakowi. Fundament, na którym się opiera „eksperyment libański", to szacunek dla każdej wspólnoty, nie eliminujący z jej tożsamości elementu religijnego, aby uczynić w ten sposób zadość ideologii, jaką wyznaje władza polityczna, jak to jest w świecie zachodnim. Konstytucyjna władza w Libanie nie dystansuje się

wobec religii, nie traktuje jej jako elementu rozbijającego jedność narodową. Religia nie tylko znalazła uznanie, ale daleko więcej, widziana jest jako czynnik państwowo- i narodowotwórczy, oczekuje się od niej, że wywiąże się z misji dbania o dobro całego narodu i państwa.

Liban przeżywa aktualnie olbrzymią presję z uwagi na pożogę wojenną, która ogarnęła region Bliskiego Wschodu. Ten mały kraj posiada na swojej ziemi ponad milion uciekinierów z Syrii, a na jego terytorium znajduje się szereg różnorodnych grup etnicznych, które z różnych przyczyn i w różny sposób znalazły tutaj azyl. Są tu obecni na przykład Palestyńczycy, którzy uciekli albo zostali wyparci z Izraela przez działania wojenne. Mają swoją enklawę w południowym Libanie, niedaleko granic z Izraelem.

Obecnie ogromnym zagrożeniem dla Libanu jest możliwość przeniesienia do tego kraju wojny między sunnitami i szyitami, gdyż obie te wspólnoty stanowią filary konstrukcji politycznej tego państwa. Konfrontacja już została zapoczątkowana. Już polała się krew Libańczyków, ale pożoga wojenna została zatrzymana, mimo sporej liczby emisariuszy wojennych znajdujących się w granicach państwa.

Jest to wręcz niewiarygodne, że ten kraj dotąd się nie rozpadł. Uzasadnione są zatem bardzo ważne pytania, na które szukamy odpowiedzi w całym współczesnym świecie: czy i jak można wykorzystać element religijny dla większej spójności kraju? jak doprowadzić do tego, żeby wspólnoty wyznaniowe były wzbogaceniem kultury narodowej? oraz jak sprawić, aby wszystkie uczestniczyły w tworzeniu wspólnej narodowej kultury

i czyniły porozumienie społeczne dojrzalszym i bardziej godnym ludzi?

Liban rzeczywiście jest w tej mierze znakiem i ważnym „przesłaniem”, jak mówił papież Jan Paweł II. Warto je zgłębić dla dobra współczesnego świata, który poniósł sromotną porażkę, podejmując się laicko-liberalnego organizowania społecznej i politycznej rzeczywistości.

Syria znakiem

Czy Syria może być jakimś wyraźnym znakiem dla świata? A jeśli tak, to jakim? Czy wojna syryjska może nam coś w tej mierze powiedzieć?

Wszystko to wskazuje, że „domowy" konflikt pomiędzy Syryjczykami nie jest w rzeczywistości lokalnym problemem, ale jest wpisany w dużo szerszy, światowy kontekst gry interesów i dramatu ich uzgadniania. Zarówno lokalne kłótnie, jak i wojskowa konfrontacja mają znacznie szersze, międzynarodowe rozgałęzienie, a więc również zakończenie tego konfliktu nie zależy od nich samych, ale od sił znacznie większych, mających swoje punkty dowodzenia i sztaby, gdzie indziej, poza ziemią syryjską.

To jest jedna z konsekwencji globalizacji i budowanych w oparciu o nią strategii. Podobnie ma się rzecz z mediami, a więc z oddziaływaniem na opinię publiczną.

Krwawe doświadczenia wojny w Syrii i na Bliskim Wschodzie przekonują, że pokój społeczny to stan, którym niezwykle łatwo w naszym nowoczesnym świecie zachwiać. Ze zdumiewającą łatwością manipuluje się człowiekiem za pomocą siły materialnej i środków społecznej perswazji. Można wtedy nawet modyfikować

jego postawę moralną. Można mu wmówić, że jest wolny, wtedy, gdy jest ideowo urabiany przez propagandę na całkowicie zależnego od woli ośrodków władzy.

Nawet religijną gorliwość można transformować w kierunku fanatyzmu tak, aby stał się ślepą, dziką siłą, zmieniającą wizję Boga Miłosiernego w wizję mściwego okrutnika, który nie tylko godzi się na zbrodnie, ale je popiera i nagradza zbrodniarzy.

Skala zbrodni przeciwko ludzkości, czystek etnicznych, te wszystkie odrażające postaci terroryzmu, który rośnie w siłę i rozprzestrzenia się po świecie, to zły symptom naszych dni. Świadczy on o istnieniu głębokich podziałów pomiędzy ludźmi, które niszczą tkankę społeczną przez erupcje wrogości i nienawiści.

Na tym tle, do rangi szczególnego znaku urasta pojednanie, jako droga do osiągnięcia prawdziwego pokoju, polegającego na rzeczywistej harmonii społecznej i poczuciu bezpieczeństwa. Wbrew teorii globalnego podporządkowania wszystkiego i wszystkich jedynemu ośrodkowi władzy, czyli ciągle pojawiającej się w historii tendencji do posiadania władzy absolutnego hegemona, rośnie przekonanie, że istnieje rozwiązanie inne, polegające na porozumieniu społecznym.

Zdrowy rozsądek podpowiada, że ten element i ta zdolność zadecydują o losach naszej globalnej cywilizacji. Inaczej bowiem, duch rywalizacji doprowadzi do konfrontacji. I nie ma żadnych racjonalnych przesłanek ku temu, aby sądzić, że zatrzyma się ona na określonym progu wrogości. Ona próg ten przekroczy, jak to zawsze bywało w historii, gdy pojawiła się możliwość użycia jakiejś nowej śmiercionośnej broni. Zawsze przychodził moment,

w którym podejmowana była decyzja o konieczności jej użycia. Nigdy człowiek nie posiadł takiego stopnia doskonałości moralnej, aby wyrzec się wojny, a wszelkie wezwania i apele domagające się tego, uważane były w kontekście polityki realnej za przejawy naiwnego pacyfizmu i utopii.

Po II wojnie światowej pokładano wielkie nadzieje w nowym porządku światowym, którego strażnikiem miała być Organizacja Narodów Zjednoczonych. Wydawało się, że będzie ona w stanie zagwarantować trwały pokój wszystkim narodom, w oparciu o wspólne im pryncypia ideowe i zasady prawa międzynarodowego. Potwierdzone bowiem zostało uroczyście prawo każdego narodu do samostanowienia. Uznano zasadę suwerenności każdego państwa i w związku z tym zobowiązanie do nieingerencji w jego problemy wewnętrzne. W razie naruszenia tych zasad przewidziana została mediacja i, jeśli trzeba, zbrojna interwencja międzynarodowych sił wojskowych. Przyjęte również zostały przez wszystkie państwa członkowskie powszechnie uznane prawa człowieka.

Nie udało się jednak zrealizować tego ideału w życiu. Dzisiaj działalność ONZ paraliżowana jest przez najsilniejsze państwa – te same, które powołały ją do życia. Różnice polityczne między nimi przenoszone są na forum ONZ-tu i blokują jego działalność.

Paraliż instytucji międzynarodowej jest zagrożeniem dla pokoju na świecie, gdyż brak narzędzia międzynarodowego sprawia, iż jego rolę przejmuje konkretne państwo, a w praktyce oznacza to konkretne światowe mocarstwo, które buduje zupełnie fasadowe koalicje. Aby uspokoić opinię publiczną głosi ono, że chodzi mu o uniwersalne wartości i cele.

Tak właśnie wyglądają w dużej mierze wojny prowadzone na Bliskim Wschodzie. Mówiąc o znakach czasu, które charakteryzują naszą epokę, należałoby powiedzieć, że istnieje olbrzymia potrzeba globalnego porozumienia w kwestii rozstrzygania międzynarodowych problemów i sporów.

Jak się obronić przed zniechęceniem? ONZ od tylu lat pożera olbrzymie środki finansowe. Czasem wydaje się, że tylko po to, aby w pierwszym rzędzie utrzymywać własną biurokrację, bo wiele jego działań sprawia wrażenie pozornych. Jaki ma zatem sens wzywanie do ożywienia tej biurokratycznej instytucji, która – wydaje się, że – jeśli nie dogorywa, to przynajmniej wiedzie żywot dobrze opłacanego, politycznego emeryta, zepchniętego na margines wydarzeń i problemów światowych?

Czy nie ma zatem dzisiaj innego rozwiązania dla ludzkości niż światowy marazm i dezintegracja instytucji międzynarodowych? Czy nasza cywilizacja musi ustąpić miejsca barbarzyńskiej anarchii? „Złupienie Rzymu" dzisiaj może oznaczać rozpad naszego globu i zagładę narodów. Nie jest to żadna fantastyczna wizja. Środki do takiego zakończenia historii naszej cywilizacji istnieją i to nie od dzisiaj. Istnieje też wystarczająco wielu skorumpowanych liderów, którzy gotowi byliby nacisnąć na guzik prowadzący do powszechnego zniszczenia. Jest też wystarczająca liczba tych, którzy uwierzą fałszywym prorokom.

Świat woła o nowy powiew Ducha, o jego zstąpienie na ziemię, aby ożywić ludzi i uratować naszą cywilizację. Trzeba zmienić optykę tego oczekiwania. To nie demiurg, wódz, czy geniusz potęgi nauki i militarnej siły, mający do swej dyspozycji oprócz wszechwładnej i wszechwiedzącej bezpieki również niezliczone

oddziały fanatycznych samobójców, przyniesie ratunek. To nie dotychczasowy władca tego świata nas ocali, bo on go popsuł definitywnie i teraz tylko może podłożyć pod niego ogień. Świat może uratować Ktoś inny. Trzeba z naszej strony zmiany optyki. Uczynić to może tylko Pasterz, łagodny i cichy. Może to być tylko Ojciec, przygarniający zbuntowanego, marnotrawnego syna, który się nawrócił. Tylko Pan, którego zabili, a On ich nie przeklął, bo wiedział, że „nie wiedzą, co czynią". Wiedział też, że śmierć nie ma nad Nim władzy, bo zło nie dotknęło Jego serca. Zmartwychwstał. Żyje. Tylko On może dylemat naszej śmierci, w którą się zaplątaliśmy, rozwiązać.

Nie ma większego znaku nad znak pojednania i braterstwa. I dzisiaj bardzo nam go potrzeba. Ten znak jest konieczny dla Syrii, aby mogła się uratować i dla Bliskiego Wschodu, aby mógł przetrwać pożogę wojenną i nie zostać zniszczony. Ten znak powinien w pierwszym rzędzie być misją Kościoła, który jest do niego zobowiązany przez wiarę w Miłość mocniejszą niż śmierć.

Kościół, jak mówi Sobór Watykański II, jest sakramentem jedności dla świata, znakiem, który nie tylko mówi, ale znakiem sprawiającym to, co mówi.

Kościół na Bliskim Wschodzie ma pod tym względem szczególną misję do spełnienia. Potwierdził to Synod Biskupów zwołany na Cyprze w 2010 roku, poświęcony Ziemi Świętej i Kościołów na Bliskim Wschodzie. Stanowił on znak solidarności chrześcijańskiej i zaangażowanie się Kościoła w budowę pokojowej koegzystencji z islamem, opartej na wzajemnym szacunku, bez uprzywilejowania jakiejkolwiek religii i dyskryminowania innej. Dzisiaj znacznie

trudniej jest o życzliwość w stosunku do islamu, ale jest tego jeszcze większa potrzeba.

Jak mogą być chrześcijanie wiarygodnym znakiem pokoju, jeżeli między sobą nie mogą się porozumieć? Jak mogą wystąpić w roli apostołów pojednania, gdy nie są w stanie uczynić tego między sobą? Jak mogą liczyć na pozytywne, konkretne gesty, gdy nie umieją się zdobyć na wspólny symboliczny gest ustalenia wspólnej daty celebrowania Wielkanocy?

Cieszą i dają nadzieję znaki jedności, które mimo okrutnej wojny dzieją się na naszych oczach w Syrii. W tym widzi swoją misję i nadal ją tak rozumie wspólnota mniszek i mnichów Mar Musa.

Oczywiście, nie może ten proces przebiegać bez napięć. Dzisiaj atmosfera otwartości i zaufania została poważnie zaburzona przez ekscesy zbrodni islamistycznych, ale duch pojednania nie został całkowicie stłumiony. Nawet w warunkach wojny jest on widoczny w różnych formach niesienia pomocy ludziom cierpiącym, niezależnie od ich religii, w codziennej działalności szpitali, szkół, a nawet w życiu sąsiedzkim.

Nie ma większego znaku nadziei w czasie okrutnej wojny, posługującej się symbolami religijnymi, jak wspólne porozumienie ludzi wierzących. Praca w tym kierunku to nie tylko ratunek dla człowieka tam, gdzie aktualnie sroży się wojna, ale również remedium dla naszej kulturowo zróżnicowanej cywilizacji i co jest najważniejsze: jest to prawdziwa służba Bogu, gdyż zmierza do uwolnienia człowieka od herezji nienawiści, stanowiącej bluźnierstwo wobec Miłosiernego Boga.

Dom Myrny Nazzur w Soufanija

Wspominałem o „znaku czasu”, jakim był Sobór Watykański II i Synod Biskupów poświęcony Kościołowi na Bliskim Wschodzie, pisałem o znaku „wiosny arabskiej”, o Libanie i Syrii, było też o znaku, jakim jest *deir* Mar Musa.

Chciałbym teraz napisać o innego rodzaju znakach, które mnie początkowo bardzo bulwersowały i chciałem je zignorować, przekonany, że jeśli nie są świadomie spreparowanymi „świętościami”, to na pewno rodzajem pobożnych przywidzeń, od których najlepiej trzymać się z daleka, a nawet, gdyby były prawdziwe, to i tak niczego istotnego nie wniosą w moje przeżywanie wiary. Mam przecież Pismo Święte i sakramenty Kościoła. Sceptycyzm wobec „cudownych zjawisk” charakteryzował również postawę reprezentowaną przez moją wspólnotę zakonną w Damaszku, gdzie owe zdarzenia miały miejsce. Panowało wśród nas przekonanie, że „tymi sprawami” zajmują się na ogół ludzie, którzy mają dużo czasu i mało wiedzy teologicznej.

Nie udało mi się jednak zachować wygodnej rezerwy wobec „dziwnych” zjawisk, które działy się w mieście. Nie pozwolili mi na

to wierni, którzy się ze mną kontaktowali. Pytali wprost o moje zdanie. Nie mogłem skwitować ich pytań odpowiedzią, że mnie to nie interesuje, bo dla nich to była sprawa ważna. Chcieli usłyszeć moją opinię, bo dotyczyło to ich wiary. Po to przecież tam byłem. To dla nich przyjechałem z Polski.

Udałem się więc do domu Myrny, do Soufanija raz i drugi. Nic wówczas nie zobaczyłem, to znaczy podczas mojej obecności nic cudownego się nie zdarzyło, ale może właśnie dlatego zniknął we mnie stan wewnętrznego „nastroszenia". Byłem w typowym arabskim domu, którego *baha*, czyli maleńkie podwórko wewnętrzne z fontanną na środku, rodzaj atrium, było zadaszone. Odbywały się tam modlitwy, recytowane i śpiewane. Czuć było zaangażowanie wiernych, ale żadnych przejawów wybujałej uczuciowości. Świeciły się, jak zawsze na Wschodzie, świeczki i lampiony przed ikonami, a szczególnie przed maleńką, plastikową, tandetną, kupioną przez męża Myrny, Nikolasa wraz z innymi dziesięcioma, jako pamiątka z Rumunii. Była to uboga reprodukcja ikony Matki Boskiej Kazańskiej.

To, co zwróciło moją uwagę podczas tych wizyt, to właśnie modlitwa, na której codziennie gromadzili się ludzie, niezależnie od tego, czy działy się tam jakieś cudowne rzeczy, czy też ich nie było. Dom państwa Myrny i Nikolasa Nazzur był stale otwarty dla tych, którzy chcieli wejść do niego i pozdrowić Maryję. Podobało mi się, że był to dom konkretnej rodziny, dom podobny do innych w okolicy, i że właśnie taki stał się domem modlitwy.

Czynnikiem uwiarygodniającym te wydarzenia był dla mnie fakt, że dom Myrny i Nikolasa odwiedzali różni księża i siostry zakonne, a oni sami mieli kontakt zarówno z biskupem prawosławnym

(Nikolas należy do prawosławnego Kościoła), jak i katolickim (Myrna jest katoliczką).

Wierni, którzy przychodzili na wieczorne modlitwy, pochodzili z różnych kościołów. Co więcej, dom Myrny i Nikolasa odwiedzali również muzułmanie. Przychodzili tutaj prosić Boga o cud uzdrowienia. Było to dla nich tym łatwiejsze, że miejscem modlitwy nie był oficjalny kościół, ale zwyczajny dom arabski. Poza tym, w centrum modlitwy była tutaj Maryja, którą muzułmanie czczą jako matkę *Aisa*, czyli Jezusa, a cześć do matki jest zrozumiała niezależnie od religii. Chodziły słuchy o cudach, ale ja osobiście nie byłem świadkiem żadnego.

Jeszcze inna okoliczność zwróciła moją uwagę i uważam, że jest ona bardzo ważna: cudowne wydarzenia w Soufania nie podzieliły społeczności chrześcijańskiej. Byli tacy, którzy odnosili się do nich z entuzjazmem i byli tacy, którzy zachowywali do tych wydarzeń dużo dystansu. Było sporo takich, których to nie interesowało albo przestało interesować, po okresie początkowego zapału. Właśnie tę okoliczność uznaję za wyjątkową: nie spowodowało to żadnych gwałtownych polemik, manifestowania niechęci, oskarżeń i podziałów. Również z tego powodu uważam, że dom państwa Nazzur jest miejscem specjalnej łaski Bożego pokoju. Soufanija cieszy się tą łaską już od ponad trzydziestu lat, posiadając dużą przychylność duchowieństwa i wiernych wszystkich obrządków.

Szczególnym, spektakularnym znakiem, który zwrócił uwagę na Myrnę i jej dom, była oliwa, którą niespodziewanie zaczął wydzielać ten mały plastikowy obrazek. Ten fenomen poprzedziło jeszcze inne zdarzenie, a mianowicie oliwa, która pojawiła się na dłoniach Myrny podczas modlitwy o zdrowie jej kuzynki. Faktem

tym była ona nie mniej zaskoczona niż osoby, które jej towarzyszyły. Wydarzenia te zbulwersowały całą rodzinę i na początku jej członkowie nie chcieli o tym nikomu mówić. Potem były jednak inne znaki od Boga, świadczące o tym, że On chce, by nie chowali tego tylko dla siebie. Zrobiło się głośno o Myrnie, o obrazku, który wydziela olej, o cudownym wyleczeniu paru osób z choroby kręgosłupa.

Jeśli o mnie chodzi, to początkowo dziwna, a nawet śmieszna wydawała mi się sama „materia" cudu, to znaczy oliwa. Uważałem, że to mało szczęśliwy pomysł, aby obrazek „produkował" oliwę. Dlaczego nie była to na przykład woda? Tymczasem na Wschodzie, inaczej aniżeli w naszym kraju, oliwa jest nie tylko codziennym i podstawowym składnikiem pożywienia, czasem lekiem i biblijnym symbolem radości i pokoju, ale także stałym elementem modlitwy w sanktuariach i kościołach. Wszędzie modlitwie towarzyszy żywy ogień kaganków i lampionów oliwnych, szczególnie zaś tam, gdzie czczona jest jakaś ikona. Zawsze towarzyszy jej naczynko z oliwą, aby można było „przeżegnać się" nią i wziąć na kawałku watki ze sobą do domu, jako *baraka*, czyli błogosławieństwo, podobnie jak my to czynimy z wodą święconą. Trzeba pamiętać również o tym, że oliwa stanowi element materialny niektórych sakramentów, a przede wszystkim Chrztu Świętego, Bierzmowania, Kapłaństwa i Sakramentu chorych. Oliwa jest znakiem namaszczenia każdego chrześcijanina Duchem Świętym.

Wystarczyło tych kilka refleksji na temat symbolicznego znaczenia oliwy, żeby zmieniło się moje wewnętrzne nastawienie do tego wszystkiego, co dzieje się w Soufania. Zrozumiałem, jak

ciasny jest człowiek, który chce Panu Bogu dyktować, jakimi znakami powinien, a jakimi nie powinien się posługiwać. Pomogło mi też przypomnienie słów Pisma Świętego mówiących o tym, że Pan Bóg nieustannie przemawia do człowieka, posługując się najrozmaitszymi językami, czyniąc to „na różne sposoby". Przypomniałem też sobie, że w wielu objawieniach Maryjnych, centralnymi postaciami, przez które ono się dokonało, były dzieci (Lourdes, Fatima), co zawsze rzutowało na problem wiarygodności tych objawień, to znaczy pojawiała się trudność w przyjęciu tego, co one mówiły. Łatwo było je posądzić o dziecięce rojenia. Często nie szczędzono dzieciom krytyki i uciekano się nawet do przemocy i zastraszania, aby je powstrzymać od kontynuowania ich „dziwactw", ale mimo tych wszystkich środków, nie udało się powstrzymać fenomenu religijnego, który zaczął się rozwijać z tym większą siłą, im bardziej się mu przeciwstawiano. Zawsze jednak istotnym argumentem były cuda. Coś podobnego działo się też w Soufanija.

Pojawianie się oliwy na rękach Myrny, na jej twarzy i na ikonie Matki Najświętszej, gdzie z obrazka spływała ona do małej miseczki, było ewidentnym cudem. Tym bardziej stało się to namacalne, gdy badania w różnych laboratoriach zagranicznych zawsze kończyły się konkluzją, że jest to oliwa z oliwek, różniąca się tylko jednym drobnym elementem od tej, która jest do kupienia w sklepach: jest ona czysta w 100 procentach; „sklepowa" zawsze posiada jakąś minimalną domieszkę olejków eterycznych.

Oczywistą jest sprawą, że organizm ludzki nie może wydzielać olejku roślinnego, a tym bardziej mały, plastikowego obrazek. W którymś momencie został on nawet uszkodzony, gdy policja

chciała zbadać, czy w tym plastiku nie kryje się coś, co mogłoby taki efekt spowodować.

Stopniowo zacząłem dochodzić do przekonania, że chodzi tutaj rzeczywiście o znak nadprzyrodzony, co pogłębiło się jeszcze bardziej, gdy lepiej poznałem okoliczności tych zdarzeń, ich historię.

Nie oznaczało to jednak żadnej rewolucji w mojej religijności. Zresztą nie czekałem na żadne cudowne znaki, aby moja wiara została umocniona. Wystarczała mi Ewangelia i liturgia. Spotkania z Soufanija miały dla mnie takie samo znaczenie, jak każde poważnie przeżyte rekolekcje.

Odprawiałem czasem w domu Myrny i Nikolasa Msze św. Nasza więź stała się mocniejsza i moje rozumienie fenomenu Soufanija jeszcze głębsze, gdy miałem okazję towarzyszyć im w Polsce, kiedy to wielokrotnie tłumaczyłem na język polski składane przez Myrnę świadectwo wiary, opisując wszystkie etapy jej pielgrzymki duchowej. Mogłem wówczas lepiej zrozumieć istotę misji, do której Bóg ją przygotowywał.

Chciałbym uzupełnić moją wypowiedź o Soufanija o małą uwagę. Umieściłem ją w książce o *deir* Mar Musa, ponieważ Soufanija należy do serii nadzwyczajnych wydarzeń, które są charakterystyczne dla specyfiki życia religijnego w Syrii. Z tego samego powodu pozwolę sobie przytoczyć jeszcze kilka innych krótkich podobnych opisów.

Już sama zbieżność w czasie zwraca uwagę: oba fenomeny, zarówno przygoda duchowa ojca Paolo na pustyni Kalamun, jak i religijna historia Myrny z Soufanija zaczęły się w tym samym

1982 roku. Mówiąc o tej zbieżności, bynajmniej nie mam zamiaru nadawać jej jakiegoś specjalnego znaczenia. Niemniej zwraca ona uwagę, tym bardziej, że oba te wydarzenia są ważne dla Kościoła w Syrii i oba stały się również znane poza terytorium tego kraju. Dodałbym jeszcze, że ojciec Paolo znał się z Myrną i jej mężem osobiście. Gościł ich nieraz u siebie w klasztorze Mar Musa, jak również bywał i modlił się w ich domu w Damaszku, w Soufanija. Miał duży szacunek dla Myrny i doceniał duchowe znaczenie tego, co Bóg czynił za jej pośrednictwem.

Decydujący wpływ na chrześcijańskie życie w Syrii miało i ma w dalszym ciągu duszpasterstwo podstawowe, prowadzone na co dzień przez kościół parafialny. Jest ono bardzo bogate w najróżnorodniejsze formy spotkań wspólnotowych, przez ruchy, których wierni są członkami, przez świecki wolontariat, ekipy katechetyczne, organizacje dobroczynne i grupy misyjne.

Nie da się przecenić wielości modlitw liturgicznych zanoszonych w kościołach i różnych form spotkań modlitewnych. Zwracało zawsze moją uwagę przywiązanie Syryjczyków do Maryi, co wyrażali na przykład majowymi nabożeństwami i różnymi wspólnotami, które nazywano Jej imieniem.

W każdej parafii centralną rolę odgrywała jednak zawsze i nadal odgrywa niedzielna Eucharystia. Nie ulega wątpliwości, że ta parafialna praca (włączam pod to miano wszystkie centra i ośrodki duszpasterskie prowadzone przez zakony żeńskie i męskie w tym kraju) decydowała zasadniczo o poziomie życia duchowego wiernych Kościoła syryjskiego.

Inne znaki

O nadzwyczajnych wydarzeniach religijnych mówiło się w Syrii nieustannie. Oprócz Soufanija były też inne miejsca, gdzie pojawiała się „święta oliwa". Było to podczas modlitwy, ale często również poza modlitwą, nagle, niespodziewanie, dostrzegano ze zdumieniem, że na jakimś obrazku albo innym przedmiocie kultu religijnego pojawia się oliwa.

Do Myrny dotarło dziesiątki powiadomień z różnych stron świata, że reprodukcja ikony z Soufanija też „dała" oliwę. Miało to miejsce zarówno w domach prywatnych, jak i w kościołach i kaplicach.

Kiedy pracowałem w Aleppo, pewnego dnia przyszła wiadomość, i to od różnych osób jednocześnie, że w kościele ormiańskim pojawiła się oliwa. Udałem się tam, *incognito*. Nastrój w kościele był uroczysty. Ludzi tłum, jak w dzień świąteczny. Wewnątrz kościoła prywatnie modlący się i grupka, która modliła się wspólnie. Ślady oliwy były widoczne wszędzie. Nosił je wielki obraz, przedstawiający świętych męczenników, wiszący wysoko na ścianie, krzyż drewniany, krzyż z marmuru nad ołtarzem, sam

ołtarz, kolejne ikony. Ludzie zabierali sobie do domów kawałki waty nawilżone oliwą.

Inny przebieg miało pojawianie się *bachur*, czyli kadzidła, które „spadało z nieba" w trakcie modlitwy w pewnym ubogim domu, w miejscowości Daher Safra. Nigdy bym o tym nie napisał, gdybym sam nie doświadczył tego zadziwiającego zdarzenia. Miało ono miejsce podczas najzwyklejszej w świecie wycieczki do kilku sanktuariów maryjnych. Wstąpiliśmy na obiad do sióstr zakonnych w Daher Safra. Przywieźliśmy własny prowiant, ale siostry, które użyczyły nam sali biesiadnej i przyłączyły się do nas, uzupełniły go przygotowanymi przez nie same specjałami. Atmosfera była bardzo pogodna, luźna, rozmowy toczyły się wartko i kiedy byliśmy już przy deserze, czekając na kawę, ktoś w trakcie rozmowy wspomniał o kobiecie, u której w domu pojawia się podczas modlitwy *bachur*, czyli kadzidło. Nasza grupa zaciekawiła się tym zjawiskiem. Jak zwykle, niektórzy wyrażali niedowierzanie, inni twierdzili, że takie rzeczy się zdarzają. Okazało się, że problem może być rozwiązany bardzo prosto. Możemy po prostu udać się do tego domu, bo jest on bardzo blisko.

Zdecydowaliśmy się zatem to uczynić, choć po dobrym obiedzie nie bardzo chciało się nam ruszać. Przed domem zauważyliśmy małego chłopca z piłką w ręce. Dowiedzieliśmy się później, że to syn właścicielki domu, który ma już dość „pielgrzymek". Kiedy tylko widzi nadchodzących ludzi, ucieka.

Dom był bardzo ubogi, ściany odrapane z liszajami zacieków, a wewnątrz znajdowały się tylko najbardziej niezbędne sprzęty, i to w nie najlepszej kondycji technicznej. Przyjęła nas prosta kobieta. Zaczęła się rozmowa, która nie trwała długo. Po

wstępnych pozdrowieniach przeszliśmy do naszej prośby. Kobieta się nie wzbraniała. Nie zrobiła żadnych specjalnych przygotowań, nawet świecy nie zapaliła. Nie przeczytała fragmentu Pisma Świętego. Po prostu stanęła i zaczęła recytować modlitwy, które znała na pamięć. Odmawiała je dosyć szybko i niezbyt wyraźnie. Patrzyłem trochę lekceważąco na tę kobietę, bo wydawała mi się mało skupiona. Ot, takie banalne klepanie pacierza. Niczego nadzwyczajnego oczywiście nie oczekiwałem.

Nagle zauważyłem, że ikona stojąca na stole, zaczęła połyskiwać, jak gdyby ktoś ją nawilżył oliwą. Oczywiście nie sprawdzałem tego. Kobieta jeszcze nie skończyła swojej modlitwy, gdy zaczął się w grupie pań z wycieczki spory bałagan. Klęczące na posadzce kobiety zaczęły się dziwnie się kręcić i wyginać. Spoglądam na nie, a oto każda z nich była zajęta poszukiwaniem jakiegoś kawałka *bachuru*. Najpierw jedna go znalazła, zaraz potem druga, trzecia i cała reszta. Jedna z nich „upolowała" swój kawałek, wielkości cukierka, na włosach swojej sąsiadki. Tylko jedna osoba z całej gromady była niepocieszona, bo nic nie znalazła. Sam nie szukałem niczego, być może dlatego, że nie miałem odpowiedniego duchowego nastawienia, byłem bowiem bardziej obserwatorem modlitwy aniżeli jej uczestnikiem. Wziąłem od jednej z kobiet kawałek *bachuru* i zauważyłem, że był ciepły i plastyczny, to znaczy można go było ugniatać w palcach, jak świeżą żywicę.

Modlitwa szybko się skończyła, a my bez długich pożegnań wyszliśmy z domu. Niewiele mówiliśmy na ten temat, jak gdyby chodziło o jeszcze jedną zwykłą modlitwę. Nie widziałem, aby ktokolwiek był wstrząśnięty tym, co widział, mając namacalny dowód realności tego doświadczenia. Czy człowiek może się

przyzwyczaić do zjawisk nadzwyczajnych? Często sobie zadawałem to pytanie i sądzę, że tyle było w Syrii tych cudownych wydarzeń, że zarówno mnie, jak i ludziom zwyczajnie one spowszedniały.

Pamiętam też, jak pewnego razu, przed Mszą świętą, którą miałem odprawić w prywatnym domu, podeszła do mnie skonfundowana bardzo pani domu, tłumacząc i jednocześnie przepraszając, że muszę poczekać aż przygotują ołtarz. Chciała na ołtarzu położyć ikonę Serca Pana Jezusa, ale jej ikona ma zacieki. Nie da się ich usunąć, bo chodzi o oliwę, która kiedyś pojawiła się na niej, i to wtedy, kiedy nikogo nie było w domu.

Wspomnę także „kochaną siostrę Agnieszkę", jak o niej mówiono. Była to szarytka, Polka, która nigdy Polski nie widziała. Pochodziła z Adampola, koło Istambułu. Przez czterdzieści lat pracowała w szpitalu prowadzonym przez siostry zakonne w samym centrum Damaszku. Nazwa szpitala brzmiała Saint Louis. Odwiedzałem ją od czasu do czasu gdzieś koło północy, bo przez całe czterdzieści lat odbywała ona dyżury nocne, w dzień zaś je odsypiała i miała swoje zajęcia klasztorne.

Przeważnie opowiadała o Adampolu. Żałuję, że tych rozmów nie nagrałem. Jakie to było ciekawe: słuchać opowiadań o rodzinie, będących niczym literackie sagi, na tle burzliwej historii wojny, ucieczki i pionierskiego życia na obczyźnie. Dzieje te były jednocześnie świadectwem olbrzymiego patriotyzmu i gorącego, z całego serca przeżywanego przywiązania do Kościoła. Pewnego razu wybierałem się do Polski, a siostra Agnieszka nie była pewna czy jeszcze się zobaczymy, bo zdrowie miała bardzo słabe, dała mi

wówczas... małą szklaną fiolkę, a w niej trochę oliwy, która spłynęła z obrazka, który wisiał nad drzwiami jej dyżurki.

Dochodziły mnie również często wiadomości o podobnych zjawiskach z Horanu. Zwykle, pojawienie się „świętej oliwy" w jakimś domu, pobudzało domowników i całe sąsiedztwo do intensywniejszej modlitwy. Przychodzili, aby zobaczyć oliwę bliżsi i dalsi znajomi, słuchali opowieści, jak to się stało, odmawiali modlitwę, zabierali *baraka* do swego domu, czasem miejscowy ksiądz decydował się na jakieś specjalne nabożeństwo w kościele parafialnym. Na ogół jednak księża nie angażowali się w „te sprawy", nie bardzo wiedząc, co mają myśleć i jak się zachować. Nie byli zresztą do tego przynaglani przez biskupów.

Być może wchodziła w grę również obawa, żeby nie dzielić miejscowej społeczności, opowiadając się za jedną grupą. Najczęstszą chyba odpowiedzią było stwierdzenie, że Kościół na ten temat się nie wypowiedział, dlatego lepiej jest, aby ksiądz trzymał się od tego z daleka.

Pewna dziewczyna z Horanu, chcąc przekonać mnie do wydarzeń, o których mi opowiadała, zaczęła wyciągać z torebki po kolei, jednakowo pomazane oliwą: różańce, małe obrazki, Pismo Święte, modlitewnik... Jej ręce były wilgotne od oliwy i błyszczały jak palce kucharki.

Najdziwniejsze spotkania przeżyłem kilkakrotnie w Rakka, nad Eufratem, gdzie w kościółku armeńskim sprawował służbę Bożą prawosławny ksiądz obrządku syriackiego, ojciec Paweł. Przez jakiś czas opiekował się on religijnie cudzoziemkami, które zachowały wiarę chrześcijańską, i które tam mieszkały ze swoimi syryjskimi mężami. Poprosił mnie kiedyś do siebie, aby

porozmawiać o dziwnych zdarzeniach, które się dzieją u jego znajomego w Hasake. To, co mi mówił, zakrawało na scenariusz jakiegoś fantastycznego filmu, w nie bardzo możliwym do „strawienia" guście. Gdyby nie chodziło o księdza, którego dobrze znałem i szanowałem, chyba nie dałbym rady wysłuchać tych opowieści do końca.

Mówił mi na przykład o winie, które pojawiało się w postaci dużej kałuży na posadzce, o chlebie, który nagle znajdowano na półce, o oliwie, kadzidle... Nie wiem, czy czegoś nie opuściłem. Wstyd mi wprost pisać te słowa, bo wydają się być niegodne poważnej książki, którą miałem zamiar napisać. Z drugiej strony, mógłbym opuścić przecież ten szokujący przykład, ale czy byłoby to uczciwe, aby taki fenomen zignorować, tym bardziej, że w pewnym momencie ojciec Paweł, otworzył przede mną szafę i pokazał „eksponaty", o których wcześniej mówił. Chleb nie miał formy chleba arabskiego, ale był w dość dużych grudach, wyglądający tak, jakby ktoś starł czerstwy chleb na drobniutkie okruchy i potem uformował w grudy.

Jak się dowiedziałem, nazywał to chlebem nie ze względu na formę, ale ze względu na smak. Kiedy posmakowałem szczyptę tego „chleba", skojarzyłem go z tartą bułką. *Abuna* Bulos (ojciec Paweł) rozdawał Boże bogactwa swoim parafianom i tym, którzy przychodzili prosić o nie, jako znak błogosławieństwa. Zdradził mi potem, że ma do mnie szczególną prośbę. Chciałby, abym spotkał się z tym człowiekiem, w którego domu dzieją się te wszystkie cuda.

Do umówionego spotkania doszło podczas mojego kolejnego pobytu w Rakka. Mężczyzna, z którym miałem się spotkać,

przyjechał z dalekiego miasta. Był w średnim wieku, miał drobną posturę i był raczej małomówny. Pracował jako urzędnik. Niczym szczególnym się nie wyróżniał. Nawet jego pobożność była „średnia", to znaczy chodził do kościoła, ale nie zawsze. Modlił się jak umiał, ale nie bardzo gorliwie. Często jeździł do Damaszku w sprawach urzędowych. To, co nie było u niego „średnie" to jego skromność. Urzekał prostotą. Chciał się ze mną spotkać, bo nie bardzo wiedział, jak powinien się zachować w związku z tym, co się u niego działo. Z jednej strony, bał się ewentualnego szumu wokół całej sprawy, ale z drugiej, bał się Pana Boga i nie chciał zrobić nic, czym mógłby Go obrazić. Ciążyła mu bardzo ta sprawa. Było dla niego prawdziwym kłopotem i nie wiedział, jak to rozwiązać.

Licząc na to, że mu pomogę, opowiedział mi szczegółowo o wszystkich wydarzeniach. O tym, że już szereg razy pojawiała się kałuża wina w jego pokoju, choć on wina nie miał. Dom w tym czasie był zamknięty. Nie chciał wina po prostu zebrać do kubła i wylać do zlewu, dlatego ściągał je strzykawką z posadzki i napełniał nim małe butelki. Potem ofiarowywał je, jako błogosławieństwo, *abunie* Bulosowi. To samo robił z chlebem. Lepił go w kawałki i wraz z kadzidłem, które uzbierał, i oliwą zawoził do Rakka. Czasem odbierał to od niego bezpośrednio w jego domu *abuna* Bulos.

Bliski Wschód w Polsce

Wielką niespodzianką po przyjeździe z Bliskiego Wschodu do Polski, było dla mnie spotkanie w naszym kraju z... Bliskim Wschodem.

O ile zrozumiała była dla mnie obecność tego regionu w debacie politycznej, z racji wojen na Bliskim Wschodzie, to zupełną niespodzianką było duże zainteresowanie wśród wiernych w naszym kraju maronickim mnichem z klasztoru w Annaja, w Libanie, świętym Charbelem. Niemal od pierwszego dnia zapytywany byłem o jego osobę, informowano mnie o domach modlitwy świętego Charbela, mówiono o jego cudach, wskazywano na pozycje książkowe wydane na jego temat, cieszące się dużą poczytnością.

Jak zwykle w takich przypadkach, zainteresowaniu osobą świętego towarzyszą pielgrzymki i rośnie ilość sanktuariów czy po prostu miejsc pamięci i szerzenia się jego kultu. Nierozerwalnie z kultem świętego Charbela wiąże się zazwyczaj eksponowanie jego relikwii i zupełnie niezwykły dla naszej tradycji religijnej obrzęd namaszczania wiernych tak zwanym olejem świętego Charbela.

Zaskoczony też byłem dużą ewolucją w zakresie rozumienia tego wszystkiego, co dzieje się aktualnie w tamtym regionie. Jakże bardzo odbiegało to od strzępów wiadomości i stereotypowych komentarzy, związanych w wojną domową w Libanie sprzed czterdziestu lat, kiedy pojawiała się egzotyczna nazwa „maronici". Często nie wiadomo nawet było, że są to chrześcijanie, i żeby czasem wiadomość o nich nie wzbudziła naszej sympatii, zwykle uzupełniano tę nazwę innym terminem, zdecydowanie zideologizowanym i stawiającym ich w złym świetle: „falanga faszystowska". Nikt wtedy nie wiedział, że nie tylko są oni chrześcijanami, ale że również katolikami – największą (poza egipskimi Koptami) i najbardziej prosperującą gospodarczo i kulturalnie wspólnotą chrześcijańską na Bliskim Wschodzie. Maronici to jedyny Kościół na Wschodzie, który nigdy nie zerwał jedności ze stolicą Piotrową.

Uderzyła mnie również szybkość zmian poglądów polskiej opinii publicznej na temat wydarzeń bliskowschodnich. W dość krótkim czasie wiele osób odeszło od prymitywnego stereotypu, według którego wojna na Bliskim Wschodzie, to rewolucja, która niesie ze sobą nadzieję na większą wolność obywateli i demokratyzację społeczeństwa. Odstąpiono od używania romantycznej nazwy: „wiosna arabska", gdyż szybko zorientowano się, że mało jest w tej „rewolucji" elementów „wiosny" i lepiej z tego określenia zrezygnować.

Inna była wizja i inna ocena realiów politycznych na początku wojny i zdecydowanie inaczej wygląda ona dzisiaj w Polsce i w Europie. Nikt jednak dotąd nie wytłumaczył, kto jest odpowiedzialny za fałszywe wizje polityczne, w imię których

Zachód zaangażował się w tę wojnę, a teraz bije na alarm, bo widzi zagrożenie w tym, co sam sprowokował. Nie tylko nie udało się mu się zdemokratyzować ani jednego państwa, do którego dotarła pożoga wojenna, ale zafundował sobie Państwo Islamskie, którego ideologia i struktura władzy są całkowitym zaprzeczeniem demokracji.

I nie chodzi tutaj o jakieś abstrakcyjne finezje konceptualne, ale o straszliwą hekatombę wojny z jej tragicznym żniwem zniszczeń materialnych i nieopisanego cierpienia ludzkiego. Zniszczone są wsie i miasta, zniszczona gospodarka, zniszczona cała cywilizacyjna infrastruktura, włącznie z tą społeczną, począwszy od podstawowego dobra, jakim jest bezpieczna egzystencja.

Nadzieja

Na tle poprzedniego rozdziału tytuł „nadzieja” nie wydaje się być szczęśliwie dobrany. Co najwyżej można go odebrać jako moje pobożne życzenie, bardzo odległe od tego, co aktualnie się dzieje. Bynajmniej nie utraciłem kontaktu z rzeczywistością i nie myślę też uciekać się do efektownie brzmiących apeli ani dawać wzniosłych rad.

Chodzi mi o coś, co realnie istnieje i czego symptomy można dostrzec. Znów zwracam uwagę na przesłanie Synodu Biskupów na Cyprze w 2010 roku, na Liban, to samo odnoszę do Syrii, mimo okrutnej wojny, oraz do Mar Musa, bo to przecież temat i bohater niniejszej książki.

Wiem, że nie wyczerpałem listy wszystkich znaków. Być może zaledwie zapoczątkowałem ich wyliczanie. Ważne, że one istnieją i jeszcze ważniejsze jest to, aby zostały dostrzeżone, odczytane i uwzględnione w realnym działaniu.

Wspomniałem o wielości zjawisk religijnych, które miały miejsce w ostatnich latach przed wybuchem wojen na Bliskim Wschodzie, szczególnie zaś o znaku Matki Boskiej z Soufanija, o którym głośno również poza granicami Syrii. Te ostatnie wydarzenia, które wystąpiły z tak wielką obfitością, iż nie sposób było ich wszystkich

zarejestrować, i w pewnym sensie spowszedniały Syryjczykom, rodziły pytanie o ich sens, znaczenie.

Oczywiście, chodziło w nich o to – jak w każdym znaku skierowanym przez Boga – aby człowiek trzymał się drogi zbawienia, pogłębił swoje życie duchowe, odnowił w sobie życie modlitwy a jego postępowanie było zgodne z Ewangelią. Zawsze, mówiąc krótko, chodzi w nich o to, co nazywamy nawróceniem.

Pytanie jednak dotyczyło jeszcze innej kwestii: dlaczego tak dużo cudownych zjawisk pojawiło się akurat w tym czasie? Czy jest możliwe, aby na to pytanie odpowiedzieć? Można przynajmniej jej szukać, bez roszczenia sobie pretensji do posiadania patentu na jedynie słuszne ich komentowanie.

W moim przekonaniu jest to podobna sytuacja jak w objawieniach fatimskich, kiedy chodziło o nawrócenie, które mogłoby zatrzymać katastrofę wojny światowej i krwawej rewolucji w Rosji. Podobnie mówi się o Medziugorju i znakach poprzedzających katastrofę Bałkanach.

Było to wezwanie do nawrócenia, będące jednocześnie przygotowaniem duchowym do stawienia czoła grozie dni, które obecnie ten kraj przeżywa. Chodziło o umocnienie wiary, o zwiększenie zaufania do Boga, o powierzenie się macierzyńskiej opiece Maryi. Chodziło o wytrwałość nadziei, którą podważa i niszczy barbarzyństwo wojny, a więc rosnący chaos społeczny i polityczny, pogłębiająca się nędza materialna ludności, oraz coraz mocniejsza pokusa rezygnacji i apatii albo też poddanie się szałowi niszczenia i zabijania.

W czasie tryumfującego zła są też znaki nadziei. Jest nim człowiek, którego nie opanowała nienawiść, pomimo wszystkich krzywd, jakich doświadczył. Ustrzegł swoje człowieczeństwo w czasie, gdy ludzkimi uczuciami rządzi strach i gniew, ponieważ umie on, pomimo wszystko, troszczyć się o innych. Szczególnie, gdy czyni to kosztem własnego bezpieczeństwa i zdrowia. Niesie pomoc potrzebującym i nie waha się jej udzielić nawet komuś spoza jego wspólnoty. Myślę o takich ludziach jak *abuna* Francis, jak *abuna* Jihad, jak ojciec szalonego pianisty, którego spotkałem w Homs i jemu podobni na terenie całej Syrii.

Ich szlachetna osobowość promieniuje na innych, mobilizując ich do życia, ożywiając zniechęconych, umacniając więzy wspólnotowe, wprowadzając pokój i pamiętając o radości, gdyż jest ona ważnym sprzymierzeńcem tych, którzy znoszą prześladowania i walczą o przetrwanie.

Ci ludzie i ośrodki, w których działają, potrzebują wsparcia i chyba nie ma nic bardziej szlachetnego od poparcia tego dzieła. Oni najlepiej wiedzą, gdzie i jakie są potrzeby lokalnej ludności. Oni, na miejscu, umieją najlepiej zaradzić tym potrzebom. Mam do nich zaufanie i wierzę, że nie zdefraudują otrzymanych środków. Wierzę, że oprócz pomocy materialnej, udzielą również ofiarom wojny wsparcia moralnego, umocnią ich duchowo w obliczu bolesnego poczucia obojętności świata, samotności i opuszczenia.

Z myślą o nich założyliśmy w Polsce stowarzyszenie Dom Wschodni, aby nie tylko pomagać, ale znacznie szerzej, aby rozwijać więź pomiędzy Kościołami Wschodu i Zachodu. Zachęceni do tego jesteśmy oficjalnymi dokumentami Kościoła katolickiego, a szczególnie Listem Apostolskim Jana Pawła II *Orientale Lumen*,

w którym porównuje on obie tradycje chrześcijańskie do dwóch płuc, jakie posiada organizm człowieka. Wówczas jego kondycja jest dobra, gdy harmonijnie oba te płuca używa.

Powracam znów do myśli, którą rozpocząłem niniejsze rozważanie. Patrząc na tragiczną sytuację, w jakiej się znajdują Syryjczycy, szczególnie zaś chrześcijanie, można ulec zniechęceniu lub nawet rozpaczy. Można powiedzieć, że nie ma tutaj żadnych znaków nadziei. Przecież początkowo mówiono chrześcijanom, że to nie ich wojna, bo dotyczy rywalizacji między sunnitami i szyitami. Teraz chrześcijanie nie tylko znoszą ciężar wojny, ale coraz częściej są atakowani, wypędzani z domów, prześladowani i eksterminowani z powodu wiary. Stawia się przed nimi alternatywę albo śmierć, albo przyjęcie islamu. Zachód tych faktów nie chce zobaczyć.

Jak w takiej tragicznej chwili i w takich tragicznych okolicznościach mówić o nadziei? Jak można to czynić, nie raniąc cierpiącego człowieka?

Myślę, że tylko Krzyż Chrystusa może się podjąć tego dzieła, a ściśle mówiąc nie tyle krzyż, jako narzędzie straszliwej tortury, ale Osoba na nim, czyli UKRZYŻOWANY, który ZMARTWYCHWSTAŁ. W NIM, w najstraszniejszej nawet śmierci, jest nadzieja. Nie chodzi tutaj o heroiczne pokonanie wroga (które zresztą rzadko się weryfikuje w historii), ale o Nowe Życie, pozbawione definitywnie zła. Zło bowiem każde życie ludzkie i każde zwycięstwo, najbardziej nawet heroiczne, korumpuje od środka i sprawia, że krzywda się znów panoszy. Pascha Chrystusa to przejście do Nowego Życia w Ziemi Obiecanej, to uwolnienie człowieka od zakorzenionego w nim zła.

W tym sensie znaki „świętego oleju”, których było wiele, zanim rozpoczęła się wojna, nie tylko mobilizowały do odnowy wewnętrznej, umacniając wiarę i ożywiając życie modlitwy, ale pozwalały przybliżyć się bardziej do zrozumienia istoty naszej wiary w Chrystusa, pozwalały lepiej zrozumieć Jego samego, jako NAMASZCZONEGO, czyli Mesjasza, namaszczonego Duchem Świętym, a więc ŚWIĘTOŚCIĄ samego Boga. Jego misja polegała i polega na tym samym – aby namaszczać Duchem Świętym tych, którzy z wiarą Go przyjęli.

Na tym polega istota chrześcijańskiej NADZIEI.

Dzisiaj eksponowana jest bolesna strona wydarzeń na Bliskim Wschodzie. Symbolicznie odbywa się tam krzyżowanie Kościoła i tylko w Krzyżu Chrystusa jest prawdziwa nadzieja. Szczęśliwy, kto w nim dostrzega światło Zmartwychwstania.

Wierzymy, że to, co się dzieje na Bliskim Wschodzie, posiada taki właśnie wymiar. Piszę „wierzymy”, bo nie tylko przypuszczam, ale widziałem na Wschodzie tego rodzaju wiarę i jestem dumny z możliwości dzielenia jej razem z tymi osobami. Wierzymy, że pomimo ogromu cierpienia obecnej chwili, idziemy ku porankowi radosnej prawdy o Nowym Życiu. Widzimy, że to, co dzisiaj tragiczne i nie do przyjęcia, jak miało to miejsce z paschalną męką Chrystusa, zostanie przemienione w zwycięstwo nadziei większej od zła, od śmierci, od zniszczenia, tak wielkiej jak wielka i twórcza jest miłość Boga.

Światło ze Wschodu

Nadzieja silniejsza niż zło i śmierć, nadzieja zmartwychwstania Kościoła na Bliskim Wschodzie, stanowi końcowy etap drogi mistycznej odbytej przez Myrnę z damasceńskiej Soufanija.

Stałym elementem wszystkich jej doświadczeń duchowych i otrzymanych orędzi było podkreślanie wagi jedności Kościoła. Myrna nieustannie mówiła o tym, jako o zasadniczym celu jej misji. O jedność tę powinniśmy się nieustannie modlić i stale o nią zabiegać, przy każdej okazji i na różne sposoby.

Najbardziej rzucającym się w oczy znakiem braku tej jedności jest celebrowanie największego święta chrześcijańskiego, Wielkanocy, w dwóch różnych terminach – oddzielnie przez prawosławnych i katolików.

Powinniśmy zatem szczególnie starać się o osiągniecie porozumienia w tym właśnie względzie. Byłby to wymowny znak nadziei na osiągniecie pełnej jedności, której ukoronowaniem będzie wspólna celebracja Eucharystyczna. Do tego wzywał Pan Jezus Apostołów i o to się modlił do Ojca w Modlitwie Arcykapłańskiej, która stanowi matrycę mistyczną każdej Mszy św., sprawowanej od tego momentu i przez wszystkie wieki.

Nasze Msze św. nie są w pełni autentyczne z powodu tej strasznej rany, jaką jest brak jedności Kościoła.

Ostatnie orędzie, które otrzymała Myrna w Wielką Sobotę, 10 kwietnia 2004 roku posiada nową cechę, dającą impuls nadziei dla chrześcijańskiego Wschodu. Pan Jezus mówił do niej, że „teraz każdy powinien udać się do swojego domu, dumny z przynależności do Kościoła, z którego wyszło Boże światło i nie zostało stłumione przez falę zepsucia, która przelewa się przez świat zachodni, pogrążony w materializmie oraz uległości żądzom cielesnym i duchowym (znaczenia i sławy), aż do utraty prawie wszystkich wartości. Na Wschodzie zachowało się światło i każdy powinien tutaj na Wschodzie tego światła strzec, nie dając sobie odebrać niezależności ducha, wolności i wiary".

Jeśli się zastanowimy, to będziemy mogli dostrzec, że w istocie jest to orędzie jakoś zbieżne z orędziem Synodu Biskupów z roku 2010, który odbył się na Cyprze. Należy domagać się sprawiedliwego statusu prawnego dla ludności chrześcijańskiej, która jest dyskryminowana w państwach muzułmańskich. Jest to jedna z przyczyn emigrowania chrześcijan z Bliskiego Wschodu, a w istocie jest to zakamuflowane wypieranie ich stąd siłą. Pytać się należy o to, jak wywiązuje się Kościół powszechny z solidarności ze Wschodem chrześcijańskim. Nie chodzi teraz o rozwój tak zwanej debaty, zamiast niej potrzebna jest konkretna praca i pomoc.

Jedna refleksja, która na pozór mało wiąże się z moją powyższą narracją. Chciałem wspomnieć mnicha, maronitę z Libanu, świętego Charbela. Jest on dla mnie pewną niespodzianką, porównywalną do światła komety, która zjawia się na ziemskim

nieboskłonie, przybywając z przestrzeni kosmicznej. Pobożność „charbelowska" jest na polskiej ziemi zadziwiająca i bezsprzecznie stanowi jakiś znak, jak wszystko, co burzy w jakimś stopniu logikę naszej codzienności, naszych przyzwyczajeń i naszego schematu działań.

Moim zdaniem, ten zupełnie nieoczekiwany kult świętego ma duchowy związek zarówno z Listem Apostolskim Jana Pawła II *Orientale Lumen*, z roku 1995, jak i orędziem Synodu Biskupów poświęconym Kościołowi na Bliskim Wschodzie. Nie odbyły się w prawdzie żadne synody diecezjalne, nie przeprowadzono żadnych badań naukowych, nie było zwołanych sesji i narad wyspecjalizowanych komisji do spraw duszpasterstwa i do spraw kultu, nie zostały podjęte żadne decyzje, ale i tak fenomen atrakcyjności kultu świętego Charbela pojawił się „nie wiadomo skąd" i wciąż rośnie. W ten sposób Kościół polski utkał nowe żywotne więzi z Kościołem Wschodu. Stało się to spontanicznie za sprawą mnicha libańskiego i wierzących ludzi w Polsce, którzy znaleźli u niego wsparcie w swoich życiowych potrzebach.

Wschód, który widziany był na ogół jako nasz słabszy partner, okazał się w tym wypadku naszym dobroczyńcą i to za sprawą jednego tylko człowieka, który od ponad stu lat leży w grobie! Czy nie jest to największy z cudów świętego Charbela? Czy nie potwierdza to papieskiej nauki o dwóch płucach Kościoła? Czy rzeczywiście nie jest to rodzaj świadectwa o skuteczności „światła ze Wschodu"?

Nie chodzi teraz o to, aby pozmieniać znaki i tam, gdzie były minusy po stronie Wschodu, postawić teraz plusy, i podobnie postąpić z Zachodem. Światło wiary nie gasi i nie eliminuje świateł,

które już świecą, ale je intensyfikuje i wzmacnia ich siłę oddziaływania. Jeżeli przyszło do nas Boże błogosławieństwo przez osobę świętego ze Wschodu, to po to, aby nas pobłogosławić Bożą łaską tak, byśmy urośli i umieli rozpalić te światła, które zostały nam dane przez Pana Boga. Co więcej, chodzi też o to, abyśmy umieli się nimi dzielić ze Wschodem. W ostatecznym rozrachunku chodzi zaś o to, aby Kościół świecił pełnym światłem Chrystusa w świecie, który znajduje się w ciemnościach ostrego kryzysu cywilizacyjnego.

Dzisiejszy świat jest globalną społecznością. Nadarza się okazja, aby ewangelizacja również miała również globalny charakter. Pierwsze głoszenie Dobrej Nowiny doprowadziło do ogarnięcia nią całego świata antycznego, mającego swoją stolicę w Rzymie. Obecnie rodzi się możliwość objęcia Dobrą Nowiną globalnego świata. Nowe Jeruzalem już „zstępuje od Boga, z nieba”.

Ostatnia aktualizacja

Jest to ostatnia aktualizacja w tej książce, ale nie uważam, aby była ostateczna. Mam na myśli dwa ostatnie wydarzenia, które mają związek z poruszonym w książce tematem. Najpierw chodzi o kilkukrotną obecność Myrny Nazzur w Polsce. Za każdym razem byłem jej tłumaczem oraz wygłaszałem przy tej okazji okolicznościowe konferencje, które w pewnym sensie stanowiły zwiastun niniejszej książki.

Zaskakujące dla mnie było to, że Myrna kończyła swoje wystąpienia apelem o to, aby chrześcijanom na Wschodzie pozwolono kontynuować ich drogę życiową, czyli by była ona zgodna całkowicie z linią Kościoła wyrażoną przez orędzie Synodu Biskupów. Nie apelowała o uproszczenie procedur emigracyjnych i ułatwienie wyjazdu chrześcijanom z Bliskiego Wschodu do cieszących się pokojem państw Zachodu, chociaż pragnie ona oczywiście pomocy dla nich i prosi o ratunek przed przemocą. Jasno jednak stoi przy stanowisku, że należy wieść życie wspólne z muzułmanami w jej kraju, to znaczy w Syrii.

Ten element jej wystąpień ma dla mnie wartość głębokiego ewangelicznego świadectwa. Powtórzyła to Myrna również podczas swojego ostatniego pobytu w Polsce, w 2013 roku, gdy

wojna na terytorium Syrii zbierała krwawe żniwo, a na Damaszek, w którym stoi jej dom, codziennie spadały pociski. Ludzie ginęli i zostawali kalekami na całe życie, znajdując się na ulicy albo w domu, w drodze do szkoły albo podczas lekcji. Również jej dom został trafiony takim pociskiem, który na szczęście nie wybuchł. Myrna pokazywała zdjęcia zrobione w jej domu. Pocisk przebił wewnętrzną ścianę ich mieszkania i nie rozerwał się. Na swoim żelaznym korpusie miał owinięty różaniec, który prawdopodobnie wisiał na ścianie. Myrna twierdziła, że nie wie, skąd się wziął tam ten czerwony różaniec, który oplatał korpus niewybuchu.

Nawet w tych okropnych warunkach wojny domowej Myrna nie tylko nie domaga się krwawej zemsty i nie woła o znalezienie spokojnego miejsca dla chrześcijan Wschodu w jakimś państwie na Zachodzie, ale przyszłość Kościoła widzi na Wschodzie, wspólnie z muzułmanami, jak było dotychczas, pragnąc oczywiście tego, aby prawa były równe dla wszystkich obywateli tego kraju, niezależnie od ich religii. Dla mnie jest to fenomen godny podkreślenia.

Zachód dumnie uzurpuje sobie rolę nauczyciela narodów i sprawiedliwego ustawodawcy. To Zachód przedstawiał swoją interwencję militarną na Bliskim Wschodzie jako misję humanitarną, polegająca na nowym, sprawiedliwym i demokratycznym zorganizowaniu tamtych społeczeństw. Dzisiaj stoimy wobec olbrzymiego, tragicznego fiaska tej misji, a sam Zachód znajduje się obecnie w kryzysie ekonomicznym, społecznym, politycznym i kulturalnym. Kryzys ten jest coraz bardziej widoczny i groźny.

Szczególnie niebezpieczny staje się problem braku integracji społecznej milionów muzułmańskich przybyszów. Nie udało się

Zachodowi po laicku i zgodnie z ideologią liberalną dokonać dzieła, które miało być takie łatwe i słuszne. Nie wystarczyły radośnie głoszone hasła multikulturowości. Ostatnio pojawiły się nawet oficjalne glosy niektórych przywódców Europy, że projekt multikulturowości zakończył się klęską. Z całą pewnością nie jest to dla Europy znak nadziei i paradoksalnie zupełnie inny głos przychodzi jako zapowiedź nadziei, jest to głos Myrny, głos pochodzący z kraju, gdzie mają miejsce krwawe okrucieństwa wojny. Jest on tym bardziej wiarygodny, że nie wyszedł z ust polityka, który mówi z pobudek ideologicznych, ale z ust człowieka wiary i modlitwy, który ma doświadczenie ogromnej niesprawiedliwości i krzywdy spowodowanej wojną.

Oczywiście chodzi tu nie tylko o jedną osobę, o Myrnę, ale o cały cierpiący Kościół na Bliskim Wschodzie. Mówiąc w ten sposób nie ignoruję innych mniejszości religijnych. Nie deprecjonuję cierpienia muzułmanów zaangażowanych bezpośrednio w tę wojnę, ani ich rodzin.

Dodatkiem do tych rozważań niech będzie ostatnie wydarzenie, związane również z wojną w Syrii i ze świętym Charbelem. Gościliśmy w Polsce przez tydzień katolickiego biskupa Libanu, obrządku syriackiego, Jihada Youhanna Battaha. Poświęcił on w Łodzi kaplicę ojców jezuitów, w której będą przechowywane relikwie świętego Charbela. Wystąpił on również w kilku innych kościołach w Polsce z krótkimi kazaniami.

Znów to, co najbardziej zwraca uwagę, i to niezależnie od tego, czy chodzi o słowo wypowiedziane w kontekście liturgii, czy o wywiad radiowy lub telewizyjny – niezmiennie był obecny ten

sam niezwykły element, o którym mówiła Myrna: domaganie się kontynuacji dialogu z islamem.

Pisząc to, zdaję sobie sprawę, że określenie „dialog" nie jest do końca wierne temu, co biskup chciał przekazać. „Dialog", to nasze zachodnie określenie, które stało się sloganem i wyraża nasz sposób podejścia do spotkania z islamem i to, co nazywamy „wzajemnym poznaniem". „Dialog" kojarzy się nam z naukowymi badaniami, sesjami ekspertów, konferencjami, książkami, zjazdami, sprawozdaniami i tysiącami komentarzy, opinii.

Zarówno Myrna, jak i biskup Jihad Battah mówili o czym innym, mówili o wzajemnych kontaktach, takich jakie ma sąsiad z sąsiadem, jaki mają partnerzy wspólnego biznesu, uczniowie tej samej szkoły czy uniwersytetu. Chodziło o takie sąsiedztwo, które istniało przed wojną, pielęgnowało wzajemny szacunek, ale jednocześnie dbało o własną tradycję, własne przekonania i praktyki religijne, czyli o własną tożsamość. Pozwalało to lepiej rozwijać zarówno własną osobowość, jak i wzbogacało kulturalnie wspólnotę, uczyło otwartości, ale jednocześnie stymulowało dumę z własnego dziedzictwa i zachęcało do pogłębienia znajomości własnej tradycji.

Osądźcie sami, czy nie jest to światło, którego poszukuje dumna Europa? A może w tym szkopuł, że nie poszukuje, bo jest pewna swojej wyższości i nie ma ochoty się uczyć, skoro powołana jest (przez kogo?) do uczenia świata. A jeśli ma w ręku jakieś policyjne albo wojenne narzędzie, to również do jego dyscyplinowania.

Zakończenie

Dwie pustynie zagrażają naszej ludzkiej egzystencji. Pustynia ziemi, na której nic nie rośnie, bo brakuje wody i pustynia ziemi, na której wszystko ulega destrukcji, ponieważ poddana jest tyranii wrogości.

Na jednej i na drugiej potrafią przeżyć tylko ludzie odważni i przyjaźni. Mogą na niej przetrwać tylko prawdziwe wspólnoty. Pustynia, wbrew sobie samej niejako, uczy wspólnotowości i weryfikuje jej autentyczność z ekstremalnym rygoryzmem prawdziwości. Na pustyni zakwitają wielkie przyjaźnie, pustynia jest też krainą wielkich miłości, stanowi natchnienie dla wielkiej sztuki i jest szkołą wielkiej mistyki.

Na samym początku istnienia Bóg dał Adamowi wszystko, co stworzył, do jego dyspozycji, ale nie chciał, aby ten ugrzązł w konsumpcji. Chciał, aby odkrył prawdziwą miłość. Kiedy Adam pośród wszystkich rzeczy stworzonych nie znalazł wystarczającej racji dla swojej egzystencji, Bóg potwierdził prawidłowość jego odkrycia słowami: „nie jest dobrze, aby człowiek był sam". Posiadając bowiem wszystko, brakowało mu wszystkiego. Brakowało mu drugiego człowieka, to znaczy miłości. TO JEST TRZECI RODZAJ PUSTYNI.

Człowiek w swoim marszu przez historię potrafił opanować pustynię. Zaczął ją nawadniać, uczynił z niej ziemię uprawną, obsadził roślinami. Potem jednak, gdy jego duszę opanowywał szał wrogości, własnoręcznie niszczył to, co zbudował i z ogrodów i pól uprawnych znów uczynił pustynię. Potem starał się uprzątać zgliszcza, znów nawadniał pustynię, by znów to, co stworzył z tak wielkim zapałem i trudem, oddać na pastwę płomieni, nie mogąc się wydostać z ciasnej przestrzeni cyklicznych pożarów świata. Trawiła go bowiem ta sama słabość, która była przyczyną grzechu Adama: pustka istnienia, czyli miłość niedoskonała.

Doskonała miłość to Boża KOMUNIA, której nie można osiągnąć bez miłości ludzkiej, tak ścisłej i tak prawdziwej, że „dwoje stanowią jedno". Ludzka komunia nie może zaistnieć bez Bożego błogosławieństwa, bo miłość nie jest żądzą podporządkowania sobie drugiego, ale świętym pragnieniem, aby mu się oddać tak szczerze i prawdziwie, aby mógł on żyć i owocować. Tylko w ten sposób owoc jest rzeczywiście wspólny a komunia prawdziwa.

Tylko MIŁOŚĆ może przezwyciężyć przekleństwo pustki istnienia, czyli życia pozbawionego sensu. U zarania dziejów Szatan zazdrośnie chciał wykluczyć z tej miłości człowieka, stając się przez to wrogiem Komunii, oraz przeciwnikiem nie tylko człowieka, ale przede wszystkim Boga. Wsączył on w duszę człowieka śmiertelny jad zwątpienia, aby przestał on ufać Bożej miłości, bez której ani świat nie może istnieć, ani człowiek egzystować. Oszukał człowieka, oczerniając Boga. Chciał, aby przez to człowiek stał się jego sprzymierzeńcem i potępił Boga.

KRZYŻ zadał kłam szatańskiemu pomówieniu, bo Bóg oddał na nim siebie samego na świadectwo prawdziwej miłości. Ta prawda

jest święta, piękna i zbawienna. Raduje ona duszę człowieka i stwarza nowy świat. Ratuje go przed piekłem pustki egzystencjalnej i na powrót, tryumfalnie w swej skromności i prostocie, nobilituje miłość i uwiarygodnia nasze zaufanie do niej. Przywraca Boży fundament światu i człowiekowi, czyniąc go na powrót dzieckiem Bożym i dziedzicem Nieba, gdyż Bóg wcale nie jest surowym mścicielem grzechów – jak uczą tego czciciele Szatana – ale miłującym Ojcem, dobrym i wrażliwym na naszą ludzką biedę. On na pustyni grzechu pychy i głupoty szuka nas. On nas widzi. Prostujmy drogi Jego przyjściu. Wołajmy „Marana tha", przyjdź nasz Panie! Nasz Ojcze, Matko i Pasterzu!

Książka ta traktowała o dwóch pierwszych rodzajach pustyni, tej pozbawionej fizycznej wody i tej pozbawionej duchowej wody miłości, pustyni, na której szaleje wicher wrogości, ale w rzeczywistości cały czas miała stałe i bezpośrednie odniesienie do tej trzeciej.

Prawdę mówiąc, nie mogło być inaczej, bo owa trzecia pustynia towarzyszy historii ludzkości od samego początku. Problem pustki egzystencjalnej, braku sensu istnienia, czy po prostu radykalnej samotności towarzyszy człowiekowi przez wszystkie czasy i we wszystkich miejscach. Jest to dzisiaj nasza podstawowa kategoria egzystencjalna, z którą, czy tego chcemy, czy nie, musimy się zmierzyć.

Ta pustynia nieustannie się poszerza i stan naszej cywilizacji staje się coraz bardziej beznadziejny. Określamy to słowem kryzys, ale nie bardzo zdajemy sobie sprawę, na czym on w rzeczywistości polega i jak moglibyśmy mu zaradzić. Dotychczasowe próby okazały się chybione. Człowiek w swej pysze i swym ślepym

egoizmie zawłaszczył sobie wolność i tak bardzo ją zdeformował, że stała się dla niego jarzmem nie do uniesienia i coraz bardziej bezwzględną niewolą. Ukradł Bogu miłość i uczynił ją „nową", na kształt tego kim sam jest, a więc na kształt własnej pychy i zaślepienia, na kształt własnego zagubienia i egzystencjalnej pustki. Medycyna, którą sam sobie stworzył, nie wyleczyła go z jego radykalnej choroby braku KOMUNII. Nie przyniosła mu ulgi ani pocieszenia, a jedynie chwilowe zapomnienie, może moment przemijającej euforii konsumowania samego siebie. Miłość traktowana jako używka, uatrakcyjniana na wszystkie sposoby, bez dodatków prezentuje się tylko jako banalny narkotyk albo jako chwilowa rozrywka.

Właśnie w tym kontekście chciałbym, aby Czytelnik spojrzał na książkę o *deir* Mar Musa, gdyż jest to jej naturalny kontekst. Szczególnie wyraźnie widać to w zasadniczym przesłaniu, które dotyczy nadziei i jej znaków obecnych w naszej historii, określonych wspólnym mianem „światła Orientu". Nie muszę wyjaśniać, kto jest tym światłem i dlaczego. Powiem tylko, że postulat wspólnego życia w pokoju, który gwarantuje wzajemny szacunek dla wyznawców różnych religii jest nowym hasłem cywilizacyjnym, które musi zdobyć sobie uznanie. Inaczej cywilizacja nasza się skończy, to znaczy zamieni się w pustynię i to być może w sposób, tym razem, ostateczny.